

Barbara
Delinsky
Sasiadka



Barbara Delinsky

SĄSIADKA

The Woman Next Door

(tłum. Anna Kołyszko)

2003

Prolog

GDYBY Amanda i Graham mieli zupełnie wolną rękę, najchętniej wzięliby cichy ślub. Byli w tym wieku - ona trzydzieści, on trzydzieści sześć lat - że zależało im tylko na tym, by się pobrać. Ale ojciec Amandy uparł się, żeby wyprawić swojej jedynaczce wielkie wesele, matka z rozkoszą wydawała jego pieniądze, a rodzina Grahama uwielbiała się bawić.

Zatem w czerwcu wyprawiono huczne wesele na Cape Cod w ekskluzywnym klubie, do którego należał ojciec Amandy. Ślub odbył się w romantycznej scenerii nad słonymi błotami wśród słonek i mew, w obliczu trzystu świadków. Następnie owych trzystu gości prowadzonych przez państwa młodych ruszyło orszakami, mijając pole golfowe i siedzibę klubu, na przyjęcie w ogrodzie. Teren tonął w zieleni, ożywionej bzami i peoniami, przesyconej wonią róż, co znacznie bardziej docenili goście panny młodej, z zacięciem do estetyki, aniżeli pana młodego, z zacięciem do dobrej zabawy. Podobnie różniły się toasty wznoszone przez obie strony, poczynając od toastu druha pana młodego.

Will O'Leary, który był starszym bratem Grahama - najmłodszego z ośmiorga rodzeństwa, z kieliszkiem szampana w ręce uśmiechnął się do żony i czwórki dzieci, po czym uroczystym tonem zwrócił się wprost do pana młodego.

- Chociaż jestem od ciebie starszy o rok, Grahamie, przez całe życie trudno mi było ci dorównać. Zawsze się lepiej uczyłeś. Miałeś lepsze wyniki w sporcie. Wybierano cię na gospodarza klasy. Aż czasem, kurka wodna, nie mogłem tego znieść. - Dało się słyszeć śmiechy. - Ale teraz życzę tobie i Amandzie tego wszystkiego, czym sam się cieszę od piętnastu lat. - Uniósł kieliszek. - Zdrowie was obojga. Oby nie zabrakło wam słodkich tajemnic, serdecznego śmiechu i wspaniałego seksu.

Rozległy się owacje, brzęk kieliszków.

Kiedy gwar powoli ucichł, do mikrofonu podeszła drużna Amandy. Wysoka, smukła i speszona morzem twarzą O'Learych, rozpromienionych typowymi dla ich rodu szerokimi uśmiechami. Powie działa cicho:

- Nie mam dzieci ani wielu braci i sióstr, tak jak wy. Ale znam pannę młodą od dawna. Znam jej rodziców i chciałabym im teraz podziękować za to wspaniałe przyjęcie. - Uniosła kieliszek w stronę Debory Carr z jednej strony sali i Williama Carra z drugiej,

odczekała, aż ucichną oklaski, po czym dodała: - Amanda długo nie wychodziła za mąż, bo czekała na odpowiedniego mężczyznę. Potem zajęła się pracą i przestała o tym myśleć. Wcale więc nie rozglądała się za nikim, kiedy poznała Grahama, ale często to w ten właśnie sposób trafiają się nam w życiu najlepsze rzeczy. - Uniosła ponownie kieliszek. - Wasze zdrowie, Amando i Grahamie. Kochajcie się wiecznie.

AMANDA nie tyle przestała się rozglądać za kimś, ile wpadła w rozpacz, że nie znajdzie mężczyzny godnego zaufania, zasługującego na jej miłość. Lecz kiedyś, uciekając przed sierpniowym skwarem Manhattanu, odwiedziła swoją byłą promotorkę w Greenwich, w stanie Connecticut, i tam zobaczyła Grahama, rozebranego do pasa, lśniącego od potu, zajętego sadzeniem jałowców na zboczu obok domu pani profesor.

Pracowało ich sześcioro, ale Amandzie natychmiast wpadł w oko Graham, olśniewający brunet z krótką brodą, wyższy i bardziej muskularny od pozostałych, chociaż później dowiedziała się, że w gruncie rzeczy rzadko chwycił za łopatę. Do niego bowiem należał nadzór nad wykonawstwem robót.

Ich spojrzenia spotkały się nad przekopanym już zboczem. Dojrzała w jego oczach bezbrzeżną śmiałość lub bezmierną pewność siebie. Nie minął kwadrans, kiedy zapukał do drzwi, ze szkicem zagospodarowania drugiej części ogrodu.

Przyszedł specjalnie. Przyznał to od progu. Chciał, żeby go przedstawiono Amandzie. I dopiął swego.

Do MIKROFONU podeszła najstarsza siostra pana młodego. Mary Annę O'Leary Walker, w zielonym kostiumie, który bez wątpienia lepiej na niej leżał przed urodzeniem ostatnich trojga z piątki dzieci. Niczym nie stropiona, pewna siebie, zwróciła się do Grahama, który stał w gronie przyjaciół, obejmując swoją blond oblubienicę w bieli.

- Miałam dwanaście lat, kiedy się urodziłeś - powiedziała - i przewijałam cię częściej, niż którekolwiek z nas chciałoby dziś przyznać. Teraz twoja kolej. - Uniosła kieliszek. - Życzę ci mnóstwa dzieci i mnóstwa cierpliwości.

Dorothy O'Leary, matka pana młodego, nie uniosła przy tym toaście kieliszka. Na jej twarzy malował się sztuczny uśmiech. Stała na uboczu w towarzystwie swego brata i jego rodziny, niejako z dala od całego przyjęcia. Jej twarz wypogodziła się nieco dopiero wtedy, gdy do mikrofonu podeszedł trzeci w kolejności syn.

Peter O'Leary był jezuitą. Obdarzony charyzmą, podkreśloną noszoną koloratką, bez trudu uciszył wszystkich obecnych. Państwu młodym powiedział:

- Z waszych twarzy bije miłość. I niech tak będzie zawsze. Życzę wam długiego życia, abyście mogli dawać więcej, niż dostaniecie i służyć naszemu Panu na wiele sposobów. - Przerwał, po czym z błyskiem w oku uległ skłonności rodzinnej: -I rozmnażajcie się również po Bożemu!

AMANDA nie miała zwyczaju sypiać z facetami na prawo i lewo. Przed Grahamem było w jej życiu dwóch kochanków. Z każdym spotykała się przez wiele miesięcy i starannie wybierała czas, miejsce oraz formę zabezpieczenia, zanim odsłoniła swoje wdzięki.

Z Grahamem scenariusz wyglądał zupełnie inaczej. Graham zaproponował Amandzie wyprawę w plener, co rozbudziło w niej przygodowy nastrój, bo spodziewała się jednodniowej wycieczki. Zdziwiła się więc, kiedy zjawił się ze śpiworami, prowiantem, napojami i kluczem do chaty przyjaciela w lesie, niecałe siedem kilometrów od domu.

Nie przyszło jej jednak do głowy, żeby odmówić. Sama nie była zapaloną turystką, nawet nie miała własnego śpiwora. Graham natomiast okazał się świetnie zorientowany i zorganizowany. Lubił wyjaśniać jej różne rzeczy. Ale też nie wzdragał się pytać o sprawy, na których znała się lepiej od niego. No i ten jego uśmiech! Serdeczny, odprężony, tak szeroki, że opromieniał mu całą twarz. Nigdy przy nikim wcześniej nie czuła takich emocji.

Szli zboczem góry tonącej w zieleni, poprzecinanej przejrzystymi strumykami. Piękne trele ptaków i cudowne krajobrazy zapierały dech w piersiach. Graham dobrze znał drogę, prowadził ją jak na parkiecie, toteż w pełni mu zaufała.

Nie dotarli jednak do chaty przyjaciela. Zaraz po drugim śniadaniu Graham skręcił w zaciszną kotlinkę tuż przy szlaku, ułożył Amandę i kochał się z nią w biały dzień. Mimo potu, kurzu i - w jej odczuciu - zmęczenia, skoro raz zaczęli, nijak nie mogli przestać.

GRAHAMOWI dane już było doświadczyć, jak to jest stać przy ołtarzu i wypatrywać ukochanej w przystrojonym kwiatami przejściu. Nie znał tylko tego przemożnego uczucia, kiedy wszystko inne usuwa się bez reszty w cień. Nie był też przygotowany na ukłucie w piersi, które aż wycisnęło mu łzy z oczu.

Od pierwszej chwili, kiedy zobaczył ją na owym zboczu w Greenwich, nabił sobie głowę romantyczną myślą, że musiał się wycofać z zawartego wcześniej małżeństwa, bo gdzieś w przyszłości czekała na niego Amanda.

Tego dnia dosłownie wszystko usunęło się w cień. Widział tylko Amandę, która kroczyła ku niemu trawiastą ścieżką, a serce wbiło mu się na wyżyny i czuł, że pozostanie tam na zawsze.

KOŃCZĄC toast Malcolm, najstarszy z rodzeństwa O'Learych, ojciec piątki dzieci, uniósł kieliszek.

- Mam tylko jedną dobrą radę dla mojego przystojnego brata i jego pięknej żony. Do dzieła, Amando i Grayu. Późno wszak zaczynacie, moi drodzy.

W PIERWSZĄ rocznicę ślubu Amanda i Graham oglądali duży, okazały dom. Cena wywoławcza nie była niska, ale Graham rozwinął już skrzydła jako projektant plenerów, wynajął nawet asystenta na pełny etat, Amanda zaś dostała posadę psychologa szkolnego w tym właśnie miasteczku.

Bogate i wiekowe Woodley leżało pomiędzy falującymi wzgórzami w zachodniej części Connecticut, około półtorej godziny jazdy samochodem z Nowego Jorku. Wśród czterestu tysięcy mieszkańców znajdowało się pół tuzina dyrektorów z listy pięciuset najbogatszych firm kraju, a także liczni prawnicy i lekarze. Z roku na rok populacja miasteczka się odmładzała.

Dom, liczący sobie zaledwie dziesięć lat, stał pierwszy w kręgu czterech rezydencji w stylu wiktoriańskim, które wzniesiono w obsadzonym drzewami zaułku. Żółty, z białymi obramowaniami, szeroką werandą okalającą cały dom, oryginalną palisadą i latarniami gazowymi, prezentował się nie mniej malowniczo od domów sąsiadów. Równie pięknie było w środku. Główny hol, przestronny i widny, prowadził z jednej strony do salonu, z drugiej do jadalni z rzeźbionymi gzymsami i wysokimi oknami. W głębi domu znajdowała się wielka kuchnia z granitowymi ładami, z kafelkowaną na podobieństwo cegły podłogą oraz przeszkloną częścią śniadaniową. Kręcone schody z ławeczkami w wykuszach okiennych na obu podestach prowadziły do czterech sypialni na piętrze, w tym jednej na prawdę luksusowej.

- Ależ wielkie te sypialnie - szepnęła Amanda z przejęciem, kiedy pośrednik handlu nieruchomościami odwrócił się, żeby odebrać telefon komórkowy.

- Poza tą jedną obok naszej. Można by ją przeznaczyć na pokój dziecienny.

- Nie, nie. - Amanda miała inny pomysł. - Łóżeczko wstawiłabym do naszej sypialni, a tam urządziłabym pokoik do zabawy. W sam raz do czytania bajek na dobranoc.

Graham przygarnął ją do siebie i zapytał szeptem:

- Wyjęłaś diafragmę?

- Wyjęłam.

- Robimy dziś dziecko?

- Koniecznie.

Specjalnie odczekali rok, żeby się sobą nacieszyć, zanim przyjdzie ta nieuchronna zmiana w ich życiu.

- Gray, to idealny dom. Idealna okolica. Tylko czy nas naprawdę na niego stać?

- Jeszcze nie, ale niedługo będzie nas stać.

DRUGĄ rocznicę ślubu uczcili wizytą u ginekologa Amandy. Kochali się bez zabezpieczeń przez cały rok, ale jak dotąd nie dano im to upragnionego dziecka.

Lekarz zbadał Amandę, po czym orzekł, że jest zdrowa, a po wejściu Grahama powtórzył diagnozę. Ona jednak odprężyła się dopiero wtedy, gdy mąż uśmiechnął się do niej szeroko.

- Bo już się bałam - wyznała lekarzowi. - Tyle się nasłuchałam.

- To proszę nie słuchać. Pracuję w zawodzie ponad trzydzieści lat i widzę u państwa tylko jeden szkopuł: niecierpliwość.

- Pan się dziwi? - spytał Graham. - Amanda ma trzydzieści dwa lata, ja trzydzieści osiem.

- I dopiero dwa lata małżeństwa? Z czego tylko rok starań o dziecko? To nie tak długo. - Zajrzał do notatek sporządzonych wcześniej. - Nie wykluczałbym stresu, chociaż wydaje się, że państwo oboje są zadowoleni ze swojej pracy. Mam rację?

- Tak - potwierdzili zgodnie. Minął im kolejny wyśmienity rok.

- I podoba się państwu tu, w Woodley?

- O, bardzo - odparł Graham. - Mamy wymarzony dom.

- Sąsiadów zresztą też - dodała Amanda. - Mieszka tam sześcioro dzieci ze wspianymi rodzicami. I jedna starsza para... - urwała i postąpiła Grahamowi pełne smutku spojrzenie.

- June właśnie umarła - wyjaśnił Graham. - Półtora miesiąca po wykryciu nowotworu. Miała raptem sześćdziesiąt lat. Amanda nadal nie mogła się otrząsnąć.

- Znałam June niespełna rok, ale zdążyłam ją pokochać. Wszyscy ją kochali. Była dla mnie jak matka, a może nawet ktoś więcej. Ben zupełnie teraz stracił głowę.

- A co June mówiła na temat pani ciąży? - spytał lekarz.

- Życzyła mi cierpliwości. Mówiła, że na pewno się uda.

Doktor pokiwał głową.

- Bo tak będzie. Ma pani regularny cykl i jajeczkuje.

- Ale już minął rok. W książkach piszą...

- Proszę odrzucić książki - uciał stanowczo lekarz. - Niech pani wraca do domu i figluje z mężem.

W TRZECIĄ rocznicę ślubu Amanda i Graham wybrali się na Manhattan do specjalisty. To był już ich trzeci lekarz. Pierwszego odrzucili, bo twierdził uparcie, że nie ma powodu do obaw. Znaleźli więc drugiego, miejscowego specjalistę od leczenia niepłodności. Uznał, że to sprawa wieku.

- Zegara nie da się cofnąć - stwierdził beznamiętnie.

Graham i Amanda postanowili więc poszukać kogoś z większym zaangażowaniem i tak, w trzecią rocznicę, znaleźli się w Nowym Jorku. Tym razem lekarz zaczął od serii badań, które po raz pierwszy objęły też Grahama. Kiedy wyniki nie wykazały żadnych odstępstw od normy, wręczył im plik broszur do czytania oraz teczkę pełną instrukcji i wykresów. Wysłał ich do domu z zaleceniem, żeby Amanda określała okresy płodności, mierząc sobie regularnie temperaturę, a Graham zwiększał ilość spermy, odczekując zawsze dwa dni między wytryskami.

Podśmiewali się z tego, wracając samochodem do Woodley, ale był to śmiech nieco nerwowy. Odtąd, niestety, z ich intymności ubyło trochę dotychczasowej bez troski. Coraz bardziej zaczęli przedkładać chęć poczęcia dziecka nad przyjemność. Z miesiąca na miesiąc ich niepokój rósł.

CZWARTĄ rocznicę spędzili bez szumu. Amanda dochodziła do siebie po drobnym zabiegu chirurgicznym wykonanym przez kolejnego lekarza. Tym razem była to kierowniczka kliniki leczenia niepłodności położonej niedaleko Woodley. Poprosiła, żeby zwracali się do niej po imieniu. Emily nie tylko zadawała im pytania, których nikt wcześniej nie zadał, lecz również wykonała inne badania. W ten sposób wykryła niewielką niedrożność w jednym z jajowodów Amandy i chociaż nie sądziła, żeby tak drobna zmiana mogła mieć wpływ na cokolwiek, na wszelki wypadek poradziła ją usunąć.

Amanda i Graham zgodzili się skwapliwie. Wciąż mieli nadzieję na trójkę dzieci. Dom raptem stał się dla nich za duży i za cichy. Czasem każde z nich się zastanawiało po cichu, czy w ogóle doczekają się potomstwa.

W czwartą rocznicę największą satysfakcję czerpali z pracy. Firma „Projektowanie Krajobrazu O’Leary” kwitła. Graham wynajął apartament w centrum Woodley, gdyż dorobił się już dwóch asystentów zatrudnionych na pełny etat oraz kierownika administracyjnego. Do sadzenia wynajmował regularnie dwie ekipy z firmy swojego brata Willa.

Natomiast Amanda została rejonowym psychologiem szkolnym w Woodley, mogła więc przystąpić do próby unowocześnienia dość już przestarzałego systemu. Wprowadziła formy poznawania uczniów w neutralnych sytuacjach, takich jak seminaria dla przywódców, grupy przy obiedzie, programy pomocy społecznej. Podjęła pracę z psychologami przy trudnych przypadkach oraz stworzyła ekipę antykryzysową.

Mieli więc piękny dom, lubianą pracę, sąsiadów, miłość. Do ukoronowania ich czwartej rocznicy brakowało tylko jednego - dziecka.

DWA miesiące przed piątą rocznicą Amanda z Grahamem wyskoczyli w środku dnia na lunch. Rozmawiali o pracy, o pogodzie, o wyborze kanapki. Nie mówili tylko o porannym zajęciu Amandy, mianowicie ultrasonografu dla zbadania jej pęcherzyków jajnikowych ani o popołudniowym zadaniu Grahama, polegającym na oddaniu świeżego nasienia w celu sztucznego zapłodnienia Amandy. Już raz taki zabieg się nie powiódł. Teraz stali w obliczu drugiej z trzech możliwych prób.

Zaraz potem Amanda leżała sama w sterylnym gabinecie kliniki. Graham zrobił swoje i wrócił do pracy. Zajrzała Emily, żeby się przywitać. Czekanie wlokło się Amandzie w nieskończoność. Wreszcie na salę weszła laborantka i wstrzyknęła jej nasienie Grahama. Amanda знаła już procedurę. Miała leżeć dwadzieścia minut z lekko uniesioną miednicą, żeby nasienie mogło dostać się do macicy. Potem się ubierze, wróci do domu i będzie żyła przez dziesięć dni z sercem w gardle, myśląc, czy tym razem się uda.

Gdy tak leżała, poczuła ukłucie w piersi. Najchętniej przyjęłaby je za magiczną odpowiedź, że w tej właśnie chwili dziecko rozpoczyna dziewięciomiesięczny żywot w jej łonie. Wiedziała jednak, że to co innego. Strach.

Rozdział pierwszy

GRAHAM O'Leary kopał zapamiętałe ziemię. Rozsadzała go nerwowa energia. To był przełomowy dzień. Amanda albo dostanie miesiączki, albo nie. Rozpaczliwie trzymał się myśli, że nie dostanie, i to nie tylko dlatego, że ląkał się o dziecku. Był też drugi, nie mniej istotny powód. Graham czuł, że żona powoli się oddala od niego.

Przeżywał coś w rodzaju déjrá vu. Wiedział, jak to jest, kiedy druga osoba zaczyna się oddalać. Niegdyś mógł obserwować, jak Megan, jego pierwsza żona, wznosi pomału, potajemnie mur, zza którego nie mógł już dojrzeć jej myśli. Tym razem znał powód, co nie znaczy, że łatwiej mu było się z tym pogodzić. Do niedawna nadawali na tych samych falach. Teraz to się skończyło.

Pochrzążając w miarę kopania głębiej, przypomniał sobie ich sprzeczkę sprzed tygodnia, kiedy rzucił pomysł, by zredukowała liczbę godzin pracy w szkole, przez co się odpręży, a zatem może zwiększyć szansę na zapłodnienie. Amanda omal nie eksplodowała.

- Gray.

Zacisnąwszy zęby, wyciągnął kamień. Fakt, sam też pracował do późna. Ale to nie jego ciało miało stworzyć sprzyjające warunki dziecku. Chociaż nie śmiał puścić na ten temat pary z ust, bo Amanda od razu uznałaby to za wyrzut. Ostatnio wiele jego wypowiedzi interpretowała opacznie. Miała wręcz czelność wytknąć mu nieobecność podczas drugiego sztucznego zapłodnienia. Do diabła, przecież sama kazała mu sobie iść. A teraz twierdziła, jakoby nie zatrzymywała go, by nie czuł się nieswojo.

- Hej, Graham!

Podniósł głowę. Nad dołem przykucnął Will.

- Myślałem, że wyjechałeś - zdziwił się na jego widok.

- Wróciłem. Co robisz?

- Zapewniam sprzyjające warunki temu drzewu - wyjaśnił Graham, spoglądając na brzozę, która miała być głównym elementem widokowym zaprojektowanego przez niego patio. - Dół musi być dostatecznie szeroki i głęboki.

- Wiem - odparł Will. - Dlatego jutro z rana przyjedzie tu specjalnie koparka.

- Ech, chciałem tylko rozprostować kości - rzucił od niechcienia Graham i wrócił do pracy.

- Masz już wieści od Amandy?

- Nie.

- Mówiłeś, że zadzwoni, jak tylko coś będzie wiadomo.

- Czyli pewnie jeszcze nic nie wiadomo - uciał Graham.

- A tyś do niej nie dzwonił? - spytał Will.

- Nie - odparł Graham. - Dzwoniłem wczoraj po południu. Usłyszałem, że ją przypieram do muru.

- Stroi fochy?

Graham parsknął nerwowo śmiechem i wyrzucił na górę kolejną łopatę ziemi.

- Podobno to skutek clomidu. Ale mnie też nie jest lekko, chociaż go nie biorę. - A pod nosem cicho burknął: - Człowiek może się poczuć jak eunuch.

- No, muszę się zbierać - powiedział Will. - Mikey i Jake grają w małej lidze. Trenuję dziś z dziećmi. - Wstał. - Ale nie siedź za długo, dobra? Zostaw coś maszynie.

Mimo to Graham kopał jeszcze jakiś czas, zanim ruszył do domu, choćby po to, żeby przysypać myśl o małej lidze pod kolejnym kopcem ziemi.

- PANI ruch - powiedział Jordie Cotter. Miał piętnaście lat i pszeniczne włosy, podobnie jak trójka jego młodszego rodzeństwa.

Amanda знаła go, bo Cotterowie mieszkali dwa domy dalej. Jordie nie grałby z nią w gabinecie w warcaby, gdyby sądził, że to jakaś forma terapii. Formalnie rzecz biorąc, miał zrelacjonować, jak wywiązuje się z prac społecznych, które Amanda nadzorowała. Był u niej w tym celu po raz trzeci. Coś musiało się za tym kryć.

Wdzięczna, że nie musi myśleć o dziecku, Amanda zapatrzyła się w szachownicę. Przegrywała.

- Nie mam zbyt wielkiego wyboru - westchnęła.

- Ale musi pani wykonać ruch.

Kiedy przesunęła pionek, on zrobił podwójne bicie i wygrał.

- Specjalnie dała mi pani fory? - spytał.

- Niby dlaczego?

Wzruszył ramionami, uciekł spojrzeniem w bok. Najwyraźniej coś się z tym chłopakiem działo. W połowie semestru nagle bardzo opuścił się w nauce i zaczął się snuć po szkole z ponurą miną, która nawet teraz malowała się na jego twarzy. Z oczu wycierała czujność.

- Mama coś pani mówiła?

- O stopniach? Nie. W ogóle nie wie o naszych rozmowach.

- Jakie tam rozmowy! - Spojrzał na szachownicę. - Lepiej tu sobie pograć, niż ślęczyć przy lekcjach.

Amanda dotknęła ręką serca.

- Ranisz mnie, mówiąc w ten sposób.

- Na tym polega pani praca? Żeby uczniowie chcieli właśnie tu przychodzić?

- To się nazywa przełamywanie lodów.

Chłopak zaczął przestawiać pionki na szachownicy.

- Chodzi pani o prace społeczne? Wziąłbym się za doradztwo rówieśnicze, gdybym sądził, że potrafię, ale to nie dla mnie.

- Niby dlaczego?

- Nie jestem mocny w gębie.

- Wydaje mi się, że rozmawiasz z kolegami.

- To oni mówią. Ja przeważnie słucham.

- No widzisz - podchwyciła Amanda. - Na tym właśnie polega doradztwo rówieśnicze.

Młodzież szuka wentyla, a ty naprawdę umiesz słuchać.

- Tak, ale czasem sam chciałbym coś powiedzieć.

- Na przykład?

Wzniósł do nieba przepelnione cierpieniem oczy.

- Że szkoła to syf, dom to syf, baseball to syf.

- Baseball? Sądziłam, że lubisz grać.

- Lubiłbym, gdybym naprawdę grał. A ja przez cały czas siedzę na ławce. Wie pani, jakie to upokarzające? Koledzy patrzą. Moi rodzice patrzą. Po co oni w ogóle przyłożą na te mecze? Mogliby czasem sobie darować. Mama wiecznie przesiaduje w szkole. Julie i bliźniaki się cieszą, ale co oni tam wiedzą!

- Twoja mama robi dobrą robotę dla szkoły.

- Wie pani, jaki to obciach?

- Prawdę mówiąc - przyznała Amanda - nie wiem. Moi rodzice kłócili się przez cały czas, dlatego nie starczało im go ani na szkołę, ani na mnie.

Jordie wzruszył ramionami.

- Moi też się kłócą. Tylko tak, żebyśmy nie słyszeli.

Amanda mruknęła coś niewyraźnie.

- Cholera - rozległ się nosowy skrzek.

Amanda spiorunowała wzrokiem neonowozieloną papugę w klatce w kącie pokoju.

- Zamknij się, Maddie.

Jordie zagapił się na papugę. Maddie, podobnie jak warcaby, służyła przełamywaniu lodów. Niektórzy uczniowie zaglądali tu dzień w dzień przez miesiąc, podtykając ptakowi smaczne kąski, zanim się zdobyli na rozmowę.

- Dobry ptaszek - zagruchała Amanda w stronę klatki.

- Kocham cię - zaskrzeczała w odpowiedzi Maddie.

Jordie zerwał się na równe nogi, zarzucił plecak na ramię. Takim dzieciom jak on rozmowa o rodzicach zawsze nastęrczała trudności. Rozmowa o uczuciach jeszcze bardziej. Amanda nie zdążyła się odezwać, a chłopak już był za drzwiami i pędził pustym korytarzem, zagubiony w nurtujących go mrocznych myślach.

Zaczekaj, chciała krzyknąć za nim. Pogadamy o matkach, które się kłóć z ojcami. Możemy rozmawiać, jak długo będziesz chciał.

Już go jednak nie było, wróciła więc do tego, co zajmowało ją przez cały dzień. Powędrowała wzrokiem na biurko, gdzie w eleganckiej ramce stało zdjęcie Grahama. Mąż uśmiechał się do niej promiennie. Wiele dziewcząt zaczynało od komentowania jego twarzy. Zatem Graham też pomagał jej przełamywać lody.

Powinna do niego zadzwonić. Na pewno czeka na jej telefon. Ale jeszcze nic nie wiadomo i pewno nie będzie przed upływem wielu godzin. Poza tym ostatnio wszystko między nimi kręci się tylko wokół dziecka, czuła coraz dotkliwszą presję. On nieraz już dowiódł swojej sprawności. Najwyraźniej problem leżał po jej stronie. Niby mąż nie powiedział jej tego wprost, ale nie musiał. Amanda wyczuwała jego zniecierpliwienie.

Żeby oderwać się od tych myśli, usiadła wygodnie na kanapie, spojrzała na zegarek i zamyśliła się nad Quinnem Davisem. Było wpół do szóstej. Obiecała chłopcu, że pozostanie w gabinecie do szóstej.

Zaniepokoiły ją jego listy wysyłane pocztą elektroniczną. Pierwszy nadszedł z samego rana.

„Muszę z panią porozmawiać, ale poufnie. Mogę?”

„Jak najbardziej - odpisała Amanda. - Wszystko zostanie między nami. Mam wolną trzecią lekcję”.

Na trzeciej lekcji jednak się nie zjawił, za to na czwartej przyszedł od niego kolejny list. „Czy rodzice dowiedzą się o naszym spotkaniu?”

„Nie - odpisała Amanda. - Na tym polega zasada dyskrecji. Nie dowiedzą się, chyba że wyrazisz zgodę na piśmie. Mam wolne pół godziny po szkole, ale jeżeli musisz być wtedy na treningu baseballowym, możemy przesunąć spotkanie na później. Zostanę do szóstej. Odpowiada ci?”

Nie odpisał, a ona nic już więcej nie mogła zrobić. Nie mogła przecież nalegać.

Quinn Davis znacznie odbiegał od szkolnej przeciętnej. Uchodził za gwiazdora. Był gospodarzem drugiej klasy, doradcą wśród rówieśników, a także asem atutowym drużyny baseballowej. Starsi bracia, przedtem prymusi szkoły średniej w Woodley, byli teraz na studiach. Jeden w Princeton, drugi zaś w West Point. Ich rodzice angażowali się w działalność społeczną, bez przerwy wspomniani w lokalnej prasie, nie ustawiali w Hartford w walce o tę czy inną ważką sprawę.

Amanda zrzuciła pantofle, założyła nogę na nogę. Bardzo ceniła sobie fakt, że jej praca pozwala na noszenie swobodnych strojów. Uczniowie mieli w niej widzieć profesjonalistkę, ale zarazem bratnią duszę, co wymagało od niej nie lada wysiłku, bo przy swojej drobnej figurze i długich blond włosach wyglądała bardziej na dwadzieścia pięć niż na trzydzieści pięć lat. Powinna mieć strój gustowny, ale pod żadnym pozorem nie przytłaczający. Dzisiaj trafiła w dziesiątkę. Miała na sobie śliwkową jedwabną bluzkę i spodnie.

Z korytarza dobiegł jakiś hałas. Amanda zerwała się i podbiegła do drzwi, żeby sprawdzić, czy to nie Quinn. Na korytarzu stał woźny z mopem wystającym z wiadra na kółkach.

- Krrroczy Johnny - zaskrzeczała Maddie.

Amanda wypuściła powietrze.

- Witam, panie Dubcek - zwróciła się do woźnego. Siwy, przygarbiony mężczyzna nie kwapił się na emeryturę, chociaż za chwilę miała mu stuknąć osiemdziesiątka. Co wieczór karmił Maddie i czyścił jej klatkę.

- Nasłuchiwałem przez chwilę - wyjaśnił woźny skrzypiącym głosem. - Nie wchodziłbym, gdyby ktoś tu u pani był.

- Ale nikogo nie ma - powiedziała z uśmiechem. Po chwili jednak uśmiech zniknął, kiedy poczuła w dole brzucha dobrze sobie znany skurcz.

Z bijącym sercem pobiegła do ubikacji. Wiedziała swoje na długo, zanim zamknęła drzwi kabiny. Bombardowana tuzinem różnych emocji, z wielkim poczuciem przegranej, rozplakała się.

W końcu zabezpieczywszy się jak należy, umyła ręce, osuszyła papierowym ręcznikiem oczy. Rozbolała ją głowa, ale nie miała na podorędziu żadnego ratunku. Tym bardziej więc nie miała siły roztkliwiać się nad problemami Quinna Davisa. Modląc się w duchu, żeby chłopak się już nie zjawił, wróciła do gabinetu, zamknęła komputer i pomachawszy woźnemu w głębi korytarza, wyszła ze szkoły.

GRAHAM jechał półciężarówką, kiedy zadzwonił telefon. Serce zaczęło mu walić.

- Tak? - odebrał, ale to nie była Amanda. Dzwonił jego brat Joe.

- Masz jakieś wieści?

- Nie. Jadę do domu.

- Bo mama pytała.

- To do niej podobne - zachnął się Graham. - Wiesz, czasem żałuję, że w ogóle komukolwiek cokolwiek powiedziałem.

- Sami dopytywaliśmy.

Święte słowa. Po miesiącu małżeństwa zaczęto zasypywać ich pytaniami i nie przestano do tej pory. Upokarzała go świadomość, że cała rodzina śledzi ich każdy krok.

- Mama lamentuje i załamuje ręce - powiedział Joe o ich matce, Dorothy. - Mówi, że chciałyby jeszcze przed śmiercią zobaczyć twoje dzieci.

- Joe, na głowę upadłeś? Nie dokopuj mi w takiej chwili.

- No wiem. Tylko chciałem cię uprzedzić. W kółko powtarza, że nie powinieneś być rozstawać się z Megan.

- Joe, bądź tak dobry i przypomnij mamie, że jestem mężem Amandy, co? - syknął Graham. - Czekaj, mam drugi telefon - skłamał, bo nie chciał ciągnąć tej rozmowy. - Oddzwonię.

Rozłączył się bez słowa i jechał dalej w głuchej ciszy drogami, które znał jak własną kieszeń. Uwielbiał te lokalne dróżki wijące się przez lesiste wzgórza. Mapa ich miasteczka przypominała drzewo - pień wyrastał niejako z autostrady, rozwidlał się na grzbiecie wzgórza, rozchodził na obie strony, przy czym w dolnych konarach zagnieździły się urzędy władz miasta, biura i sklepy, w odchodzących od nich gałęziach domy, a na samym końcu takie zaułki jak ten, w którym mieszkali z Amandą.

Wjeżdżając pod górę w zakręt, minął pole czerwonych lili. Dalej zobaczył żółtą lilię tygrysią, a jeszcze dalej gęsty zagajnik wawrzynów obsypanych pięknymi białymi kwiatami.

Mniej obeznany przechodzień nie poznałby trędownika z kasztanowym kapturem w cieniu na poboczu drogi, ale Graham był specjalistą. Na pierwszy rzut oka rozpoznawał różne paprocie: wioski złotowłos, zachyłkę trójkątną czy orlicę, odróżniał mchy od porostów.

Okoliczne lasy obfitowały w najrozmaitsze gatunki roślinności. Graham bardzo się nimi szczyił Sam pochodził z miasteczka, w którym po dziś dzień mieszkała większość jego rodziny, leżące go zaledwie pięćdziesiąt minut drogi samochodem na wschód, ale dzieliła je

przepaść. Tamto stanowiło enklawę klasy pracującej, pełną poczciwych ludzi, którzy marzyli o zamieszkaniu tutaj. Marzenie Grahama się ziściło.

Centrum znajdowało się na rozstajach dróg u szczytu wzgórza. Zbiegały się tam trzy ulice wysadzone bukami z ciągiem drewnianych ław i witryn sklepów, kuszących zarówno w zimowej bieli, jak i teraz, w maju. Wokół rozlokowało się kilka restauracji i butików, sklep z artykułami żelaznymi, ze sprzętem fotograficznym oraz najnowszy lokal - herbaciarnia. Biuro Grahama mieściło się nad sklepem z artykułami domowymi, którego właściciel niejednego przybysza do Woodley odesłał właśnie do jego firmy.

Teraz jednak nie wstępował do biura. Rozdrażnił go brak telefonu od Amandy, brak troski o niego. Zdenerwował się na nią, że tak długo nie zachodzi w ciążę. Ta myśl dosłownie go zmroziła. I nie chciała go odstąpić, choć wiedział, że nie jest teraz fair wobec żony. Cała ta gonitwa myśli przyprawiła go zresztą o niebagatelne wyrzuty sumienia.

W DRODZE ze szkoły do domu Amandą czuła się pusta w środku, wypalona. Wyjęta szylkretowy grzebień z włosów, roztrzepała loki i usiłowała znaleźć pociechę w pozytywnych myślach. Powinna być wdzięczna losowi za tyle bogactw, o których inni mogli tylko marzyć. Chociażby piękny dom i trzy sąsiadki, z których dwie mogła uznać za przyjaciółki. Trzecia, młoda wdowa po Benie Tannenwaldzie, trzymała się na uboczu, ale pozostałe wystarczyły jej aż nadto. Wiosną przesiadywały razem na werandzie, latem urządzały przyjęcia w ogrodach za domami, jesienią wspólne grabienia liści. Co ważniejsze, panie rozmawiały sobie od serca przez telefon, na ganku albo nad basenem Cotterów.

Teraz bardzo przydałaby jej się taka rozmowa. Obie przyjaciółki zapewniłyby ją, jak jej zazdrosczą kariery. Karen Cotter też ciężko pracowała, a nie dorobiła się takiej pensji ani poważania. Z kolei Georgia Lange, która wprawdzie zarabiała krocie, co najmniej kilka dni w tygodniu musiała spędzać poza domem.

Amandą może nie zarabiała dużo, lecz uwielbiała swoją pracę. No i jaka wygoda! Szkoła znajdowała się dziesięć minut drogi od domu. Gdyby Amandą urodziła dziecko, mogłaby zamienić cały etat na stanowisko doraźnej konsultantki. Mogłaby dostać odpowiadający jej limit godzin i przyjmować uczniów choćby w domu.

Samochód zamruczał, kiedy skręciła w ich uliczkę. Ale nie zobaczyła na podjeździe półciężarówki Grahama.

Rozważając, co to może znaczyć, otworzyła oba okna. Powiew ciepłego powietrza ją ukoił. Na początku maja zieleń wokół tych czterech domów budziła się do życia. Trawa właśnie się zazieleniła, już ją nawet ścięto, leżała więc teraz w pokosach, roztaczając upojny

zapach. Wielkie dęby, obwieszczając nieuchronność praw natury, wypuszczały listki, tworzące jasnozieloną mgielkę. Brzozy w sukniach z poskręcanej białej kory ociekały pąkami. Krokusy przebiły się na świat i już znikły, podobnie jak forsycje, ale pozostały jeszcze łąty żółtych żonkili i rozkwitłych ledwo tulipanów. Przy barierkach ganków przeżyły się bujne krzaki bzów, i chociaż jeszcze tydzień pozostawał do pełnego rozkwitu, same pąki rozsiewały dookoła intensywną woń.

Amanda, skręcając na swój podjazd, wciągnęła powietrze. Wiosna była jej ulubioną porą roku. Uwielbiała jej świeżość, czystość, poczucie narodzin.

Poczucie narodzin. Zaparkowała, zaciągnęła hamulec i zastanowiła się, dlaczego wszystko sprowadza się do tego jednego.

Ze ściśniętym sercem sięgnęła po teczkę, wyprostowała się i wtedy coś jej mignęło w lusterku wstecznym. Wdowa Gretchen Tannenwald szła wzdłuż świeżo obsadzonych klombów. Przez całą jesień godzinami nad nimi pracowała, zanim wsadziła cebulki. Pracowała zamknięta w sobie jak w twierdzy, podczas gdy wszyscy wokół żyli pełnią życia. Próby wyciągnięcia do niej ręki uciniała krótko i stanowczo. Aż trudno uwierzyć, że niegdyś była żoną nader towarzyskiego Bena.

Chociaż z drugiej strony, nietrudno. Gretchen była prawie dwa razy młodsza od Bena i stanowiła całkowite zaprzeczenie jego zmarłej żony June. Widocznie potrzebował drastycznej odmiany, żeby otrząsnąć się z żałoby.

Wszyscy okoliczni mężczyźni jej bronili.

- Z daleka widać, że ona go ubóstwia - mówił Russ Lange. - Wszystkim facetom się to podoba.

Lee Cotter, szef witryny internetowej. ujął rzecz jeszcze bardziej dosadnie.

- Dlaczego miałyby się nie podobać? Taka sztuka? Graham twierdził, że Ben uwielbiał jej dynamiczność.

- Dzięki niej zaczął podróżować, jeździć na wyprawy, grać w tenisa. Gretchen otwiera nowe drzwi.

Sąsiadki okazały mniej zrozumienia. Ich zdaniem małżeństwo Tannenwaldów opierało się na dwóch rzeczach: seksie dla Bena i forsie dla jego młodej żony.

Nie wyjaśniało to jednak, dlaczego Gretchen teraz żyła w samotności. Amanda spodziewała się, że sprzeda dom, zabierze pieniądze i wyjedzie. Tymczasem szła ku niej właśnie w kusej, powiewnej sukience, w której nie wyglądała nawet na swoje trzydzieści dwa lata.

Amanda wręcz oceniła, że w tej sukience wygląda, jakby była w dość zaawansowanej ciąży.

Byłoby to niezmiernie dziwne. Ben odszedł rok temu, czyli nie mógłby być sprawcą, a Gretchen po jego śmierci zamknęła się w domu. Nie spotykała się z nikim, bo z pewnością ktoś by zauważył.

Zdaniem Amandy, jedyni mężczyźni, którzy bywali u niej w domu, to hydraulik, stolarz i elektryk, a także z drobnymi sąsiedzkimi sprawami - Russ Lange, Lee Cotter i Graham O'Leary.

Rozdział drugi

AMANDA wyglądała wciąż przez tylne okno samochodu, kiedy nadjechał zielony pick-up Grahama. Serce jej podskoczyło, za pomniała o Gretchen, wysiadła, ruszyła w jego stronę. On jeszcze z daleka wpatrywał się w nią pytającym wzrokiem, ale od razu się domyślił. Opadł na tylne siedzenie jak przekłuty balon.

- Dostałaś okres.

Była mu wdzięczna, że nie usiłował z niej tego wyciągnąć.

- A tak się łudziłem, że tym razem chwyci - westchnął zrezygnowanym głosem.

Amanda oparła się o pick-upa.

- Ja też. Lekarka zresztą także. Wszystko teraz było tak dokładnie wyliczone.

- No więc w czym problem? - spytał sfrustrowany

Amanda przycisnęła ręce do piersi.

- Nie wiem. Było osiem jajeczek. - Jej też się udzielił smętny nastrój. - Przynajmniej jedno mogłoby się zapłodnić.

- Więc co tu nawala?

Amandę aż coś ukłuło w sercu. Zabrzmiało to jak wyrzut.

- Nie wiem, Gray. I lekarze nie wiedzą. Piętnaście procent przypadków niepłodności pozostaje niewyjaśnionych. Słyszałaś, co mówi Emily.

- Tak, ale też twierdzi, że w ciągu trzech lat sześćdziesiąt procent z tych par płodzi dziecko bez wspomagania, na czym zatem polega nasz problem?

Amanda nie wiedziała.

- Robię wszystko, co mi każą. Mierzę temperaturę, prowadzę wykresy, przyjmuję clomid. Tym razem nawet zrobiłam sobie USG, że by dokonać inseminacji właściwego dnia.

- No, to dlaczego nie zaszłaś w ciążę?

Powtarzała sobie w duchu, że Gray irytuje się na sytuację, a nie na nią. Mimo to poczuła się zaatakowana, jak gdyby wina leżała po jej stronie, jak gdyby jej ciało zawiodło. Bliska łez, odczekała chwilę, zanim się odezwała.

- Gray, mnie też nie jest łatwo. Jest mi trudno emocjonalnie, bo winduję nadzieję, a potem to przeżywam. Trudno fizycznie, bo od clomidu bolą mnie piersi i wysiada żołądek. I nie mów mi, że te same objawy miałabym w ciąży, bo wtedy by mi nie przeszkadzały.

Poczuła taki sam strach, jak ostatnim razem w klinice. Czowała, że traci Grahama. Że życie ich rozdziela.

- Dzieci powinny być owocem miłości - ciągnęła rozżalona. - Powinno się je poczynąć w zaciszu sypialni. Nasze zabiegi urągają miłości. Marnujemy najcenniejszą część życia na wizyty lekarskie, proszki, wykresy, wyliczenia. Jest mi też trudno w związku z moją pracą. Ostatnio połowa moich podopiecznych z problemami to nastolatki w ciąży.

Nie powstrzymała się od płaczu.

- Doprawdy, ironia losu. One kochają się raz, i pach! Od razu dziecko. A my próbujemy od czterech lat.

Ironia to zbyt mało powiedziane. Amandzie cisnęły się do głowy takie określenia, jak niesprawiedliwość lub wręcz okrucieństwo. Skoro już poruszyła temat innych brzemiennych kobiet, dorzuciła:

- Aha, jeszcze Gretchen jest w ciąży.

Graham jakby nie od razu usłyszał. Po chwili podniósł na nią zdumiony wzrok.

- Gretchen Bena?

- Właśnie widziałam ją w ogrodzie. Jest w ciąży.

Graham się skrzywił.

- Niemożliwe - zaprzeczył. - Przecież jej mąż nie żyje.

Amanda otarła łzy z policzków.

- Przecież nie zawsze mąż jest ojcem dziecka.

Chcąc jednak zapobiec kłótni, uciec od zarysowującej się między nimi przepaści, ruszyła podjazdem. Mąż zawołał za nią:

- Dzwoniłaś już do lekarki?

- Jutro zadzwonię.

- Próbuje jeszcze raz?

- Nie wiem - odkrzyknęła, nie zatrzymując się nawet.

- Dokąd się tak spieszysz? - zawołał, nieco poirytowany.

- Do sąsiadów - odkrzyknęła. - Chcę zapytać Russa o Gretchen. Przesiaduje w domu cały dzień. Będzie wiedział, czy ona kogoś ma.

AMANDA przemierzyła trawiasty dywan, minęła kępę sosen dzielącą willę Lange'ów od jej domu. Zapach wilgotnej ziemi i żywicy zadziałał balsamicznie, toteż już znacznie spokojniejsza stuknęła do kuchennych drzwi sąsiadów.

- Otworzyłbym ci - krzyknął Russ Lange z głębi kuchni - ale muszę mieszać sos!

Russ, tyczkowaty rudzielec z przerzedzonymi włosami na głowie, stał przy kuchni. Na szorty i sportową koszulkę miał narzucony fartuch. Był boso. Twierdził, że życie na bosaka to największa frajda mężczyzny zajmującego się domem.

Był dziennikarzem. Najwięcej zarabiał na recenzjach książkowych, ale najczęściej satysfakcji czerpał z cotygodniowego felietonu na temat rodzicielstwa. Jego żona Georgia była dyrektorem we własnej firmie, która wymagała od niej przebywania przez większość tygodnia poza domem. Dlatego Russ na ogół zajmował się dziećmi. Stał się, według Amandy, godnym pochwały ojcem czternastoletniej Allie i jedenastoletniego Tommy'ego. A przy tym naprawdę niezgorszym kucharzem.

- Smakowicie pachnie - pochwaliła.

- Cielęcina na winie, ale dolewam tylko kroplę ze względu na dzieciaki. - Mieszając sos, uśmiechnął się pytająco do Amandy. - Co u ciebie?

- Bywało lepiej. - Podeszła, zajrzała do garnka. - Musisz mi pomóc, Russ. Pokłóciłam się z Grayem. Mówię mu, że Gretchen jest w ciąży. On upiera się, że nie. Co ty na to?

Przysięgłaby, że Russ się zaczerwienił. Ale zaraz uznała, że to chyba żar od kuchni.

- W ciąży? - powtórzył. - Jak rany, nic na ten temat nie wiem.

- Nie zauważyłeś, że się zaokrągliła? Teraz na pewno spurpurowiał na twarzy. Nie, to nie mogło być od kuchni.

- Niczego nie zauważyłem. Ale jak by mogło do tego dojść?

Amanda roześmiała się, gdyby sama była w innym położeniu.

- Zapewniam cię, że normalnie. Mówiłam Grayowi, że zauważyłbyś, gdyby ktoś ją odwiedzał. Russ mieszał skwapliwie w garnku.

- Coś ty. Ślęczę cały dzień przy komputerze.

Aż zagryzł policzek od środka, tak się zamyślił.

- I co? - zapytała.

- Zadumałem się nad Benem - odparł. - Jak ucieszyłyby się z ojcostwa w tym wieku.

- Pewno mniej by się ucieszyły jego dzieci - wypaliła. - Miały kłopoty nawet z akceptacją Gretchen. Dziecko dołałoby oliwy do ognia. Ale Ben nie mógł być ojcem. Terminy się nie zgadzają.

Amanda podeszła do drzwi i nagle poczuła się głupio, że tak naskoczyła na Grahama. Przecież on też cierpiał.

- Mógłbym skoczyć do Gretchen i ją spytać - zaferował się Russ. - Dawno z nią nie rozmawiałem. W zimie nie widuje się sąsiadów tak często jak w lecie. A od lata minęło osiem

miesiący. Poza tym wiecznie tylko albo praca, albo dzieci, albo amory z własną żoną, kiedy zajrzy do domu. - Zadzwonił telefon.

Amanda z mieszanymi uczuciami zbierała się już do wyjścia, kiedy Russ wytknął głowę przez okno w kuchni.

- Dzwoni Graham. Masz pilne wezwanie.

Skinęła głową i ruszyła. Z naprzeciwka przez trawnik szła Karen Cotter z tacą przykrytą folią.

Karen była średniego wzrostu i średniej budowy, rzadko się malowała i wiecznie przytrzymywała kasztanowe loki przepaskami, żeby nie opadały jej na twarz. Amanda zorientowała się, że Karen niedostatki urody nadrabia uczynnością i niespożytą energią. Dowoziła okoliczną dzieciarnię do szkoły, pracowała w świetlicy z dziećmi, przewodziła podwórkowym wyprzedacom, była przewodniczącą rady rodziców. Jeśli doliczyć do tego czwórkę własnych dzieci w wieku od piętnastu do sześciu lat, nic dziwnego, że się musiała uwijać. Ostatnio chodziła jednak zmęczona i spięta.

- Jutro w szkole jest kiermasz wypieków - powiedziała. - Obiecałam Russowi, że go odciążę i upiekę trochę więcej ciasteczek, żeby i Tommy miał co zanieść.

- Ależ ty masz dobre serce - pochwaliła Amanda. - Jak dzieci?

- Astma bliźniaków nasiliła się z powodu wzmożonego pylenia, ale poza tym wszystko w porządku. A co u ciebie?

- Dziękuję, w porządku.

Karen uniosła brwi, czekając na wieści. Lecz Amanda pokręciła głową.

- Nie przyjęło się.

- Och, Mandy, tak mi przykro.

- Mnie też. Tyle kobiet tak łatwo zachodzi w ciążę. A propos, rozmawiałaś ostatnio z Gretchen?

- Nie, jakoś nie. Witamy się tylko w przelocie.

- Moim zdaniem jest w ciąży.

- W ciąży? - Karen aż się wyprostowała z wrażenia. - Niemożliwe. Przecież z nikim się nie widuje, nigdzie nie jeździ. Nadal nosi żałobę po Benie.

- Mandy! - krzyknął Graham przez oba ogrody.

- Wzywają mnie - wyjaśniła Amanda i objęła Karen. Ciepło pomyślała o tej kobiecie niedocenianej przez najbliższych, którym usługiwała najbardziej. A już najgorzej traktował ją mąż, Lee.

Amanda weszła tylnymi schodami do kuchni. Graham opierał się o ladę. Minę miał nadąsaną, najwyraźniej o to, że Amanda tak bezceremonialnie przerwała ich rozmowę. Trzymał w ręku jakiś świstek papieru.

- Dzwoniła Maggie Dodd.

Maggie była zastępcą dyrektora szkoły.

Amanda wybrała numer, zgłosiła się Maggie.

- Przepraszam, że zakłócam ci spokój, ale mamy kłopot. Po południu zdarzył się wybryk na treningu drużyny baseballowej. Rej wodził Quinn Davis.

- Quinn Davis? - powtórzyła, żeby Graham usłyszał. Na pewno znał to nazwisko. W tak niewielkiej miejscowości lokalny tygodnik musiał kreować bohaterów i ostatnio właśnie wylansował Quinna.

- Wraz z gronem kolegów przyszedł na trening pijany - oznajmiła Maggie.

- Och nie. - Amanda aż jęknęła.

- Och tak. Trener natychmiast przyprowadził ich do mnie. Zadzwońabym wcześniej, ale chwilę zabrało nam skontaktowanie się z rodzicami Quinna. Prowadzili w ratuszu kampanię na rzecz melioracji mokradeł i nie przyjęli najlepiej, że ich nagabujemy. Ale już są teraz w drugim pokoju i omawiają z trenerem, jaką karę zastosować. Potrzebne nam twoje zdanie. Rodzice chcieliby wszystko zatuszować. Sęk w tym, że cała drużyna widziała go pijanego. Jeżeli go nie ukarzymy, to jaki przykład damy innym?

Amanda wiedziała, jaki. Nie chciała go dawać ani innym uczniom, ani Quinnowi. Chłopak musi wreszcie nauczyć się odpowiadać za własne czyny.

- A ukaraliście pozostałych? - spytała.

Maggie udzieliła wymijającej odpowiedzi. Amanda spojrzała na Grahama. Z trudem się hamował. Świdrował ją ciemnozielonymi oczami, domagając się uwagi. Targały nią sprzeczne uczucia. Najpierw powinna zażegnać konflikt we własnym domu.

- Zaraz będę - rzuciła do słuchawki.

Graham zacisnął zęby i odwrócił wzrok. Kiedy Amanda odłożyła słuchawkę, spojrzał na nią z wyraźnym wyrzutem. Wdała się w wyjaśnienia, chcąc, żeby ją zrozumiał.

- Innych zawodników zawieszono do końca sezonu. Rodzice Quinna naciskają, żeby nie stracił nawet jednego meczu, nie mówiąc o sześciu.

- Czy Maggie nie mogłaby sama tego rozwiązać?

- Potrzebują arbitra.

- Ci rodzice cieszą się sporym autorytetem. Pakujesz się w kłopotliwą sytuację.

- Gray, a jaki mam wybór? Najważniejszy jest tu Quinn. Chciałabym mu pomóc.

- To silny chłopak. Zresztą, spójrz na jego dokonania.

- Może tak to z boku wygląda. Ma dwóch starszych braci wykreowanych na gwiazdorów, którym usiłuje dorównać. No i rodziców o ambicjach rozmiarów Teksasu. Znalazł się w potrzasku. Rodzice wzięli go teraz dosłownie w dwa ognie. Co za niesprawiedliwość!

- Dużo jest niesprawiedliwości na tym świecie - mruknął sentencjonalnie Graham, odwracając się. Nagle Amanda zapragnęła o tym porozmawiać. O ich problemach, o sprawach rozbijających ludziom związki i o możliwościach ich rozwiązania. Chciała porozmawiać o marzeniach, które ulatują z dymem.

Ale nie miała siły. Dawniej rozmowy z Grahamem przychodziły jej bez trudu. Teraz wymagały większego namysłu i serca.

- Nie zabawię długo - obiecała i wyszła.

TUŻ po jej odjeździe Karen, z kolejną tacą ciasteczek przykrytych folią, przemierzyła swój ogród za domem, kierując się pod wiktoriańskie drzwi Gretchen Tannenwald. Weszła po schodach od tyłu, zapukała, wspominając swoje rozmowy z June na tym ganku. June nieomal matkowała wszystkim trzem sąsiadkom. Nie żyła od trzech lat i Karen bardzo jej brakowało.

Kiedy nikt nie odpowiedział, zadzwoniła, po czym zajrzała przez gotyckie okno. Już miała ponownie nacisnąć dzwonek, gdy Gretchen otworzyła. Miała na sobie leginsy, luźną męską koszulę zachlapaną farbą, a w oczach czujność.

Nie spiesząc się, podeszła do kuchennych drzwi.

Karen podała jej tacę.

- Ciasteczka z czekoladą. Musiałam napiec mnóstwo na kiermasz do szkoły i przesadziłam trochę ze składnikami, no więc obdzieliłam jeszcze dzieci Russa. A ponieważ zostało mi czekolady, nie chciałam, żeby się zmarnowała.

- Och - skwitowała krótko Gretchen.

- Wyświadczysz mi przysługę, jeżeli przyjmiesz. - Karen podsunęła tacę w jej kierunku. - Bo jeśli zostaną u mnie, to zjem co najmniej tyle, ile dzieciaki, i tylko pójdzie mi w biodra.

Kiedy Gretchen wzięła od niej tacę, zadzwonił telefon. Przeprosiła cicho i poszła go odebrać.

Karen wpatrywała się w jej brzuch, ale luźna koszula skrywała wszystko.

Gretchen powiedziała: „Halo”, odczekała, powtórzyła i odłożyła słuchawkę.

- Akwizytor? - spytała Karen. - No tak, to ta pora. Ledwie człowiek usiądzie do obiadu, a tu drrr, już są.

- Nie, nie akwizytor - westchnęła Gretchen. - Głuchy telefon.

- O, to równie niemiłe. Często miewasz takie głuche telefony?

Gretchen zastanowiła się. potrząsnęła głową, po czym odstawiła ciasteczka na ladę. Dopiero wtedy koszula oblepiła jej brzuch i wszystko stało się jasne.

- No, no - mruknęła Karen, podnosząc wzrok odrobinę za późno.

Trzeba przyznać, że Gretchen wcale się nie wypierała. Położyła rękę na wyraźnie teraz sterczącym brzuchu. Ale Karen wolała się upewnić.

- Czyżbyś była... Gretchen pokiwała głową.

- W zaawansowanej?

- Siódmy miesiąc.

- No tak, siódmy. - Karen szybko porachowała w myślach. Oznaczało to poczęcie w listopadzie. Nie, w październiku. - Nie wyglądasz na siódmy miesiąc ciąży. - Urwała, dając Gretchen czas na wyjaśnienie sprawy ojcostwa. Kiedy tamta się nie odezwała, Karen wskazała koszulę zapryskaną żółtą farbą. - Przygotowujesz pokój dziecienny?

- Aha.

- Fajnie. A wiesz już, czy to chłopiec, czy dziewczynka?

Gretchen pokręciła głową.

- Jasne - dopowiedziała Karen. - Nawet się nie zająkną o badaniach prenatalnych, jeżeli kobieta nie skończyła trzydziestu pięciu lat. - Znów urwała. - Czy ta ciąża była... - szukała słowa niby to od niechcienia - planowana?

- Oczywiście, że nie. No skąd.

Przynajmniej tyle, pomyślała Karen, chociaż nie dowiedziała się tego, co chciała.

- Ale pragniesz tego dziecka?

- Jeszcze jak!

- A jego ojciec?

No dobra, wreszcie się zdobyła!

Gretchen zamilkła na chwilę, uniosła brwi, jak gdyby chciała spytać, ale o co dokładnie pytasz.

- Cieszysz się? - podpowiedziała Karen.

- Nawet nie wie. Ma inne zobowiązania.

Karen wcale się to nie spodobało. Rzuciło cień na jej najbliższe sąsiedztwo. Nie wiedząc, co by tu dodać, powiedziała po prostu:

- Mam nadzieję, że ciasteczka będą ci smakowały.

Pomachała ręką i wyszła.

Chciała wierzyć, że ojcem nie jest Lee. Nie obchodziło jej kto, byle nie jej mąż. Gretchen miała powodzenie u mężczyzn, zwłaszcza u panów pod pięćdziesiątkę, którzy pragnęli oszukać czas. Lee miał czterdzieści siedem lat. I już mu się zdarzały skoki w bok, ostatnio z pomocą dentystyczną.

Raptem znużona, wróciła do domu, w nadziei, że Lee zadzwoni z jednym z tych swoich kłamstw grubymi nićmi szytych. Na przykład, że musi koniecznie pokazać się na konferencji albo zaprosić programistów na kolację, bo właśnie dotrzymali ważnego terminu. I wtedy mogłaby go spytać.

Lee był geniuszem informatycznym. Przynajmniej Karen tak sądziła, skoro jego firma prosperowała. Sama nie miała zielonego pojęcia o komputerach, zresztą on jej wcale nie zachęcał. W chwilach największej podejrzliwości zastanawiała się, co by znalazła, gdyby przetrząsnęła jego pocztę elektroniczną. Zaraz jednak dopadały ją skrupuły, a wraz z nimi nienawiść do samej siebie. W końcu był jej mężem. Byli małżeństwem siedemnaście lat. Kiedy wyjawiała, że wie o romansie i zagroziła odejściem, Lee zalał się łzami i przysięgł, że już po wszystkim, że kocha ją, Karen, i że będzie jej wierny.

Tyle że ta pomoc dentystyczna nie była pierwsza. Przysięgał już tak wcześniej i za każdym razem łamał słowo. Karen przestała mu bezbrzeżnie ufać.

GEORGIA Lange siedziała sama w pokoju hotelowym w San Antonio, ledwie zdając sobie sprawę z otoczenia. Po tylu nocach spędzonych przez ostatnie lata w hotelach, wszystkie pokoje były do siebie podobne.

Kiedy wieczorem zadzwoniła do domu, numer bez przerwy był zajęty, co mogło znaczyć, że córka nie odkłada słuchawki między kolejnymi rozmowami. I rzeczywiście, kiedy znów zadzwoniła, Allie odebrała z przejęciem:

- Halo?

- Witaj, kochanie.

- O, mama - powiedziała dziewczynka zaaferowanym głosem. - Wiesz, że Quinna Davisa wywalili ze szkoły?

- Co takiego?

- Przyszedł na trening baseballowy kompletnie nawalony. Czekał. Muszę odebrać drugi telefon.

Usłyszała trzask, potem ciszę. Pijany? Georgię aż przeszedł dreszcz.

Allie wróciła.

- Nie mogą go wyrzucić. Przecież to gospodarz klasy - podjęła wzburzona.

- Za coś takiego powinni.

- No coś ty, mamó. To by przekreśliło cały sezon drużynie baseballowej. Zanosiło się na to, że wygramy rozgrywki...

- Allie, daj spokój z baseballlem. Co w niego wstąpiło, że się upił?

Allie westchnęła.

- Oj, mamó, przecież wszyscy popijają.

- Ale chyba nie ty. Czy ty też?

- Przecież wiesz, że nie. E, teraz żałuję, że w ogóle ci powiedziałam. To żadne wielkie mecyje.

- A jednak - powiedziała Georgia.

Allie miała czternaście lat, poszła o rok wcześniej do szkoły. I teraz dorastała za szybko.

- Szkoda, że mnie tam nie ma.

- Chcesz pogadać z tatą?

Georgia chciała. Kiedy Russ wziął słuchawkę, natychmiast poczuła ulgę. Był jej opoką. Nigdy nie zrobiłaby kariery zawodowej, gdyby nie jego stała obecność w domu.

- Och, Russ - przywitała go z westchnieniem. - Allison powiedziała mi o Quinnie. Naprawdę upił się w środku dnia?

- Na to wygląda - potwierdził spokojnie Russ.

- Jakoś mi to do niego nie pasuje.

- To prawda.

- Czy Allie rozumie chociaż, jakie to złe dla zdrowia i jakie niebezpieczne?

- Zrozumie. Na pewno. Wiadomość ledwie do nas dotarła.

- Martwię się, że jej koledzy piją - wyznała mężowi Georgia.

- To dobre dzieciaki.

- Quinn niby też.

- Nie rozdmuchuj tak sprawy.

Może i rozdmuchiwała. Ale trudno było o trzeźwą ocenę tyle tysięcy kilometrów od domu.

- Czy Tommy przygotował się do sprawdzianu?

- Jak zawsze. Sprawdziłem mu pracę domową.

Nagle zapragnęła aż do bólu być z nimi wszystkimi w domu.

- Russ, nie podoba mi się to życie. Czuję, że za dużo tracę.

- Nie martw się. Panuję nad wszystkim.

- Wiem. Ale wolałabym być razem z wami.

- Sama chciałaś pracować. Nie da się wszystkiego pogodzić. W czyichś innych ustach ta uwaga mogłaby zabrzmieć fałszywie. Ale Russ powiedział to ciepło. Poza tym zawsze pierwszy przyznawał, że jej praca daje mu wolną rękę. Kiedy był jedynym żywicielem rodziny, musiał we własnej pracy brać więcej dodatkowych zajęć. Nie ukrywał, że woli takie rozwiązanie jak teraz.

- Coś jeszcze u was nowego?

- Właściwie to nic. Może tyle, że nasza Amanda nie zaszła jednak w ciążę.

- Biedactwo. - Georgię aż coś zakłuło w sercu. - Pewno jest bardzo przybita.

- Żebyś wiedziała.

- I co teraz zamierzają?

- Nie wiem. Nie pytałem.

Georgia zapytałaby, bo przez ostatnie cztery lata bardzo się zaprzyjaźniła z Amanda. Russ był nieoceniony w większości spraw dotyczących wychowania dzieci i prowadzenia domu, ale nigdy nie zastąpi jej przyjaciółki.

- Zapytam jutro - powiedziała, znajdując w tym kolejny powód do szybkiego powrotu do domu. Tęskniła za rozmowami w gronie przyjaciółek. - Jak Graham to przyjął?

- Nie mam pojęcia. Niezły temat na felieton - jak to wygląda z męskiego punktu widzenia. Już idę - odskrzyknął w głąb domu. - Muszę kończyć, kochanie. Odwożę Allie do domu Brooke'a.

- Czyli nic się więcej nie zdarzyło?

- Nie. Czekam na ciebie jutro.

Georgia po odłożeniu słuchawki poczuła się odsunięta na boczny tor. Nie zawsze tak było. Jeszcze nie tak dawno całe ich życie kręciło się wokół niej. Usiłowała przypomnieć sobie teraz te dni - zwłaszcza ich złe strony, żeby docenić swoje obecne położenie. Przypomnieć sobie frustrację z powodu wiecznego prania, zbierania zabawek, planowania zabaw dzieci, lekcji muzyki, gry w piłkę nożną.

Ale negatywy jakoś jej umykały. Napływały jedynie dość mile wspomnienia.

Tak czy owak, nie cofnie zegara. Minęło siedem lat, odkąd otworzyła własną firmę i do dzisiaj nie mogła się nadziwić, że tak się rozrosła. Gdyby Georgia miała wygłosić pogadankę na temat klucza do sukcesu, nie wiedziałaby, co powiedzieć. Po prostu trafiła w dziesiątkę. Sok z warzyw nie był niczym nowym. Tyle że nikt przedtem nie nazwał go

Buraczanym Kordialem ani tak przemyślnie nie opakował, proponując pięć pysznych smaków poza burakami. Zaczęło się od domowej produkcji w kuchni miejscowego restauratora i dystrybucji do kilku okolicznych sklepów. Teraz mieli zakłady przetwórcze na obu wybrzeżach, surowce napływały z pół tuzina krajów, a sprzedaż obejmowała wszystkie największe sieci supermarketów.

Pewien potentat na rynku artykułów spożywczych nadszukiwał jej w nadziei na zakup praw do jej produktu oraz nazwy handlowej, a wymieniane sumy przyprawiały ją o zawrót głowy. Za takie pieniądze można by opłacić wykształcenie dzieci, i jeszcze ho, ho. Starczyłoby na wakacje dla rodziny, domek nad morzem, dobrą emeryturę. Chociaż Georgia wcale nie spieszyła się do emerytury. Miała dopiero czterdzieści lat.

Jej kontrahent żądał, żeby pozostała dyrektorem. Postawił to jako warunek swojej oferty. Nie była pewna, czy chce go przyjąć, zwłaszcza w taki wieczór jak ten. Tęskniła za domem, czuła się odsunięta od życia męża i dzieci.

Tak, przez siedem lat odbyła długą drogę. A wszystko ma jednak swoją cenę.

AMANDA spędziła w szkole dwie godziny. Do domu wróciła przed ósmą. Pomyślała, że może lepiej nie mieć dzieci, jeżeli wiąże się to z takimi wojnami międzypokoleniowymi, jakich właśnie była świadkiem. Wreszcie dostrzegła szczelinę w zbroi Quinna Davisa. Siedział wyraźnie przybity, przekładając na przemian kciuki z palcami wskazującymi, kiedy rodzice wyklócali się za niego. Najwyraźniej woleli nie widzieć jego nerwowego gestu. Kiedy Amanda odważyła się zaproponować cicho i spokojnie na koniec spotkania, że chciałaby porozmawiać z Quinnem, oboje skoczyli jej do gardła. Ich syn nie przysparza żadnych problemów, oświadczyli. Ręce jej opadały.

Ale dość tego. Wzięła głęboki oddech. Tutaj najlepiej wypoczywała. Ich uliczka w ciemnościach tchnęła jeszcze większym spokojem. U wylotu każdej dróżki świeciła lampa gazowa, domy jarzyły się jeszcze cieplejszą łuną. Na parterze u Lange'ów migał ekran telewizyjny, najwyraźniej Russ był jak zwykle w domu. U sąsiadów na piętrze rozjarzone dwie lampy w dwóch bliźniaczych oknach z identycznymi zasłonami świadczyły o obecności bliźniaków Cotterów. A obok, u wdowy? Dom tonął w ciemnościach. Dopiero kiedy Amanda wjechała na podjazd, zobaczyła światło z tyłu za salonem. Gretchen siedziała w bibliotece, jak często zdarzało jej się przesiadywać wieczorami.

Amanda spojrzała na własny dom. Zateęskniła za Grayem. Żeby podniósł ją na duchu po potyczkach w obronie szesnastolatków, którzy nie dorastają do wyobrażeń rodziców, nie mówiąc już o trzydziestopięciolatkach, które nie potrafią sprostać oczekiwaniom teściowej.

Nawet muśnięcia ciepłej wieczornej bryzy na twarzy, gdy szła uliczką od samochodu, nie potrafiły uśmierzyć jej niepokoju.

Westchnęła ze znużeniem, podniosła wzrok na piękne rozgwieżdżone niebo, które jednak nie pospieszyło jej z pomocą. Już miała wejść, kiedy coś przykuło jej uwagę na ganku Cotterów. Jarzący się ognek papierosa świadczył o obecności Karen.

Amanda, kierując się zapachem dymu, ruszyła przez trawnik, wprost na ganek.

- Błagam, nie praw mi kazań - poprosiła Karen cicho. - Wypalę tylko tego jednego.

Amanda usiadła obok na schodkach.

- Już tak ci dobrze szło. Złamałaś się?

- Tylko jednego. I co tam w sprawie Quinna?

Amanda wolałaby zapytać, co skłoniło przyjaciółkę do sięgnięcia po papierosa, ale dusza profesjonalistki kazała jej to taktownie przemilczeć.

- Wytrzeźwiał.

- Wyrzucają go? - spytała Karen.

- Wyrzucają? Na miły Bóg! Nie. Mają go zawiesić w drużynie do końca sezonu.

- Odebrać mu możliwość gry w baseball? I tyle?

- Tak. A co Jordie na to?

Karen zaciągnęła się papierosem.

- Niewiele nam mówi. Wybiegł z domu, gdy tylko o tym usłyszał. Nienawidzę tego wieku. Tej całej ich tajemniczości.

- Podejrzewasz, że Jordie popija?

- Nie sądzę, ale Quinna też bym o to nie podejrzewała. Czy to zresztą wiadomo? - powiedziała napiętym głosem. - Wiem jedno, że Gretchen jest w ciąży. Zaniósłam jej tacę ciasteczek. Jest już w siódmym miesiącu.

- W siódmym? - Amanda prędko policzyła -. - Czyli zaszła w październiku. Wtedy stolarz naprawiał u niej dach na ganku.

- Aha - potwierdziła Karen. - A hydraulik i elektryk montowali jacuzzi.

- No, to kto jest ojcem?

- Nie mam pojęcia. Nie odważyłam się zapytać.

Amanda dopiero po chwili spytała:

- Uważasz, że się wyprowadzi?

- Nie zanosz się - odparła Karen. - Mówiła, że urządza pokój dziecienny. Miała koszulę zapryskaną farbą.

Amanda potrafiła to sobie wyobrazić. Postąpiłaby tak samo, gdy bybyła w ciąży. Niezliczoną ilość razy marzyła o urządzeniu pokoju dziecinnego - tu jeden kolor, tam drugi, szlaczki według szablonów, duży fotel bujany.

Karen zaciągnęła się po raz ostatni.

- Jutro wraca Georgia. Ciekawe, co na to powie.

- Pewno będzie się martwiła o Allie.

- Nie, myślałam raczej o Gretchen. Ze wszystkich podejrzanych Russ miał chyba najwięcej okazji.

W ocenie Amandy Russ za bardzo szanował Georgię, żeby ją zdradzać. Co oznaczałoby, że Lee nie szanuje Karen. Fakt, że nie szanował, ale czy wałkowanie sprawy coś by dało? Zresztą, nie do Amandy należy ocena. Niby Lee miał za sobą zdradę. Russ z kolei dużo czasu spędzał w domu. Natomiast Graham właśnie w październiku pomagał Gretchen w planowaniu ogrodu. Jeżeli już układać listę podejrzanych, Amanda musiała też go włączyć.

Rozdział trzeci

W DOMU panowała cisza, kuchnia była w stanie dziewiczym. Ani śladu, by Graham cokolwiek jadł.

Jeszcze nie tak dawno Amandzie zdarzało się po powrocie późno z pracy znaleźć obiad na kuchni. Gray wiedział, jak żona ceni sobie domową atmosferę. Jej życie przed poznaniem Grahama nie było zbyt przytulne, teraz więc bardzo doceniała odmianę.

Zadzwoił telefon. Odebrała po czwartym dzwonku.

Kathryn, jej szwagierka, zaczęła bez ogródek.

- Gray dzwonił do Joego, a Joe do mnie. Tak mi przykro, że znów wam nie wyszło. Amando, radzisz sobie?

Zdenerwowała się. Nie pojmowała, dlaczego Graham musiał się tak pospieszyć z zawiadomieniem brata.

- Owszem, dziękuję.

- Uda się następnym razem. Do trzech razy sztuka. Amanda póki co w ogóle nie myślała o następnym razie.

- Nie upadaj na duchu - pocieszała ją Kathryn. - Urodzisz to dziecko. U O'Learych dzieci zawsze jest w bród. Ale dzwonię też z innego powodu. Chciałam ci przypomnieć o niedzieli. Wszyscy przychodzą na trzecią. Odpowiada ci ta pora?

- Jak najbardziej.

- Mama niby nic nie chce, ale przyniesiesz ciasto ponczowe? - Aha, robione na whisky Paddy według receptury waszej babci.

Już podczas pierwszego spotkania z klanem O'Learych Amanda dowiedziała się, że nie ma irlandzkiego ciasta ponczowego bez irlandzkiej whisky.

- Mama będzie wniebowzięta - zapewniła ją Kathryn. - No, to do niedzieli.

- Na pewno przyjedziemy.

Amanda odłożyła słuchawkę, zirytowana, że urodziny teściowej wypadają akurat w najbliższy weekend. Lubiła nawet rodzinę Grahama. Uwielbiała jego siostry i braci, a także ich małżonków i dzieci. Jedyne kłopot sprawiała jej jego matka, Dorothy. Nigdy nie zaakceptowała Amandy. Zupełnie jakby winiła ją za rozbitcie pierwszego małżeństwa Grahama, chociaż rozpadło się ono przed tym, zanim poznał on Amandę.

Być może Dorothy bardziej polubiłaby synową, gdyby ta była katoliczką. A już na pewno, gdyby urodziła Grahamowi dziecko.

Zmęczona i osłabiona, przeszła ciemnym korytarzem do salonu i klapnęła na najbliższej kanapie. Zapadła się w poduchy. Nawet nie zapaliła światła. Ciemności otulały jej umysł, tak jak poduchy ciało.

Po chwili usłyszała otwieranie się kuchennych drzwi.

- Mandy? - zawołał Graham.

- Tu jestem.

Dobiegł ją odgłos jego kroków na cegielkowej terakocie w kuchni, na parkiecie w korytarzu. Mąż zatrzymał się pod łukiem w dużym salonie.

- Nic ci nie jest, kochanie? - spytał z tak ujmującą serdecznością, że oczy nabiegły jej Izami.

- Nic.

- Zrobić ci herbaty?

- Nie, dziękuję.

Przekręciła głowę na poduszce, wyciągnęła rękę. Nie chciała się kłócić. Kochała Grahama.

Przyjął jej rękę, doceniając najwyraźniej ten gest, ucałował i usiadł obok.

- Pracowałeś? - spytała, tuląc się do niego, czując jego ciepło.

Położył sobie jej rękę na sercu, wyciągnął nogi.

- Próbowałem. Ale nie miałem weny. Wobec tego wybrałem się na spacer do lasu. Przeszedłem się po cmentarzu. Żadnych duchów nie widziałem.

Las zaczynał się tuż za domem Tannenwaldów i ciągnął kilometrami na terenie rezerwatu. Rosły w nim bujnie świerki, jodły, dęby, klony, brzozy, a także najrozmaitsze mchy i paprocie. Obfitował również w świadectwa historyczne, poczynawszy od starych nagrobków z zatartymi niemal napisami.

Niegdyś w tym lesie stały również domy, toteż nieświadomy przechodzień mógł wpaść zniemacka do starego lochu piwnicznego. Mniej roztropny mógłby zechcieć wspiąć się na jedyną pozostałą tu budowlę, dwunastometrową wieżę zbudowaną z polnych kamieni. Każda z jej czterech ścian miała trzy i pół metra szerokości u podstawy, a zwężała się do półtora metra na szczycie. Schody, które niegdyś pięły się do góry, dawno się zapadły, pozostawiając ciemną czeluść pełną nawianych liści w różnych fazach rozkładu. Nic jednak nie zrażało śmiałków.

Nikt nie wiedział, czy tę wieżę zbudowali Indianie, czy wcześnie osadnicy. Przekonano się tylko, że ci, którzy umieli wdrapać się na szczyt, na ogół nie potrafili z niego zejść. Trzeba było wzywać strażaków z drabinami. Co gorsza, po każdym takim wejściu, po każdej akcji

ratunkowej, kamienie budowli coraz bardziej się obluźowywały. Niedawno drobne trzęsienie ziemi znów spowodowało przesunięcie się kilku z nich. Ruina stanowiła coraz większe zagrożenie, ale nikt nie potrafił temu zaradzić. Ilekroć burmistrz proponował, żeby zrównać wieżę z ziemią, mieszkańcy natychmiast podnosili rwyetes.

Amanda uśmiechnęła się lekko na żartobliwą wzmiankę Grahama o duchach.

- Odważny jesteś, że zapuszczasz się tam nocą.

- Nie bardziej ni ty, kiedy chodzisz do własnej szkoły - zażartował. - I jak, sprawa rozstrzygnięta?

- Kara dla Quinna, owszem. Ale nie jego problemy. Bo chłopak wyraźnie je ma. Wierz mi, Gray, dziś dopiero się przyjrzałam, jaki jest nieszczęśliwy. Powiedziałam rodzicom, że chciałabym z nim poważnie porozmawiać.

- I co? Nie zgodzili się?

- Absolutnie.

Przyciągnął ją jeszcze mocniej do siebie, a ona jakby na nowo się w nim zakochała. W jego cieple, w jego zapachu, w troskliwości i czułości.

- Chyba jesteś zmęczona - powiedział cicho.

- Żebyś wiedział.

- Czasem wydaje mi się, że to przeze mnie.

- Jak to?

- Bo nie chcesz ze mną rozmawiać.

- Dlaczego tak mówisz?

- Mogłaś zadzwonić do mnie po południu. Czekałem. - Powiedział to spokojnie, ale z wyrzutem. - Przecież to nie jest wyłącznie twoja inwestycja.

Spojrzała w bok, pragnąc zobaczyć jego minę, ale nie mogła dojrzeć przez te ciemności.

- Inwestycja... To takie bezosobowe słowo.

- Bo całe przedsięwzięcie stało się bezosobowe. Nie sądziłem, że to potrwa tak długo.

Natychmiast wrócili do punktu wyjścia. Tyle że teraz Amandę ogarnęło znużenie. Zamknęła się w sobie.

Graham podszedł do okna. Chwilę wpatrywał się w ciemności, wrócił, tym razem usiadł na kanapie naprzeciwko żony. Dzieliło ich teraz pół metra dywanu perskiego i stolik do kawy. Oparł łokcie na kolanach.

- I co dalej? - spytał.

Nie odpowiedziała. Sama myśl o rozpoczęciu kolejnego cyklu, kolejnej serii terapii clomidem, kolejnego miesiąca wykresów, badań i wstrzymywania oddechu, napawała ją odrazą.

- Lekarze powiedzieli, że czasem sztuczne zapłodnienie udaje się dopiero po trzeciej próbie - przypomniał Graham. - Została nam jeszcze ostatnia. Poza tym istnieją takie metody, jak inseminacja domaciczna albo zapłodnienie in vitro.

- Nie - odparła cicho. - Muszę odpocząć.

- Teraz? Na miły Bóg, Amando, nie możemy teraz przerwać!

- Daj mi miesiąc. Jeden miesiąc. To nie zaważy na całym projekcie. A może wręcz pomóc.

Nie odpowiedział.

Amanda złożyła ręce przed sobą.

- A wiesz? Gretchen jest w ciąży. Karen zajrzała nawet do niej, żeby o to zapytać. Graham nadal milczał.

- Nie widzę twojej twarzy - ciągnęła Amanda. - Wstrząsnęło to tobą? Zbrzydziło? Przestraszyło?

- Przestraszyło? Niby co?

- Że ktoś mógłby cię posądzić o ojcostwo.

- Co ty wygadujesz?

- Jest w siódmym miesiącu. Czyli musiała zajść w ciążę w październiku. Wtedy u niej pracowałeś.

- Planowałem jej ogród. To wszystko.

- Bywałeś u niej.

Nastąpiła cisza, a potem padła wyważona odpowiedź:

- Nie mogę uwierzyć, że coś takiego sugerujesz.

Wściekła, że najzwyczajniej nie zaprzeczył, powiedziała:

- Jeżeli pantofelek pasuje...

Zerwał się z kanapy.

- Postaram się zapomnieć o tym twoim domyśle - powiedział jej w drodze do drzwi. - Bo chyba rozumiem, dlaczego przemknęła ci przez głowę taka myśl. Wyrosłaś w domu, w którym ojciec zdradzał matkę. Podejrzewam, że to ona teraz przez ciebie przemawia.

- Gretchen jest w ciąży - powtórzyła nieco histerycznie Amanda, nie mogąc już teraz przestać. - Sama nie mogła zajść. W takim razie, skąd to dziecko?

- Nie mam pojęcia. Nie wiem, z kim się spotyka.

- Z nikim nie ma romansu.

- Nie trzeba koniecznie mieć romansu, żeby zajść w ciążę. Wystarczy chwilowy przypływ namiętności.

- Otóż to.

Z łuku u wylotu pokoju dobiegła lodowata cisza. A po chwili gniewna riposta:

- Przecież nic nie wiesz, Amando. Równie dobrze może to być dziecko Bena. Mógł zdeponować w banku spermę. Mogła przejść sztuczne zapłodnienie, które się udało.

I wyszedł.

Nawet me drgnęła. Z chwilą gdy zapadła cisza, Amanda usłyszała echo własnych słów i zrozumiała, że Graham ma rację. Przemawiała przez nią matka. Amanda wyrosła w atmosferze oskarżeń, w większości jak najbardziej uzasadnionych. Oboje rodzice zaliczali romans za romansem, każdy następny w odwecie za poprzednią zdradę współmałżonka.

Gdyby jako terapeutka pracowała z własnymi rodzicami, doradzałyby im rozwód. Przy tak nadszarpniętym zaufaniu nie było żadnych nadziei na miłość. A teraz ona sama oskarżała męża o niewierność, mimo że Graham był jednym z najbardziej lojalnych ludzi, jakich знаła. Właśnie to ją do niego bardzo przyciągało. W całym życiu miał przed nią tylko jedną partnerkę. Żyli w długim, monogamicznym związku. Megan była dziewczyną z sąsiedztwa, przyjaźnili się od dziecka, przez cały okres trwania małżeństwa dochowali sobie wierności. Na pewno nadal byłby mężem Megan, gdyby go nie rzuciła.

Amanda ani razu nie zakwestionowała miłości Grahama do siebie. Ale wiedziała, co może zdziałać pożądanie. Zastanawiając się, gdzie on może być, weszła do kuchni. Nie zastała go ani tam, ani w sypialni.

Z jednej strony chciała go poszukać, z drugiej czuła potrzebę ochrony przed wiejącym od niego chłodem. Zaszyła się w pokoiku obok ich sypialni, położyła na kanapie, naciągnęła koc pod brodę, zamknęła oczy i wyparta wszystkie myśli z głowy. Niebawem zasnęła.

KAREN Cotter smażyła naleśniki na śniadanie. Dodała filiżankę świeżych czarnych jagód, nie tyle dlatego, że dzieci je uwielbiały, ile z tej racji, że Lee ich nie znosił. Lubił naleśniki bez niczego.

A ona lubiła wiernych mężczyzn. Nie zawsze ma się to, co się lubi naprawdę.

- Gdzie jest buźka? - spytała Julie, patrząc ze skrzywioną minką na smażące się naleśniki.

- Dzisiaj nie będzie - odparła Karen. - Nie miałam czasu.

- Teraz nigdy nie masz czasu.

- Nieprawda. - W istocie czas miała, tylko zabrakło jej cierpliwości. Układanie jagód w wesołą buźkę, oczy, nos i uśmiech, wydało jej się dzisiaj ponad siły.

Zeszłym razem też me zrobiłaś buźki. Mogę sama zrobić?

- Potem trudniej się je przewraca. Ale spróbuj. - Poprowadziła rękę swojej sześciolatki na łopatkę i pomogła jej przewrócić kilka naleśników. - Brawo! A teraz jedz, bo wystygną. Co wy wyprawiacie? - spytała ośmioletnie bliźniaki, które wkładały sobie nawzajem ręce oblepione syropem do talerzy.

- Zamieniamy się jagodami - oświadczył Jared. - Jego są bardziej granatowe.

- A jego większe - dodał Jon.

- Uważajcie, bo się wybrudzicie. O kurczę! - wykrzyknęła, bo właśnie rozlała się szklanka soku. Karen chwyciła ścierkę, wytarła plamę. Przy stole spojrzała na Jordiego. Siedział z nosem w rubryce sportowej gazety.

- Coś ciekawego? - zagadnęła.

Odburknął pod nosem, ale nie zrozumiała.

Sfrustrowana, wróciła do kuchni.

Po chwili wszedł Lee w stroju do pracy: sportowej koszuli i spodniach khaki.

- Dzień dobry, dzień dobry, dzień dobry - witał się kolejno ze wszystkimi dziećmi, idąc na swoje miejsce. Kiedy już usiadł, zabrał gazetę z sekcją sportową z rąk Jordiego, który wstawił swój talerz do zlewu i wyszedł.

Karen naląła mężowi kawy i postawiła z łoskotem obok gazety. Popatrzyła na niego z wyrzutem, bo winiła go za wszystkie przewinienia Jordiego. Lee dawał synowi zły przykład. Zawsze myślał tylko o sobie. Kiedy zależało mu na danej części gazety, brał ją sobie, nawet jeśli kto inny wziął ją pierwszy. Umiał bawić się i czulić z dziećmi, ale tylko wtedy, gdy mu to odpowiadało. Jordie najwyraźniej wdał się w niego.

Kiedy bliźniaki popędziły na górę po plecaki, a Julie podreptała do łazienki, Karen ze złością przestawiła miskę z kuchenki do zlewu, aż zadudniło.

- Coś się stało? - zapytał Lee.

- Nie.

Puściła wodę, zaczęła skrobać, miskę.

- Jakie masz plany na dzisiaj?

Wcale nie zamierzała mu mówić. Niektóre były zapisane w kalendarzu kuchennym. Jeżeli chciał coś kombinować, niech się pomartwi trochę o innych.

- Karen?

- Takie jak zwykle. - Oplukała miskę. - Wrócisz na obiad?

- Tak.

Nieraz wcześniej słyszała takie zapewnienia, a potem bez skrępowań zmieniał plany. Obiad rodzinny nie stanowił dla niego żadnej świętości.

Grzebał widelcem w resztkach naleśnika na talerzu.

- Nie wiem, po coś mi nakładała te jagody Przecież wiesz, że ich nie cierpię.

Zanim zdążył dodać coś jeszcze, wyrwała mu talerz sprzed nosa i niemal rzuciła do zlewu.

- Co się z tobą dzieje? - wzburzył się.

Już miała powiedzieć, że nic takiego, ale ostatnio zauważyła dosyć wymowne sygnały u męża. Chociażby nową wodę kolońską, najwyraźniej dla zabicia zapachu kobiety, a także gimnastykę w siłowni, żeby usprawiedliwić powrót do domu ze świeżo umytą głową. Niedawno spóźnił się na mecz małej ligi bliźniaków bez żadnego uzasadnienia. Co gorsza, sam wyraźnie tryskał radością, a jednocześnie nie nagabywał żony w łóżku. Jedno z drugim nie szło w parze, chyba że znów zafundował sobie romans.

Już sama ta myśl dostatecznie ją zmroziła. Gdyby w dodatku okazało się, że romansuje z Gretchen - ich sąsiadką - Karen nie była by w stanie znieść takiego upokorzenia.

Zacisnęła pięści, odwróciła się do niego.

- Gretchen jest w ciąży. Wiesz coś o tym?

- Ta nasza ? - Jego zdziwienie wydało jej się szczere. - Odkąd?

- Od października.

- No, no. - Spojrzał na Karen. - Ale o co się tak wściekasz?

- Wcale się nie wściekam. Tylko martwię. Nie tknąłeś jej?

Odsunął krzesło, wstał.

- Oskarżasz mnie?

- Nie. Tylko pytam.

- No więc, nie. Nie tknąłem. Że też coś takiego mogło ci przyjść do głowy!

- Wiecznie do niej zaglądasz.

- Bo mieszka sama. Jesteśmy sąsiadami. Wy potraktowałyście ją jak pariasa, chociaż jedyne jej przestępstwo polegało na wyjściu za mąż za mężczyznę, którego pierwsza żona zmarła. Pozałowałem jej, dlatego jej pomagałem. Kobiety nie ze wszystkim radzą sobie same.

- Na przykład z robieniem dzieci - syknęła.

Teraz już podniósł głos.

- Na przykład z ciekącym kranem. Przestań wreszcie, Karen. Russ i Graham też jej pomagali. Ich też wypytyjesz?

- Nie. Bo tylko ty jesteś moim mężem. I tylko o twoje dzieci się martwię.

- Dzieci nie mają tu nic do rzeczy.

Zastanowiła się. Po chwili powiedziała z wyważonym spokojem:

- Siedziały tu i wysłuchiwały, jak się zachwycałeś obrazem wiszącym u niej na ścianie.

- Bo jest piękny.

- Twierdziłeś, że jest erotyczny i zniewalający.

- W telewizji mogą usłyszeć dwa razy tyle - uniósł się. - Nie lepiej mówić w rodzinie szczerze? Niech dzieci wiedzą, że mogą z na mi rozmawiać o wszystkim.

Święte słowa. Tyle że Lee przesadził z tym obrazem tak dalece, że zamazały się granice między obrazem a jego właścicielką, Gretchen. Przynajmniej w głowie Karen.

- Do diabła - zdenerwował się Lee. - Niech się dowiedzą od nas, że ludzie miewają różne pasje. Karen aż się wyprężyła.

- Pasje nie są mi obce.

- Dotyczące różnych spraw, owszem. Ale nie łóżkowych. Sama nigdy nie prowokujesz.

Miał rację. Na chwilę owładnęło ją poczucie winy, ale zaraz się opamiętała.

- To prawda - przyznała dość cicho. - Nie prowokuję. Bo zawsze pierwszy zaczynasz. Ale ostatnio ci się to nie zdarza. Ciekawe dla czego.

- Czekam na sygnał od ciebie.

- Dawniej nie czekałeś. Po powrocie z pracy chodziły ci po głowie tylko dwie rzeczy: seks i drużyna metsów. Żałuję, że pod koniec dnia nie jestem tak beztroska, bo muszę jeszcze ogarnąć milion rzeczy.

- Ciesz się, że nie musisz pracować.

Aż się zjeżyła.

- Choć raz mógłbyś przyznać, że pracuję. Lee, masz ze mną aksamitne życie. Odwalam za ciebie rzeczy, które niewiele żon robi za mężów. A ty i tak robisz skoki w bok.

- To już naprawdę przeszłość - uciał i wyprostował się. - Obiecałem ci i dotrzymałem danego słowa. Czy dałem ci jakieś powody do nowych wątpliwości?

- Ostatnio może i nie - skłamała z obawy, że umknie im główny temat. - Aż do tej historii z Gretchen.

- Nie tknąłem Gretchen! - zagrzemiał.

- Ciii - uciszyła go.

- Będę krzyczał, do cholery, jeżeli będę miał ochotę!

Odwrócił się na pięcie i wybiegł, a strapiona Julie znów przy dreptała do kuchni.

- Dokąd tata pojechał?

- Do pracy.

- Nawet mnie nie pocałował na pożegnanie - rozżaliła się.

Ani mnie, pomyślała Karen, żałując, że nie czuje urazy. Po tylu latach rozczarowań po prostu się znieczuliła.

AMANDA z chwilą wejścia do szkoły zobaczyła, że aż huczy w niej od plotek. Uczniowie rajcowali w małych grupkach, łypiąc tylko na nią okiem, kiedy zbliżała się z parkingu. Podeszła do uczniów pierwszej klasy.

- Czy pan Edlin naprawdę wezwał policję? - zapytał któryś, mając na myśli Freda Edlina, dyrektora szkoły.

- Nie. Policja nie interweniowała.

- Co za różnica, skoro go wywalają ze szkoły - powiedział ktoś inny. - Wpiszą mu to do akt.

- Nikt go nie wywala - sprostowała Amanda. - Tylko zawieszono go w prawach członka drużyny. Jeżeli ukończy bez wyskoków przyszły rok, będzie miał czyste konto.

- Rodzice występują do sądu przeciwko szkole - dorzucił ktoś trzeci.

- Niczego takiego nie słyszałam. Pan Edlin będzie o tym mówił podczas apelu na pierwszej lekcji. Wtedy wszystkiego się dowiecie.

Poszła do gabinetu, rzuciła swoje rzeczy. Powinna zawiadomić telefonicznie klinikę leczenia bezpłodności, że ma złą wiadomość. Zamierzała też przedzwonić do Grahama, ale na myśl o którymkolwiek z tych telefonów aż ją ścisnęło w dołku.

Te telefony mogą poczekać.

Gdy Amanda sprawdzała w komputerze, czy nie ma listu od Quinna Georgia właśnie zakończyła śniadanie służbowe w tekszańskim hotelu, spakowała manatki i wsiadła do taksówki. Nie ujechała dwóch przecnic, kiedy utknęli w długim korku. Po chwili wszyscy kierowcy i pasażerowie wysypali się z aut, wyciągając szyje, co też ich blokuje.

- Jakiś wypadek - skomentował ktoś.

- Raczej budowa - sprzeciwił się ktoś inny.

Mniejsza zresztą o powody, pomyślała Georgia, byle nie spóźnić się na samolot.

KIEDY Georgia wychodziła ze skóry na tekszańskim skwarze, Karen też wychodziła ze skóry mimo łaskawszego klimatu. Umiała szukać - wiedziała, że musi przetrząsnąć

kieszenie, dokumenty na biurku, bielizniarkę. Wyciągnęła najnowsze wyciągi z kart kredytowych w poszukiwaniu podejrzanych wypłat, przejrzała ostatnie rachunki telefoniczne, spróbowała znaleźć nieznane powtarzające się numery telefonów. Znalazła i jedno, i drugie.

ZAPŁACIŁ gotówką i zjawił się w pokoju wcześniej, ale nie przeszkadzało mu, że musi poczekać. Traktował to jako swoistą grę wstępną. Z upływem minut jego podniecenie rosło.

Pokój znajdował się w nowej przybudówce, ukryty u wylotu grządki pierwiosnków, chociaż równie oryginalny jak pokoje bliżej restauracji. W sam raz nadawał się do potajemnej schadzki, aczkolwiek on tak nie myślał o ich spotkaniu. Sprawa ciągnęła się już wiele miesięcy. Czyli romans? Owszem. Ale też coś więcej. Związek. Ważki dla jego równowagi duchowej. Po prostu ją kochał.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Zerwał się z łóżka, otworzył. Coś nim targnęło, kiedy wślizgnęła się do pokoju. Jeszcze drzwi się nie zamknęły, kiedy przywarł do niej ustami, przycisnął ją do boazerii. Poczul w ustach smak mięty.

Piersi miała pełne, brzuch pięknie zaokrąglony - bardzo mu się taka podobała. Lubiał nienasycenie u kobiet. Świadczyło o dojrzałej kobiecości.

- Taka jesteś piękna - szepnął. - Jak się czujesz?

- Lepiej.

- Lekarz zadowolony?

- Owszem.

- Ale chyba nie nasz w miasteczku?

- No co ty. Nie jestem taka głupia.

Uśmiechnął się, przejechał kciukiem po jej ustach.

- Fakt. Nie jesteś. - Następnie powiódł palcem po linii nosa i delikatnym łuku czoła.

Była blondynką. Zawsze miał słabość do blondynek. - Ile masz czasu?

- Niewiele. Ktoś zauważy, jeżeli szybko nie wrócę. Uważają, że jestem na targu.

- Bo jesteś. Zdobywasz tu nieocenioną strawę.

Uśmiechnęła się na samą myśl, ale dojrzał w jej oczach pytanie, jeszcze zanim je wypowiedziała.:

- Rozmawiałeś z nią?

- Co ci mówiłem ostatnim razem?

- Ze to delikatna sytuacja. Ale tak samo jak nasza.

- Jest moją żoną. Chronologicznie ma pierwszeństwo. Poza tym w grę wchodzi rodzina. Porozmawiam z nią w stosownym czasie.

- Żeby tylko nie za późno.

- Nie sądzę. Wszystko zaczyna dojrzewać. Daj spokój, słoneczko. Tylko ty mnie nie magluj. Ty masz być moim wybawieniem.

Spojrzała mu głęboko w oczy.

- Ale kochasz mnie?

- Przecież wiesz, że tak.

Przyjrzała mu się chwilę, uśmiechnęła.

TUŻ przed przyjazdem autobusu szkolnego Amanda wróciła do domu. Jej dzień pracy jeszcze nie dobiegł końca. Czekala ją jeszcze wywiadówka z rodzicami dwóch klas. Ale po wyjściu uczniów poczuła zmęczenie. Miała nadzieję, że ta przerwa postawi ją na nogi.

Zobaczyła skuloną na krawężniku Karen, która czekała na szkolny autobus. Już miała pomachać, kiedy tuż za nią zatrzymała się Georgia wracająca z lotniska po powrocie z Teksasu.

Amanda skręciła na swój podjazd, po czym wyszła na ulicę i poczekała przy podjeździe Lange'ów. Ogarnęła ją fala zazdrości, kiedy Georgia wysiadła z samochodu. Prezentowała się nader profesjonalnie w szykownym czarno-białym stroju, krótkie ciemne włosy, prosta biżuteria, pewny krok.

- Ależ ty świetnie wyglądasz! - zawołała, kiedy Georgia podeszła.

- Pół dnia w samolocie, a wyglądasz fantastycznie. Jak ci poszło?

- Chyba dobrze. - Georgia uściśnęła ją i przez chwilę nie wypuszczała z objęć. - Russ powiedział mi o dziecku, Amando. Tak mi przykro.

- Mnie też - szepnęła Amanda, wdzięczna za ciepłe słowo.

- I co teraz?

- Nie wiem. Gray i ja musimy porozmawiać. Na razie jesteśmy za bardzo zdenerwowani. - Machnęła brodą w kierunku Karen i ruszyła chodnikiem. - Słyszałaś o Quinnie?

- Tak - odparła Georgia, równając z nią krok. - Chociaż Allie nabrała wody w usta. Russ też. - Ściszyła głos. - Jordie gra w baseball razem z Quinnem. Też był w to zamieszany?

- Z tego, co wiem, to nie.

- Karen ma taką markotną minę.

- Bo jest sfrustrowana - mruknęła Amanda pod nosem, kiedy przechodziły przez trawnik.

- Aha - mruknęła Georgia. - Znowu Lee?

- Lee. Jordie. Quinn. Gretchen. Ma za sobą bardzo trudny dzień.

- Gretchen? - spytała Georgia. - A co złego z Gretchen?

Karen podchwyciła to ostatnie i spytała:

- To Russ ci nie mówił?

- O czym miał mi mówić?

- Właśnie widzę. Nie powiedział ci - podsumowała Karen. - Ciekawe, co to znaczy.

- O czym ty w ogóle mówisz?

Amanda ulitowała się nad nią i wyjaśniła.

- Gretchen jest w ciąży. Dowiedzieliśmy się wczoraj.

- W ciąży? A z kim?

- I to jest właśnie pytanie za milion dolarów - odparła.

- Ktoś ją pytał?

- Ja sprowokowałam rozmowę - rzekła Karen - ale Gretchen nie podchwyciła aluzji.

Chociaż puściła trochę farby. Wyznała, że ojciec dziecka o niczym nie wie i że ma inne zobowiązania. To akurat pasuje do wszystkich naszych mężów.

Georgia się roześmiała.

- Do naszych mężów? Śmiesznie zabrzmiało. Nasi mężowie nie dokazywaliby z Gretchen.

- Ale często o niej mówią - sprzeciwiła się Karen.

- Wszyscy faceci gadają - obruszyła się Georgia. - Taka już natura tych bestii. Gadać o kobietach i oglądać się za ładnymi sztukami, to mają we krwi. Ale zabrać się do dzieła, to co innego. Poza tym mówisz o naszej najbliższej sąsiadce. Chyba żaden z panów nie byłby ta kim idiotą. - Urwała. - Russ na pewno jest w domu. - Obejrzała się na swój podjazd, gdzie samotnie stał jej samochód. - A w każdym razie powinien być. Wybierał się ze swoim wydawcą na obiad. Pewno się zagadali.

Jeśli Russ wolał jej nie zawracać głowy ciążą Gretchen, uznała Georgia, to albo dlatego, że nie wydała mu się ważna, albo dlatego, że któryś z mężczyzn zobowiązał go do dyskrecji.

- Prawdę powiedziawszy - odezwała się - nie widzę powodu, dla czego miałybyśmy się dowiadywać, kto jest ojcem dziecka. W końcu to sprawa Gretchen, a nie nasza.

- Żywimy taką nadzieję - mruknęła Karen, kiedy autobus szkolny pokazał się na zakręcie. Zahamował z piskiem opon. Drzwi otworzyły się z sykiem. Najpierw wyskoczyła Julie, potem bliźniaki Karen. Za nimi Tommy i Allie, którzy rzucili się na Georgię. Ucieszeni powrotem mamy, zagadywali ją na wyprzedki. Wtedy nadjechał Russ. Najwyraźniej obiad musiał się przedłużyć.

W otoczeniu najbliższych Georgia zapomniała o ciąży Gretchen. Przypomniała sobie dopiero wieczorem.

GRETCHEN stała przy oknie jadalni. Mimo rozłożystych konarów dębu oceniającego jej ogród wyraźnie widziała trzy kobiety przy krawężniku. Zawsze marzyła o tym, by mieć przyjaciółki. Kiedy wyszła za Bena, sądziła, że znajdzie je tutaj. Ale się pomyliła.

Cierpliwości, radził Ben. Na pewno pierwsze lody przełamie.

Ale nie przełamała. Owszem, sąsiadki wstępowały do niej, tak jak choćby Karen poprzedniego dnia wieczorem. Ale mało w tym było szczerego ciepła i nie nawiązała się przyjaźń. Może gdyby sama okazała im więcej serca, ale nigdy nie umiała. Co gorsza, onieśmiały ją kobiety, które tyle w życiu osiągnęły. Czuła się przy nich mało światowa i niewykształcona.

Moja ty piękności, mawiał Ben, a w jego ustach piękność wykraczała poza sprawy ciała. Przy nim czuła się piękna w środku. Ben sam taki był. Ale teraz go zabrakło, a ona stała, wyglądała zza zasłon w jadalni, zazdrościła sąsiadkom przyjaźni. Prawie wszystko dałaby, żeby wyjść i do nich dołączyć. Ale nikt jej tam nie prosił. Zależało im na June, matkującej, otwartej, dobrodusznej i mądrej.

Chętnie przywitałyby może brzydულę, na którą żaden z ich mężów by nie spojrział, ale i tu Gretchen nie pasowała do obrazka. Właśnie uroda wyciągnęła ją z ubóstwa w prowincjonalnym Maine. Nic poza nią nie miała. Jednak i to minęło. Bo przez jakiś czas miała Bena. Teraz został jej dom po nim oraz pakiet papierów wartościowych. I dziecko rosnące w jej łonie.

Uśmiechnęła się do tej myśli, pogłaskała się powoli po napęczniałym brzuchu. Jej dziecko. Tylko jej. Pewnego dnia, w niedalekiej przyszłości, też wyjdzie na krawężnik w oczekiwaniu na szkolny autobus. Czy wtedy sąsiadki przyjmą ją do swojego grona? A może wtedy nie będzie jej już zależało?

Odwróciła się, przeszła przez hol wejściowy do salonu. Usiadła ostrożnie na kanapie, zsunęła buty, wpatrzyła się w obraz wiszący naprzeciwko.

La Voisine. Prezent ślubny od Bena, kupiony w galerii sztuki w Paryżu podczas ich miesiąca miodowego. Choćby z tego powodu zajmował poczesne miejsce w jej sercu. Ale też uwielbiała sam obraz. Artysta utrwalił scenę subtelnymi pastelami, łagodnymi pociągnięciami pędzla. Kobieta przycina róże pnące się po kratce altanki. Ma na sobie żółtą sukienkę z delikatnymi kryzami u szyi i dłoni. Słomkowy kapelusz ze wstążką zwisającą na plecach. Stoi po drugiej stronie białego płotu ze sztachetami dzielącego jej ogród od widza.

Ciekawe, co w tym płótnie takiego zmysłowego, zamyśliła się Gretchen. Przesiedziała przed nim wiele godzin, a mimo to nie potrafiła udzielić definitywnej odpowiedzi. Może zmysłowość kryła się w mglistym spojrzeniu kobiety?

Gretchen identyfikowała się z tym przymglonym, skierowanym w głąb spojrzeniem. Odczytywała w nim miłość, o której marzyła całe życie. Znalazła ją przy Benie, ale na krótko. U jego boku czuła się właśnie tak zmysłowo, tak promiennie jak kobieta na obrazie.

Przez chwilę nawet sądziła, że znalazła kogoś podobnego. Ale myliła się. To nic. Jej dziecko nie potrzebuje ojca. Ma matkę, która zawsze będzie je kochać, utrzymywać i zapewni stabilne życie.

Synowie Bena nie ucieszą się na wieść o jej ciąży. Obaj dorośli, żonaci, dzieciaci, starsi od Gretchen. Już i tak złościli się, że Ben jej aż tyle zapisał. Teraz znów podniosą raban. Będą się chcieli dowiedzieć, kto jest ojcem dziecka.

Wciągnęła głęboko powietrze i podniosła wzrok na *La Voisine*. Kobieta na obrazie była zdystansowana wobec świata. Chyba właśnie z tą cechą utożsamiała się Gretchen najbardziej. Ben zawsze tak o niej mówił. Chociaż w gruncie rzeczy chodziło o eufemizm samotności. Gretchen była samotna, odkąd skończyła osiem lat i ojciec w nocy przyszedł do niej do łóżka, a matka obwiniła ją, jako by go tam zwabiła. Ów dystans to przykrywką dla strachu, który towarzyszył jej potem przez wiele lat.

Na szczęście zdołała się z niego otrząsnąć. Ben dał jej nazwisko. Dał poznać smak miłości. Dał zabezpieczenie finansowe. Chciała by myśleć, że dał jej również dziecko, zresztą w bardzo okrężny sposób można by tak powiedzieć.

WYWIADÓWKI poszły Amandzie lepiej niż poranne spotkania z uczniami. Na pierwszej udało jej się przekonać oboje rodziców, że by pozwolili na rozmowę z ich córką, trzecioklasistką, która wyrażnie denerwowała się już perspektywą studiów. Na drugiej zdołała namówić rodziców, którzy właśnie zdecydowali się na separację, do znalezienia pomocy terapeutycznej dla syna. W obu przypadkach obserwacja wzajemnego stosunku rodziców pozwoliła jej zrozumieć zachowanie dzieci.

Gdy więc opuszczała szkołę po raz drugi tego dnia, czuła się dużo lepiej, ale cała jej pewność siebie uszła, kiedy po powrocie do domu zorientowała się, że Graham jeszcze nie wrócił. Zostawił tylko wiadomość na sekretarce automatycznej, wypowiedzianą beznamietnym głosem, nie zdradzającym żadnych uczuć.

- Cześć - powiedział. - Jadę do Providence. Dostałem telefon od potencjalnego klienta. Gość buduje centrum zakupowe, szuka kogoś, kto mu zaprojektuje i wykona atrium. Mogę wrócić późno. Do zobaczenia.

Nagrał tę wiadomość zaledwie pół godziny temu, czyli mogła się go spodziewać naprawdę późno.

Drugą wiadomość zostawiła Emily, w odpowiedzi na krótką wcześniejszą informację Amandy.

- Cześć, Amando. Rozumiem twój zawód, ale do końca jeszcze daleko. Zadzwoń do mnie jutro, zaplanujemy następny krok.

Amanda skasowała tę wiadomość. Nie miała najmniejszego zamiaru myśleć teraz o Emily ani o klinice.

Wyczerpana, zjadła na kolację miskę płatków zbożowych, poszła do małego pokoiku, wyciągnęła się wygodnie na kanapie, przykryła kocem i włączyła telewizję. Przez dwie godziny skakała tylko po kanałach. Potem zgasła telewizor i leżała bez ruchu, czekając na powrót Grahama.

Około dziesiątej usłyszała jego półciężarówkę na podjeździe. Leżała, nasłuchując w ciemnościach, śledząc w myślach jego kroki po kuchni, potem w korytarzu. Wreszcie ruszył na górę. Wstrzymała oddech, kiedy zbliżał się do pokoiku, patrzyła wprost na niego, kiedy stanął w drzwiach. Sama była spowita w ciemnościach, on oświetlony od tyłu. Nie dojrzała jego twarzy.

Niecałe dziesięć sekund później wrócił do sypialni. Dobiegł ją plusk wody w łazience. Potem odgłos jego kroków w garderobie. Skrzypnięcie łóżka, pstryk gaszonego światła.

Ale i wtedy się nie poruszyła.

Rozdział czwarty

NAZAJUTRZ rano Graham zniknął już z łazienki, kiedy weszła do niej Amanda. Drzwi kabiny natryskowej były mokre, ręczniki rozrzucone. Wzięła prysznic, ubrała się, uczesała, zrobiła makijaż, po czym zeszła na dół. Graham stał oparty o ladę kuchenną, pił kawę z kubka.

- Cześć - przywitała go z niepewnym uśmiechem.

- Nie przyszedłeś wczoraj do łóżka. Już drugą noc z rzędu.

Podjmując wezwanie wyjaśniła:

- Bo zasnąłam. Nie obudziłeś mnie. - nie chciała z nim jednak wojować, dlatego zmieniła temat. - Jak ci wczoraj poszło?

- Świetnie. Rozmawiałaś z Emily? - spytał napiętym głosem. Najwyraźniej on chciał wojować.

- Tak. Obiecałam, że zadzwonię za miesiąc.

- I zgodziła się?

Amanda nie umiała kłamać.

- Nie. Wolałaby od razu przystąpić do trzeciej próby, chociaż przyznaje, że miesięczna przerwa nie powinna zaszkodzić.

- Popieram ją, żeby podjąć trzecią próbę od razu.

Sama myśl o tym przyprawiła Amandę o zawrót głowy.

- Nie mogę, Grahamie. Muszę złapać oddech.

Graham spojrział w bok, uciekł wzrokiem, dopił kawę, wstawił kubek do zlewu.

- Dzisiaj także jadę do Providence. Też mogę wrócić późno.

Wyszedł na dwór, tylko załomotały za nim drzwi z siatki. Kiedy Amanda do nich doszła, już ucichły, lecz i tak złapała za uchwyt i patrzyła, jak mąż cofa półciężarówkę przed samym domem, a potem odjeżdża.

Stała tak zdezorientowana, aż u wylotu ulicy pokazał się szkolny autobus. Kiedy odjechał z dwojgiem dzieci Lange'ów i trojgiem Cotterów, wyszła i przywitała się z Georgią, która wracała do domu.

Georgia tylko zerknęła, objęła ją i spytała:

- Masz czas na kawę?

Amanda potrząsnęła głową.

- Muszę pędzić do szkoły. Ale chętnie zamienię słowo w locie.

- Sprawa dziecka tak cię przygnębia?

- Owszem. Graham i ja przebijamy już dosłownie głową ścianę Co dalej?
- Jak to, przebijacie głową ścianę?
- Kłócimy się. Nigdy się dotąd nie kłóciliśmy.
- Kłóćcie się, czy mieć dziecko?
- Nie tyle, czy mieć, ile jak począć. I o Gretchen. Zachowałam się karygodnie, Georgio. Puściłam aluzję, że on mógłby być ojcem.
- Nie wierzę.
- No, to uwierz - zapewniła Amanda ze skrucą. - Chociaż wiem, że nie jest. Ale to chyba normalne, że się zastanawiam, czy po tym wszystkim nie znienawidził seksu, tak jak ja. Kiedyś to było coś wspaniałego. A dzisiaj wszystko mamy obwarowane regułami, gdzie, kiedy i jak często. I gdzie tu jest miejsce na jakąkolwiek spontaniczność? Poprosiłam o miesiąc oddechu. A jeżeli nigdy nie doczekamy się dziecka, Georgio?
- Nie zadrećzaj się tak mocno. Istnieją zresztą inne sposoby na rodzicielstwo.
- Na przykład adopcja, jasne. Chyba powinniśmy ją rozważyć.
- A Graham?
- On uważa, że to przedwczesne rozważania. Twierdzi, że musi my najpierw wyczerpać „własne możliwości”. Martwię się tylko, żeby nie było za późno.

KAREN w czwartek przed południem odnawiała zniszczone książki w bibliotece szkolnej. Ta akurat praca społeczna nie wymagała dużo myślenia. A przy tym Karen korzystała z towarzystwa innych matek. Zajęta rozmową, nie zadrećzała się myślami o mężu.

Kiedy wróciła po południu do domu, wciąż zła i pociechy, wysiadając z samochodu, zagadnęła Amandę.

Podczas ich rozmowy zza domu wyszła Gretchen z wężem ogrodowym. Spojrzała na nie, Amanda zamachała. Gretchen skinęła głową, odwróciła się i zaczęła podlewać klomby.

- Nie okazuje zbyt serdeczności - mruknęła Karen. - Trzyma nas na dystans.
- Może po prostu czuje się niezręcznie.
- Bo ojcem dziecka jest któryś z naszych mężów?
- Nie. Bo my się trzymamy razem, a ona odstaje.
- Ale czyja to wina? - spytała Karen, podnosząc rękę, żeby pomachać gazeciarzowi przejeżdżającemu na rowerze ulicą. W koszu wiózł miejscowy tygodnik. - Cześć, Davey! - zawołała za nim.
- Dzień dobry, pani Cotter! - odkrzyknął, ale zatrzymał się dopiero przed domem wdowy. Wyciągnął w jej kierunku pismo. Gretchen podeszła przez trawnik.

- Owszem, ma pszeniczną głowę i mnóstwo uroku, ale nie sądzę, żeby był podejrzany - mruknęła Amanda, nie odrywając oczu od wdowy. Gretchen uśmiechnęła się do chłopca z wyraźną serdecznością. I nieśmiałością. Amanda nigdy jej takiej nie widziała.

Gazeciarz podjechał teraz do nich, szurając jedną nogą po chodniku. Podał każdej pismo, po czym śmignął dalej, rzuciwszy jeszcze zgrabnym łukiem egzemplarz na ganek Lange'ów.

Amanda z przyzwyczajenia otworzyła pismo. I aż dech jej zapało na widok nagłówka: „Gwiazdor baseballu zawieszony po pijackim wybryku”. Pod spodem artykuł przedstawiający w szczegółach wtorkowe wypadki.

- No nie - jęknęła Amanda.

Karen otworzyła tygodnik i czytała ten sam artykuł.

- Przecież to jest fakt.

- Ale nie podany w ten sposób. I to nawet nie w rubryce sportowej, gdzie powinien się znaleźć.

- Jeżeli ktoś wchodzi na piedestał, musi także liczyć się z cieniami sławy.

Amandzie stanął w oczach Quinn Davis, młynkujący nerwowo kciukami i palcami wskazującymi podczas ich spotkania poprzedniego wieczoru. Ani krztyny opanowania czy pewności siebie. Zważywszy na gorliwość, z jaką jego rodzice usiłowali zatuszować całą sprawę, ten wywalony na pierwszą stronę artykuł z pewnością nie przypadnie im do gustu. Ciekawe, jak go przyjmie Quinn.

Ledwie weszła do kuchni, zadzwonił telefon. Maggie Dodd, nie mniej przejęta tym artykułem niż Amanda. Owszem, były pytania skierowane do dyrekcji szkoły o całe zdarzenie, ale nie udzielono żadnej informacji dziennikarzom. Widocznie członkowie drużyny i koledzy Quinna puścili parę.

Maggie przeprosiła, bo musiała odebrać drugi telefon. Wróciła do rozmowy z Amanda roztrzęsiona.

- Dzwonili rodzice Quinna. Wylewają żółć.

Amanda bardziej bała się o chłopca.

- Zadzwoń do nich - obiecała koleżance. - I zaproponuję im spotkanie, jeśli mnie zaproszą.

ALE nie zaprosili.

- Trzeba nam było pomóc wtedy - wytknął jej ojciec Quinna. - Ale pani nie trzyma naszej strony.

- Tu nie chodzi o branie strony - sprostowała Amanda. - Raczej o to, co jest najlepsze dla Quinna. Czy on czytał ten artykuł?

- Oczywiście. Jego koledzy wyzywają. Nasi znajomi wyzywają. Zrobił się prawdziwy cyrk.

- I jak go przyjął?

- Fatalnie. Ale to już nie pani zmartwienie.

- Przeciwnie, na tym polega moja praca. Chciałabym - jeśli można - z nim porozmawiać.

- Dziękujemy, ale sami się nim zajmiemy.

I szcęknęła słuchawka.

Amanda poczuła się bezsilna. Najchętniej porozmawiałaby z Grahamem. Jego nigdy przecucie nie myliło. Potrafił ją podnieść na duchu, poradzić. Quinn byłby takim neutralnym tematem do rozmowy między nimi.

Przez moment sądziła, że jej życzenie się spełni. Bo zadzwonił niedługo potem.

- Cześć - przywitał się dość najeżony. Zorientowała się, że jest w samochodzie.

- Cześć. Gdzie jesteś? - spytała. Wprawdzie pytała o to zawsze, ale tym razem włączyła podobną ostrożność jak on. Mógł wyczuć jej podejrzliwość.

- W drodze do Providence. Bardzo się spóźniłem.

Odczekała chwilę.

- I tak już będzie codziennie?

- Nie mam pojęcia. To dobre zlecenie. Pomoże mi zapełnić czas, który ty spędzasz w szkole.

- Przecież nie co wieczór pracuję.

- Ale we wtorek jeździłaś wieczorem do szkoły.

- Bo wynikła ważna sprawa.

- Moja też jest ważna - powiedział.

No tak, uciał dyskusję.

- Kiedy wracasz?

- O dziesiątej, jedenastej.

- W takim razie miłego spotkania.

Amanda odłożyła słuchawkę, myśląc o tym, że mogła go przecież pociągnąć za język. Ale między nią a Grahamem rosła bariera obcości. Nie wiedziała, jak by przyjął jej słowa. Nie wiedziała, jak mu to w ogóle powiedzieć.

WRÓCIŁ po jedenastej. Słyszała, jak wchodzi ostrożnie po schodach, czekała, aż wejdzie do sypialni. Ale on wszedł do pokoiku, włączył telewizor. O północy zajrzała tam przez uchylone drzwi. Graham spał jak suset.

Głos wewnętrzny podpowiadał - obudz go. Ale wróciła cicho do sypialni i leżała w ciemnościach, usiłując odgonić przykre myśli. W końcu zmęczenie wzięło górę.

Obudziła się nazajutrz rano wpół do siódmej, kiedy Graham wszedł do sypialni. Wstąpił do garderoby, wyjął czyste ubranie, zdjął z siebie to, w którym spał, wrzucił do brudów i ruszył do łazienki.

Wsluchana w szum prysznica, przez ułamek sekundy zapragnęła nawet wejść do męża, ale po chwili zrezygnowała.

- WITAJ, skarbie - Maddie przywitała Amandę, gdy ta weszła do swojego gabinetu.

- Witaj, skarbie - odparła Amanda, ale natychmiast usiadła do swojego komputera i wysłała list elektroniczny do męża. „jesteś tam?” - Wiedziała, że postępuje jak tchórz, ale skoro ten sposób działał na jej najbardziej opornych uczniów, może i teraz zadziała.

Po spotkaniu z uczniem i dziesięciu minutach szukania Quinna po korytarzach dostała odpowiedź. „Jestem - napisał Graham. - Co takiego?”. „Musimy porozmawiać” - odpisała, wysłała e-maila, po czym spędziła pół godziny w pokoju nauczycielskim, rozmawiając z nauczycielką angielskiego Quinna. Chłopak rano przesiedział jej lekcję z taką miną, jakby sobie bimbał.

Kiedy wróciła do swojego gabinetu, odpowiedź Grahama czekała już w komputerze. „Świetnie. Porozmawiajmy”. „Gniewasz się?” - wystukała na klawiaturze.

Odpowiedź przyszła natychmiast.

„Owszem, gniewam. Uważam, że nie tak powinno wyglądać nasze małżeństwo”. „Szło nam wspaniale - odpisała, podkreślając i wytluszczając wspaniale. - To nasz pierwszy problem”.

„Masz na myśli sprawę dziecka czy zaufania?”

„Obie. Bo się ze sobą wiążą” - napisała.

„Ale sprawa dziecka nie wymaga zaufania”.

„Owszem, wymaga.,,

„W jakim sensie?”.

Zastanawiała się nad odpowiedzią, chodząc na przerwie po korytarzu. W takich chwilach często nawiązywała najlepsze kontakty z uczniami. Ważne, żeby ją widziano.

Wróciła do gabinetu i napisała z duszą na ramieniu.

„A jeżeli nie uda się nam spłodzić dziecka? Czy mogę mieć pewność, że mnie nie opuścisz?”.

W ciągu kilku minut dostała odpowiedź Grahama.

„Upokarzasz mnie tym pytaniem - napisał i podkreślił słowo tym”.

„Po prostu wiem, jak zależy ci na dzieciach - odpisała. - Musisz mnie podnieść na duchu. Ostatnio moja kobiecość została wystawiona na próbę”.

„Podobnie jak moja męskość. I wcale mi w tym nie pomaga spanie osobno. Czuję się odrzucony”.

„Kto spał zeszłej nocy w pokoiku? - odparła. Po chwili dostała jeszcze jeden list. - Coś nam źle poszło. Ale cię nie winię. Po prostu nie wiem, co czujesz”.

„Czuję się odrzucony” - powtórzył. Serce jej się ścisnęło.

„Możemy porozmawiać wieczorem przy kolacji? Kupię befsztyki i sałatkę, pogadamy”.

Kiedy czekała na jego odpowiedź, spotkała się z kolejnym uczniem. Potem zjadła obiad w stołówce z grupą trzecioklasistów, którym doradzała w sprawie prac społecznych. Najbliższe pół godziny wlokło się niemiłosiernie. Wreszcie Graham odpowiedział.

„To nie jest rozmowa. Oskarżasz mnie i wycofujesz się”...

”Tego się nauczyłam - odpisała i omal tego nie usunęła. Choćby nie wiadomo jak długo winiła rodziców, to nie pomoże jej małżeństwu. Ale pomogło jej wyjaśnić, dlaczego postąpiła tak, jak postąpiła. Toteż zostawiła ten tekst, dodając tylko: Graham, pomóż mi się zmienić”.

Jego odpowiedź nadeszła w ciągu kilku minut.

„Wrócę do domu na kolację”.

W PIĄTEK Graham pracował do wieczora, po czym pojechał do domu, bo mimo wszystko pragnął podtrzymać Amandę na duchu. Ale jej jeszcze nie było.

Rozważał nawet, czy nie wrócić do pracy. Nie chciał bowiem wpaść na nadgorliwego, nie chciał narażać się na rozczarowanie, jeżeli jej nie zależy tak jak jemu. Ale uwielbiał dom, zawsze znajdował w nim coś do roboty.

Mył właśnie samochód, kiedy podszedł Jordie Cotter.

- Może panu pomóc?

- Jeśli masz ochotę. - Graham rzucił mu szmatę. - Wytrzyj wokół reflektorów, bo tam się zawsze zbiera brud. Już spłukałem węzem, ale bądź tak dobry jeszcze sprawdzić. Zaraz, czy to dzisiaj nie ma meczu?

W piątki zwykle dorośli wylęgalii na popołudniowe mecze baseballowe swoich dzieci. Jordiemu szczęka opadła.

- Dzisiaj mieliśmy tylko trening. Mecz był wczoraj. Przegraliśmy dwanaście do trzech.

Graham aż się skrzywił.

- Ojej.

- Bo straciliśmy Qumna - rzucił oskarżycielsko chłopak. - Pan Edlin powinien być to jednak przewidzieć, kiedy zawieszał go w czynnościach ucznia.

- Ale coś musiał przecież zrobić - przystopował go Graham.

- Młodzież nie może przychodzić pijana na trening. Nie wolno mu było puścić płazem tego wyskoku. Czyli drużyna jest teraz mocno zdruzgotana?

- Aha. - Jordie przecierał gorliwie reflektory. - A w wieży znów ubyło kamieni.

- Wiem. Zaglądałem tam ostatnio.

Graham, podobnie jak Jordie, uwielbiał las, odkąd chłopak go tam zaprowadził. Siedząc kiedyś razem u podnóża wieży, zastanawiali się nad jej pochodzeniem. Wyszuli kilka dość nieprawdopodobnych domysłów.

- Sądzi pan, że może się zawalić? - spytał teraz Jordie.

- Chyba nie tak szybko.

- Słyszał pan o dziecku Gretchen?

- Owszem - potwierdził Graham. - Niedawno się dowiedziałem.

- I kto według pana jest ojcem?

- Każdy mógłby być. Nie wiadomo, z kim się Gretchen spotyka.

- Z nikim. Słyszałem, jak rodzice niedawno się o to kłócili. Mama niby nie oskarżyła ojca wprost, ale prawie. Sądzi pan, że to może być on?

- Nie - odparł Graham, bo czuł, że powinien zaprzeczyć. Jordie rozmawiał z nim tak, jak nie rozmawiał z większością dorosłych, może dlatego, że Graham był zawsze wobec niego szczery. Ale mówili w końcu o ojcu Jordiego i niczego jak dotąd nie udowodniono. - On kocha twoją matkę.

- Wcześniej jakoś mu to nie przeszkodziło - mruknął Jordie. Graham zorientował się, że to nie jest już ten sam chłopak, który zaprowadził go niegdyś do lasu.

Ulicą nadjechało małe czerwone bmw. Jordie na jego widok prawie oniemiał.

- O raju! - wykrzyknął. - Niech pan spojrzy, co za bryka! Graham posłusznie spojrział. Za kierownicą dzieciak, stanowczo za młody na prawo jazdy, w samochodzie, którego z pewnością sam nie kupił.

- Kto to taki?

- Alex Stauer. No, to lecę.

Rzucił szmatę Grahamowi. Wskoczył na tylne siedzenie samochodu, który śmignął do przodu.

Graham właśnie odprowadzał go wzrokiem, kiedy podjechał Lee Cotter.

- Czy to był mój syn? - zawołał przez okno.

- Aha - potwierdził Graham i wrócił do mycia. Lee zaparkował, podszedł.

- Niezły wóz.

- Prowadził go Alex Stauer. Czy to nie jeden z chłopców zawieszonych razem z Quinnem?

- Owszem.

- Myślisz, że to nagroda pocieszenia od rodziców?

- To jest wóz jego matki. Kobiety z fantazją - powiedział Lee z wymownym uśmiechem.

- Skąd wiesz? - zapytał Graham, ale natychmiast uniósł rękę. - Nie odpowiadaj. Nawet nie chcę wiedzieć.

Lee roześmiał się, ale zaraz oprzytomniał.

- Nawiasem mówiąc, byłbym wdzięczny, gdybyś uciął w razie czego wszelkie plotki na temat mnie i wdowy. - Kiedy Graham spojrział na niego z miną niewiniątka, dodał: - Bo Karen narobiła szumu. Podejrzewa mnie o ojcostwo.

- A jak jest naprawdę?

- Myślisz, że bym ci powiedział? - spytał Lee.

Graham poczuł niechęć do sąsiada.

- Karen zasługuje na lepsze traktowanie.

Lee się roześmiał.

- Wszystkie kobiety zasługują, ale wiesz, jak jest. Ma dom. Ma dzieci. Ma wakacje dwa razy do roku. Nieźle jej się powodzi. No więc, pomóż mi w sprawie Gretchen, co? Poproś Amandę, żeby Karen się ode mnie odczepiła, dobra?

Ani się Grahamowi śniło. Miał wiele ważniejszych spraw do omówienia ze swoją żoną.

AMANDA w drodze do domu wstąpiła do centrum handlowego Woodley. W sklepie mięsnym kupiła dwa befsztyki z polędwicy, świeżą sałatę, wielkiego pomidora, trzy papryki, czerwoną, pomarańczową i zieloną, a także sos winegret o smaku malinowym, ulubionym

Grahama. Pod domem ledwie zerknęła na Gretchen, która znów podlewała kwiaty, pomachała w przelocie Karen siedzącej na frontowym ganku. Uwagę jej przykuł jednak Graham, który wyglądał tak sympatycznie przy polerowaniu samochodu szmatą. Aż ją to na wet speszyło.

Dostrzegł żonę, kiedy wysiadała.

- Pomóc ci wyładować? - spytał.

Potrząsnęła głową, uśmiechnęła się, weszła do domu. Nakryła duży stół, opłukała biefsztyki, zbiła, rzuciła na patelnię. Zrobiła sałatę, potem sos. Już miała wyjść do sypialni, żeby się przebrać, kiedy zadzwonił telefon.

W obawie, że to może być telefon służbowy do Grahama, bardzo niepożądany w tym momencie, podniosła słuchawkę i rzuciła pośpiesznie:

- Halo?

- Amanda? Tu Maggie. Mamy samobójstwo.

Rozdział piąty

SAMOBÓJSTWO. Amanda wstrzymała oddech.

- Kto taki? - spytała, ale już miała przed oczyma twarz Quinna. Kiedy Maggie Dodd potwierdziła, Amanda przycisnęła tylko pięść do czoła, jak gdyby chciała zetrzeć wklejony tam obraz.

- Powiesił się w szatni - relacjonowała Maggie. - Woźny spotkał go tam po treningu drużyny. Poradził, żeby szedł do domu. Quinn zapytał, czy mógłby jeszcze trochę zostać, by odrobić lekcje, bo tam mu się najlepiej skoncentrować. Pan Dubcek ulitował się nad nim ze względu na aferę z zawieszeniem, no więc mu pozwolił. Kiedy wrócił godzinę później, znalazł ciało Quinna. Usiłował ratować chłopaka, ale było już zbyt późno.

- Nie żyje - szepnęła Amanda, sparaliżowana bezradnością. - Jesteś pewna, że to był świadomy krok?

- Tak. Zostawił listy do rodziców i do dziewczyny.

Amanda jęknęła. Samobójstwo to po prostu tragedia.

- Zęby do tego stopnia cierpieć...

- Amando, nikt z nas nie wiedział. Ale teraz musimy myśleć perspektywicznie. Nawet uczniowie, którzy się z nim nie przyjaźnili, to odczują. Dla większości będzie to pierwsze zetknięcie ze śmiercią.

Amanda wiedziała, o czym Maggie mówi. To z jej ust powinny były paść te słowa. Tyle że była zanadto wstrząśnięta.

- Następstwa - wybąkała. Krańcowy strach, głęboka depresja, nawet podobne samobójstwa - to koszmar szkolnego psychologa. - Kto o tym wie? - zwróciła się do Maggie.

- Jego rodzina. Przyjaciele. Dwaj czekali na niego w domu, kiedy zadzwoniliśmy. Wiadomość już się rozeszła. Co robimy? Amanda usiłowała wziąć się w garść.

- Zwołujemy sztab kryzysowy. Właśnie od tego jest. - Z tymi słowy wyciągnęła podręczny faks z teczki, którą rzuciła na krzesło w kuchni. - Musimy się spotkać, żeby omówić dalsze kroki. Czy Fred może zostać?

- Taki ma zamiar. Wszyscy mają zebrać się w jego gabinecie. Co mogłabym zrobić?

- Poproś kierowników wydziałów, żeby wezwali nauczycieli. Jeżeli zjawią się w szkole, powiedzmy jutro o dziewiątej, przekazemy im relację z dzisiejszego wieczornego spotkania.

- A kiedy ty przyjedziesz?

Amanda spojrzała na zegar ścienny, po czym omiotła wzrokiem wyłożone na ladzie składniki romantycznej, pojednawczej kolacji z Grahamem. Ale jej uczeń nie żył. Kryzys w pracy się pogłębił. Mąż będzie musiał to zrozumieć.

Dochodziła szósta.

- Daj mi jeszcze kilka minut na zwołanie sztabu. Zobaczymy się zatem o siódmej?

LEDWO zaczęła obdzwaniać kolegów, wszedł Graham z bukietem dzikich barwinków zebranych w ogrodzie za domem.

- Właśnie dostałam telefon. Quinn Davis popełnił samobójstwo.

Graham opuścił rękę, kwiaty upadły. Zbladł.

- Odebrał sobie życie? - spytał z niedowierzaniem.

Amanda skinęła głową. Dopiero teraz uświadomiła to sobie z całą mocą.

- Powiesił się w szatni szkolnej. Graham wciąż nie mógł uwierzyć.

- Quinn Davis?

- Był inteligentny - powiedziała z nagłą rozpaczą. - Przystojny, wysportowany, towarzyski. Naprawdę miał po co żyć. Zapaskudził sobie konto tylko jednym wybrykiem, bo raz się upił. Nawet policja nie musiała interweniować.

- Prasa to rozdmuchała. Pisano, że żył wyłącznie baseballlem.

- Graham przecesał ręką włosy. Usiłował wyciągnąć jakiś logiczny wniosek. - Czyli zabił się dlatego, że ominęło go sześć meczów? Jak sześć meczów może zaważyć na całym życiu?

Amanda przyłożyła rękę do brzucha. W środku czuła dosłownie kamień.

- To było głupstwo. Ale coś go gryzło. Gdybym miała okazję z nim porozmawiać, może doszłabym prawdy.

- Och. Mandy - przedział Graham, biorąc ją w ramiona. - Nie możesz winić siebie.

Nie od razu się odezwała. Czuła się cudownie w jego ramionach.

- To my się tak staramy, żeby wydać dziecko na świat, a inne dziecko odbiera sobie życie? Och, jakie to niesprawiedliwe, Gray.

- Nie ma sprawiedliwości na tym świecie - mruknął. Nagle zapragnęła z nim porozmawiać o tym, co znaczy być dobrym rodzicem. Bo czuła, że ona i Gray będą najlepszymi rodzicami na świecie. Ale nie miała czasu. Na niej spoczywała odpowiedzialność, jak szkoła średnia w Woodley opanuje kryzys.

- Przepraszam za kolację.

Wyśliznęła się z jego ramion. Zbył przeprosiny machnięciem ręki.

- I tak mam pracę. Pojadę do biura. Tam się lepiej koncentruję.

- Nie wiem, kiedy wrócę.

- Ja też nie.

- Piękne te barwinki.

- A tak się łudziłem, że już prawie nam się udało. Poruszyło ją to sformułowanie.

Miała w sobie spory ładunek emocjonalny, nie do ogarnięcia natychmiast. Wolała się skupić na czekających ją telefonach.

- Może później? - spytała, sięgając po słuchawkę.

- Na pewno - potwierdził machinalnie. Ale nie miał zbytnej pewności w głosie.

GEORGIA starała się unikać podróży w weekend, ale tym razem się nie udało. Dyrektorzy przedsiębiorstwa zabiegającego o wykupienie jej firmy zażyczyli sobie zwiedzić fabrykę na Florydzie. Mieli czas jedynie w sobotę.

Pragnąc upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, na piątek zaplanowała od świtu do nocy spotkanie ze swoim kierownictwem w Tampie. Teraz zaś wracała wynajętym samochodem z tamtejszego lotniska, wioząc dwóch przedstawicieli ewentualnego nabywcy swojej firmy. Jeden był pierwszym wiceprezesem, drugi dyrektorem finansowym. Jechali do hotelu. Wieczorem czekała ją służbowa kolacja, a nazajutrz bity dzień spotkań i zwiedzania zakładów. Zadzwoił jej telefon komórkowy.

- Halo?

- Mamo - usłyszała wystraszony głos Allie. - Quinn się zabił.

- Co takiego? - spytała Georgia. - Mówisz poważnie?

- Poważnie. Brooke właśnie zadzwonił. Mamo, on nie żyje. Quinn nie żyje.

- Boże święty! - mruknęła Georgia. Nie mogąc się skupić na prowadzeniu, machnęła ręką na mężczyzn, na których miała wyrzucić dobre wrażenie, i zjechała na pobocze. - Allie, tak mi przykro. Ale dlaczego on to zrobił?

- Brooke mówi, że z powodu artykułu w gazecie.

- Jakiego artykułu? - spytała Georgia, kompletnie zagubiona.

- Wczoraj w „Tygodniku Woodley” był wielki artykuł o tym, że go zawiesili. Brooke twierdzi, że Quinn nie mógł znieść takiego upokorzenia, a Melissa, że to jego rodzice nie mogli znieść. - Głos jej się załamał. - On odszedł. Na zawsze. - Rozpląkała się. - Jak ktoś... może zrobić coś takiego, mamó?

W jaki sposób odpowiedzieć, wiedząc, że jej słowa zostaną przyjęte za świętość?

- Większość ludzi nie może. Nie wiemy, dlaczego Quinn to zrobił. Okazuje się tylko, że nie był tak silny, jak sądziliśmy. Kochanie, czy tata jest z tobą?

Allison pociągnęła nosem.

- Poszedł do Cotterów pogadać.

- Rozmawiałaś z Jordiem?

- Nie. Wiesz, to jest coś przeokropnego. Nie masz nawet pojęcia, jak bardzo.

- Śmierć?

- Nie. Cała ta sprawa dla Jordiego. - Uderzyła w historyczny ton. - Mamo, kiedy Quinn upił się w zeszły wtorek, to pili wódkę. Właśnie Jordie dał im tę butelkę.

- O Boże.

- Tylko przysięgnij, że nikomu nie powiesz. Jordie w życiu by się do mnie nie odezwał, gdyby dowiedział się, że ci powiedziałam. Ale sama teraz widzisz, jakie to straszne.

Georgia z trudem wyobrażała sobie, jakie poczucie winy musi teraz zżerać Jordiego.

- Widzę. A gdzie on teraz jest?

- Pojechał do Quinna. Mamo, co ja mam robić?

Na początek, chciała zasugerować Georgii, sprowadź tatę do domu. Nie mogła uwierzyć, że Russ zostawił dziecko bodaj na chwilę w takiej sytuacji. Allie potrzebowała teraz otuchy, wsparcia.

Potrzebowała matki, ot co.

- Najpierw - poradziła - idź po tatę i się do niego przytul. Poproś, żeby teraz był przy tobie.

- Ale czy mam iść do domu Quinna?

- Nie dzisiaj. Jego rodzice pewno są w szoku.

- A co będzie potem?

- Jego rodzice załatwią pogrzeb... Allison aż krzyknęła na słowo pogrzeb.

Georgia bardzo chciałyby osłonić przed tym wszystkim córkę, ale nie mogła.

- Na pewno przewidziane jest czuwanie. Wtedy złożysz kondolencje rodzicom Quinna. - Georgia kątem oka zerknęła na zegarek, żeby dojrzeć, która jest godzina. - Kochanie, postaram się złapać samolot stąd jeszcze dziś wieczorem. Zadzwoń, jak tylko coś będę wiedziała, dobrze?

- Dobrze.

- I zadbaj o Jordiego. Kocham cię, maleńka. Niedługo wrócę.

- Mamo, ja też cię kocham.

Georgia kończyła rozmowę ze łzami w oczach. Po raz pierwszy od ładnych kilku chwil przypomniała sobie o pasażerach i o całej wizycie. Miała zademonstrować im z najlepszej strony nie tylko pracę filii na południowym wschodzie, lecz również siebie. Na przeszkodzie stanęło jej bycie matką.

- Nie mogę zostać - przeprosiła. - Pilna sprawa wzywa mnie do domu.

- Pani córka straciła kolegę? - spytał wiceprezes.

- Chłopak odebrał sobie życie - potwierdziła Georgia. - Córka bardzo się tym przejęła.

- A nie ma przy niej pani męża? - spytał dyrektor.

- Jest, ale teraz ja też powinnam tam być. - Wrzuciła bieg i ruszyła. - Odwiozę panów do hotelu. Jutro nasz dyrektor okręgu zastąpi mnie w obowiązkach i panów oprowadzi.

Spojrzała w lusterko wsteczne, włączyła się do ruchu.

- Ale myśmy przyjechali, żeby się spotkać z panią, a nie z pani dyrektorem - oznajmił urażony wiceprezes. - Pani jest nieodłączną częścią tego pakietu.

Pakiet! Co za bezosobowe słowo! Georgia ważyła w myślach odpowiedź. Wreszcie odezwała się:

- To nie jest nasze pierwsze spotkanie. Przed przyjazdem tutaj panowie mnie już znali, widzieli mnie, rozmawiali ze mną. Przeczytali panowie wszelkie dostępne materiały na mój temat. Owszem, mąż jest w domu, ale pokpiłabym sprawę, gdybym w takiej chwili nie stanęła u boku dzieci. Bardzo mi przykro, że fatygowali się panowie dla mnie tak daleko, ale muszę wracać.

DOCHODZIŁA północ, kiedy Amanda dotarła do domu. Wyczerpana emocjonalnie, położyła się do łóżka, odwróciła tyłem do pleców Grahama. Czuła, że mąż nie śpi, ale się nie odezwał. Ona też nie. Przez cały dzień miała aż nadto gadania. Nazajutrz czekał ją największy w życiu sprawdzian zawodowy.

W sobotę rano zerwała się o wpół do szóstej. Kiedy wyszła spod prysznic, zobaczyła w łazience Grahama.

- Jak się czujesz? - zapytał ją serdecznie. Zaczęła się wycierać.

- Zmęczona.

- Jakie masz plany na dzisiaj?

- O dziewiątej schodzą się nauczyciele. Muszę im powiedzieć, co się stało i jak mają przekazać to dzieciom. Ann Kurliss, moja specjalistka od radzenia sobie z żałobą, przedstawi im reakcje emocjonalne młodzieży i podpowie, jak powinni postępować nauczyciele. Drzwi szkoły będą przez cały dzień otwarte, nauczyciele będą na zmianę pełnili dyżury. Uczymy ich

wypatrywać różnych niepokojących objawów u dzieci. Sztab kryzysowy zajmie się też specjalnie dziećmi, które wykażą szczególne przygnębienie.

- Co się mówi dzieciom w takiej sytuacji?

- Niewiele. Najwięcej się słucha. - Odłożyła ręcznik, sięgnęła po bieliznę. - Muszą bez przeszkód dać upust swoim lękom. Trzeba słuchać i dostosowywać rady.

- Kiedy odbędzie się pogrzeb?

- W poniedziałek rano. Tego dnia obecność w szkole będzie nie obowiązkowa. Chwyciła inny ręcznik, zaczęła wycierać sobie włosy.

- Sądziłem, że odwołają lekcje - powiedział Graham.

- Padła taka propozycja - odparła. - Długo ją rozważaliśmy. Wszyscy uczniowie w Woodley wiedzieli, kim jest Quinn, ale nie wszyscy go znali. Być może nie każdy będzie chciał się wybrać na pogrzeb. Powstała obawa, że jeśli odwołamy lekcje, nadamy chłopakowi status bohatera. Ze względu na rodzaj śmierci nie możemy sobie na to pozwolić.

Zaczęła nakładać makijaż.

- Wiaadomoc coś więcej, dlaczego to zrobił?

- Nie.

- Rodzice się nie odezwali?

- Nie.

Graham uśmiechnął się smętnie.

- Trudno im się dziwić. Wiele dzieci w znacznie trudniejszej sytuacji nie ucieka się do samobójstwa. - Uśmiech mu zrzędł. - Zresztą kto może powiedzieć: nam by lepiej poszło?

- Ja - odparła Amanda. - Nam by lepiej poszło.

- Ostatnio nie najlepiej nam idzie.

Zatrwożona, dokąd ich ten wątek może zaprowadzić, Amanda jednak nie uległa.

- Nie masz racji. Jakoś się trzymamy. Czasem w krytycznej sytuacji ludzi nie stać na nic więcej.

- A nasza jest krytyczna?

Na chwilę zastygła, dopiero potem zakręciła tubkę z masarą i potwierdziła:

- Tak. Musimy porozmawiać, ale nie teraz. I jeżeli dzisiaj będzie tak, jak sędzę, to wieczorem też będą nici z rozmowy.

- A jutro?

- Ranek pewno spędzę w szkole. Po południu jest przyjęcie u twojej mamy.

- Mimo wszystko wybierasz się? Będziesz padnięta.

- Przeżyję.

Po chwili milczenia spytał:

- Może ci zaparzyć kawy przed wyjściem?

- Och, chętnie. Dzięki.

GRAHAM obiecał sobie, że spędzi cały dzień w biurze. W sobotę, pod nieobecność współpracowników, mógł się skupić na szkicu do projektu w Providence. Ale wciąż błędził myślą gdzie indziej. Wytrwał tylko do drugiej, po czym wrócił do domu, wstąpiwszy po drodze po tuzin skrzynek niecierpków.

Wkrótce potem w najgorszej koszulce, szortach i butach roboczych wyniósł niecierpki do ogrodu i zaczął sadić. Pocił się przy nich na słońcu ładną godzinę, kiedy wyszedł Russ z dwoma piwami i usiadł obok na trawie. Graham pociągnął łyk. Piwo było zimne i orzeźwiające.

- Koszmarna historia z tym Quinnem.

Russ pokiwał głową i spytał:

- Jak się trzyma Amanda?

- Zmęczona. Ale na tym polega jej praca. Ostatnio czuła się jak ryba wyjęta z wody.

- Przez te próby zajścia w ciążę?

Graham pokiwał głową.

- W ogóle sprawy rodzinne. Z mojego powodu też. - Rzucił Russowi spłoszone spojrzenie. - Wybacz, że się tak użalam, ale jakoś nie mogę od tego uciec. Wciąż mnie to samo męczy.

- Co takiego?

Graham wzruszył ramionami. Nie czuł aż takiej potrzeby obnażania się przed Russem.

Po chwili jednak wypalił:

- Pierwsze małżeństwo. Wiesz coś na ten temat?

- Jedyne to, że rozstaliście się w przyjaźni.

- Amanda nic ci więcej nie mówiła? - spytał ostrożnie.

- Powiedziała tylko, że ta kobieta jest przyjaciółką rodziny, ale zastanów się... która kobieta lubi mówić o pierwszej żonie męża?

- Megan to ktoś więcej niż przyjaciółka - wyznał Graham. - Mieszka drzwiami w drzwiach z moją mamą.

Russ zmarszczył brwi.

- Dziwne jak na byłą żonę. Od kiedy tam mieszka?

- Od zawsze. Megan z rodziną mieszka po sąsiedzku. Bawiliśmy się razem, uczyli razem. Spotykaliśmy się przez cały ogólniak i studia. Nikt nie miał wątpliwości, że się pobierzemy, i tak się stało. W pierwszy weekend po obronie dyplomu.

- O rany - zdumiał się szczerze Russ. - No więc, dlaczego to jednak nie przetrwało?

- Przetrwało przez sześć lat. I wtedy przyznała się, że jest lesbijką.

Russowi wprost dech zaparto.

- O kurczę. Może faceta powalić, nie?

Graham aż się roześmiał na to jawne zdumienie sąsiada.

- Żebyś wiedział.

- A przedtem nie miałeś pojęcia?

- W każdym razie nie przed ślubem. Studiowaliśmy na różnych uczelniach. Przez ostatnie dwa lata dzieliła pokój z kochanką. Sądziłem, że się tylko przyjaźnią.

- Ale twoją kochanką też była.

- Jak najbardziej.

- I była dobra? - spytał Russ iście po męsku.

- Kiedy chciała - powiedział Graham. - Czasem czułem, że jest jakby nieobecna. Sądziłem, że to takie kobiece fochy.

Dopóki nie poznał Amandy. Z Amandą połączyła go jakaś magiczna chemia. Dopiero seks na dzwonek wszystko zepsuł.

- Skoro знаła swoje upodobania - spytał Russ, wracając do wątku Megan - dlaczego zdecydowała się na ślub?

- Nic prostszego. Trudno ją nawet winić. Szczerze chciała za mnie wyjść i uszczęśliwić swoją rodzinę.

- Czułeś, dokąd zmierza?

- Widziałem, że stopniowo zamyka się w sobie. Prowadziła małą księgarenkę w mieście, zaczęła tam spędzać coraz więcej czasu. Wszystko trwałoby dłużej, gdybym nie przyparł jej do muru.

- O upodobania seksualne?

- O dziecko. - Graham parsknął śmiechem i spojrzał w bok. - Zakrawa na ironię, co?

- Co takiego?

- Ze to samo wisi teraz nad nami jak topór. Co za fatum mnie prześladowe, kiedy dochodzi do kwestii dzieci? - Spojrzał na Russa. - Pocałunek śmierci?

- Nie. Nie z Amandą. Ona też chce mieć dzieci.

- Prosiła teraz o chwilę oddechu. Wiesz, jak ja się z tym czuję?

Russ spojrział na kolegę z przerażeniem.

- Oddechu od seksu?

- Nie - odparł Graham, ale zastanowił się na odpowiedzią. - Może zresztą też. Wiesz, jak ta cała terapia hamuje spontaniczność?

- Wyobrażam sobie.

- No, to pomnóż swoje wyobrażenia przez dziesięć.

- Ale czy ta jej przerwa nie uzdrowiła wam sytuacji w łóżku?

- Też na to liczyłem. Ale właśnie teraz bez przerwy się kłócimy. - Przerwał, zażenowany. - Nie powinienem ci tego mówić.

- Że twoje małżeństwo nie jest idealne? A czyje jest?

- Twoje.

- Czyś ty oszalał? Wiesz, że Georgia raz nawet chciała mnie rzucić?

- Nie wierzę.

- Zanim się tu wprowadziliśmy. Borykałem się z pracą, nie bardzo mi szło, sam miałem do siebie wiele zastrzeżeń. Wyładowywałem się na niej, zasypywałem ją żądaniem i uszczypliwościami. A ona właśnie spotkała swojego dawnego adoratora ze szkoły i stwierdziła, że facet ma wszystko, czego mnie brakuje.

Graham się wyprostował.

- Tak ci powiedziała?

- Owszem. Ale dodała jednym tchem, że mnie kocha i zależy jej na utrzymaniu naszego małżeństwa. Wtedy się ocknąłem. Wziąłem się w garść.

- Zastanawiasz się czasem, co ona robi na wyjazdach?

- Chodzi ci o facetów? Nie. Bo jej ufam.

Graham już miał spytać, czy to zaufanie jest obustronne, czy czasem Georgia nie zachodzi w głowę, jak on się zachowuje. Pomyślał o Gretchen, ale odsunął od siebie tę myśl.

- Każde małżeństwo przechodzi różne próby - stwierdził Russ.

- Trzeba wybrać priorytety. Georgia wiecznie to powtarza. Umieć wybrać priorytety.

JAK zatem wyglądają jego priorytety, zastanowił się Graham. Seks, Amanda, dzieci, praca. Niekoniecznie w tej kolejności.

Jeśli nie w tej, to w jakiej?

Na pierwszym miejscu powinna się znaleźć Amanda. Bez niej trzy pozostałe nie wypalą. Owszem, zależało mu na seksie z Amandą.

Zależało mu na dzieciach z nią. I, jasne, mógłby projektować ogrody, patia w centrach handlowych, parki przy biurkach - bez Amandy. Ale na czym zbudowałby sens życia? Co zrobiłby z pieniędzmi, gdyby nie mógł ich wydawać na Amandę i ich wspólne dzieci? Tylko Amanda nadawała sens wszystkim jego priorytetom.

Kiedy wróciła do domu po długim dniu w szkole i jeszcze dłuższym wieczorem w domu pogrzebowym, Graham zaparzył jej herbaty i przygotował kąpiel. Ledwie przyłożyła głowę do poduszki, prawie natychmiast zasnęła, ale on trzymał ją mocno w objęciach i sprawiało mu to nie lada przyjemność. Po raz pierwszy od tygodni nie złościł się, że nie jest namiętna. Po raz pierwszy zadowolił się tym, że może być po prostu przy niej.

AMANDA obudziła się w ramionach Grahama, sądząc, iż pchnęły go do łóżka z nią wyrzuty sumienia. I upomniała się zaraz w duchu, że znów myśli jak mama.

Otrząsnęła się, wyslizgnęła z łóżka. Graham jeszcze spał. Przygotowała ciasto na urodziny teściowej. Zaparzyła świeżej kawy i położyła niedzielną gazetę na stole, ale zanim on się obudził, musiała szybko wziąć prysznic i pędzić do szkoły.

GRAHAM zastanowił się, czy to nie podświadomość każe mu przesypiać ostatnio ranki. Sen był wygodniejszy niż radzenie sobie z niezręcznymi sytuacjami między nim a żoną. Znów stchórzył, chociaż inaczej to planował po rozmowie z Russem. Zawstydzony, obiecał sobie, że ruszy do czynu.

SAMO wejście na przyjęcie u O'Learych było nie lada przeżyciem. Od progu głośne krzyki i uściski, entuzjastyczne poklepywania, zgiełkowe przywitania. Właśnie tubalne okazywanie emocji ominęło Amandę w dzieciństwie. Na ogół uwielbiała szczerze okazywanie uczuć. Dzisiaj jednak, chociaż uśmiechała się i ścisnęła ze wszystkimi, to miała poczucie, jakby winiono ją za problemy z poczęciem.

Dała się wciągnąć w wir przyjęcia, prowadzić kolejnym dzieciom do kolejnych pokojów.

- Jesteś moją najładniejszą ciocią - powiedziała jej mała kuzyneczka, która lgnęła do niej jak przylepka i uśmiechała się szczerbatym uśmiechem. - Nie chcę, żebyś miała dzieci. Bo lubię cię mieć tylko dla siebie.

I co miała odpowiedzieć? Ciasto ponczowe się udało, lecz Dorothy ani słówkiem się nie zająknęła na jego temat. Nawet kiedy Amanda sama nawiązała z nią rozmowę. Opowiadała o klubie ogrodniczym, o kółku historycznym, o Megan, w pełni świadoma, że

wszystkie te tematy Amanda wolałaby omijać. Mimo to synowa była uprzedzająco grzeczna. Uśmiechała się, kiwała głową, o wszystko dopytywała. Dorothy nie zapytała absolutnie o nic. W końcu rozmowa wygasła.

Z pomocą przyszedł jej Malcolm O'Leary.

- Przepraszam, mam, ale muszę ci podkraść bratową.

Objął Amandę wielkim ramieniem i wyprowadził.

- Gdzie jest Graham? - zainteresowała się Amanda.

Nie widziała go przez całe przyjęcie.

- Gra w siatkówkę za domem. Jak ty się czujesz?

- Świetnie - odparła z uśmiechem.

- Gray twierdzi coś innego. Ze bardzo się przejęłaś ostatnią porażką. Wszyscy czujemy się okropnie, Amando. Wiem, jak bardzo chcesz mieć dziecko.

- Przyjdzie z czasem.

- Słyszałem o pewnym wybitnym specjalście w Dystrykcie Kolumbia. Zajmuje się kobietami, które nie mogą zająć w ciążę. Podobno ma bardzo odległe terminy, ale robiłem coś dla jego siostry w Hartford. Wystarczy jeden telefon od niej, a dostaniesz się bez trudu. Co ty na to?

Amanda starała się powściągnąć emocje.

- Załatwiłeś to na prośbę Grahama?

- Tak. Prosił, żebym ci nic nie mówił, ale, do cholery, skoro nie mogą wykryć, na czym polega wasz problem, może ktoś inny powinien.

Cieszyłbym się, gdybyś zadzwoniła.

- Dzięki, Malcolm, ale mamy już niezłego specjalistę.

- Gdybyś zmieniła zdanie, daj mi znać. Graham marzy o tym, że by zostać ojcem.

Po chwili usłyszała te same słowa, tym razem od pierwszej żony Grahama. Megan traktowano tu jak członka rodziny. Trzeba przyznać, że zachowywała się z wyczuciem. Zawsze przychodziła późno, wychodziła wcześniej i nie panoszyła się zbyt, ustępując miejsca Amandzie. Dzisiaj uściskała ją serdecznie, pochwaliła, że pięknie wygląda, wypytała o pracę, podczas gdy Dorothy nie przyszło to nawet do głowy. Amanda pomyślała - nie po raz pierwszy zresztą - że bardzo lubi Megan. Ale potem Megan ściszyła głos i poruszyła kwestię dzieci.

- Gray twierdzi, że sytuacja utknęła w martwym punkcie.

- Owszem - potwierdziła Amanda z uśmiechem - ale chyba tylko przejściowo.

Megan nie odpuściła.

- Pewnie nie jest ci łatwo. Wiem, jak bardzo Gray marzy o dzieciach. Mogłabym jakoś pomóc? - spytała.

Amanda spojrzała na nią z mieszaniną zdziwienia i rozbawienia.

- Nie sądzę.

- No wiesz, mogłabym na przykład zaoferować swoje jajeczka albo pożyczyć macicę na dziewięć miesięcy...

AMANDA nie odzywała się w drodze powrotnej. Miała oślepiający ból głowy.

Graham też milczał, ale w środku aż kipiał. Ledwie ujechali dwie przecznice, odezwał się:

- Nienawidzisz mojej rodziny?

Ocz.y jej zabłyśły.

- Nie. Dlaczego tak sądzisz?

- Bo musiałaś się silić na uprzejmość. Widać było na kilometr.

Amanda patrzyła przez okno. Tyle rzeczy chciałaby powiedzieć, że nie wiedziała, od czego zacząć.

- Wytrąciło cię z równowagi, że mama nie podziękowała za ciasto.

- Wytrąciło mnie z równowagi wiele rzeczy. Chyba najmniej brak podziękowania.

Wiesz, że Megan zaoferowała się wspomóc mnie w macierzyństwie?

- To chyba miło z jej strony - zauważył Graham.

- Przecież to twoja była żona! - zawołała Amanda. - Trochę inaczej rzecz wygląda, jeśli propozycja wyjdzie od siostry. Poza tym dla czego uważa, że problem tkwi w mojej macicy? Dlaczego wszyscy uważają, że problem leży po mojej stronie? Tak im powiedziałaś? A może jeszcze dodałaś, że przechodzę kolejne poronienia, jak gdybym była niezdarną zawodniczką, która wciąż gubi piłkę w rodzinnym meczu baseballu.

Wstrząśnięta swoim tonem, umilkła. Kiedy już zdołała wziąć się w garść, wyznała cicho:

- O nienawiści do twojej rodziny nie ma mowy. Tylko zawsze w ich obecności tracę ciebie.

- Wcale mnie nie tracisz - obruszył się.

- Nigdy mi nie towarzyszysz. Zawsze rozmawiasz z bratem albo grasz z bratankiem, albo radzisz bratowej w sprawie ogrodu.

- Wolałabyś, żebym odtąd sam do nich jeździł?

Zamknęła oczy. W ogóle nie pojmował, w czym rzecz.

- Nie.

- No, to czego chcesz?

Chciałaby, żeby patrzył na nią jakby była pępkiem świata. Dawniej tak patrzył. A na tym przyjęciu nie spojrzął na nią ani razu.

- Powiedz, Amando.

- Pomóż mi, żebym nie czuła się taka wyobcowana. Stój przy mnie, a nie gdzieś indziej, jakbyś się mnie wstydził. To ty powinieneś powiedzieć Malcolmowi, że znaleziony przez niego wybitny specjalista od niepłodności kobiet może nie być dobrym lekarzem dla nas, bo nie jestem niepłodna. - Nabrała szybko powietrza, spojrziała na niego. - Może powinieneś dać im do zrozumienia, że stawiasz mnie w życiu na pierwszym miejscu. Chyba że nie.

Spojrzął na nią z gniewem w oku.

- Chcesz koniecznie, żebym musiał wybierać między swoją rodziną a tobą.

- Nie. Chcę, żebyś zaczął się zachowywać jak mąż.

- Próbuję. Ale twoja zazdrość o Megan i o moją rodzinę wcale nie pomaga. Ani twoja zazdrość o Gretchen. Mam się zachowywać jak mąż? To ty się zachowuj jak żona. Okaż mi zaufanie.

AMANDA obudziła się w poniedziałek rano z bólem głowy i poczuciem trwogi. Usiłowała zebrać pozytywne myśli, ale czym się tu pocieszać w dniu pogrzebu nastolatka. Graham spytał, w jaki sposób mógłby się przydać, a kiedy podsunęła mu pomysł, skwapliwie podchwycił, że przywiezie kilka tac pączków do pokoju nauczycielskie go dla tych, którzy przyjadą wcześniej.

Następnie włożył garnitur.

- Masz spotkanie? - spytała.

- Pogrzeb - odparł. - Chcę, żebyś czuła przy sobie moją obecność.

Dopiero po chwili to do niej dotarło. Rozpłakała się.

- Niech to diabli - mruknął, przyciągając ją do siebie. - A chciałem ci dodać otuchy.

I dodał. Zachowała spokój wobec całego doświadczenia związanego z Quinnem, nie tracąc ducha nawet w dręczących chwilach zwątpienia, kiedy rozważała, czy nie mogłaby zapobiec śmierci chłopaka, gdyby po prostu złapała go na korytarzu i zaciągnęła do siebie do gabinetu.

- Dziękuję - powiedziała i pocałowała go ciepło w usta.

Pogrzeb odbył się w kościele z białą wieżą w centrum miasta. Przyniesiono mnóstwo kwiatów, zewsząd spoglądał Quinn z tuzinów fotografii. Amanda, zobowiązana do siedzenia z ciałem pedagogicznym, tylko raz wypatrzyła Grahama. A kiedy wyszła z kościoła, już go nie było.

Przez cały dzień otuchy dodawała jej myśl o jego obecności. O trzeciej autobusy szkolne odjechały, wokół zapadła upiorna cisza. Tu i ówdzie siedzieli na trawie nieliczni maruderzy. Amanda przysiadła u podnóża schodów frontowych. Podeszły do niej na rozmowę dwie dziewczyny. Nie powiedziały wiele, ale Amanda została z nimi, do póki nie odeszły. Wróciła do swojego gabinetu i urzędowała tam do piątej. Odpowiadała na telefony, rozmawiała z rodzicami martwiącymi się o własne dzieci.

W końcu zamknęła gabinet i ruszyła do domu. Pokrzepił ją widok półcięzarówki Grahama na podjeździe. Za domem, na dywanie z trawy, na tle świerków i sosen, stał stolik z kutego żelaza z dwoma pięknymi krzesłami. Elegancji dodawały lniane serwetki, świeczniki.

Wzruszona, weszła do kuchni. Graham czytał z instrukcji na pudełku sposób przygotowania pilawu. Na ladzie leżały befsztyki, które mieli zjeść w piątek wieczór.

- Uznałem, że spróbujemy od nowa - powiedział. Odstawił pudełko ryżu, wyjął z lodówki butelkę wina, nalał do dwóch przygotowanych wcześniej kieliszków, wręczył jej jeden. - Chwilę nam to zabrało. Dawno nie świętowaliśmy.

Skinęła głową. Ostatnio, przejęta myślą o poczęciu, nie brała do ust nic, co bodaj przypominało alkohol. Uniosła kieliszek w jego stronę.

- Za życie - powiedział.

- Za życie.

Stuknęli się kieliszkami. Amanda upiła trochę i z przyjemnością delektowała się bukietem zapachowym wina.

- Lepiej wyglądasz - pochwalił Graham.

- Nie czuję się tak bezradnie.

- Miałaś problemy po pogrzebie?

- Z młodzieżą nie. Martwię się raczej o niektórych rodziców. Jedna z matek zatrzymała mnie podczas pogrzebu. Przekonywała, że żadne z jej dzieci nigdy by się nie okaleczyło i wieszala psy na rodzicach Quinna. Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, co oni teraz czują. Na chwilę zamilkli oboje. Nagle, chyba pod wpływem zmęczenia brzemieniem ostatnich dni, zdobyła się na odwagę i spytała:

- A jeśli nigdy nie poczniemy dziecka? Jak się będziesz czuł?

- Na razie odsuwam od siebie tę myśl. W ogóle nie rozważam takiej możliwości.

- Ja przez cały czas rozważam. Zamartwiam się nocami. Czy zrzucisz winę na mnie? Na siebie? A jeżeli zapłodnienie in vitro też się nie uda, to co wtedy? Czy nadal będziesz mnie chciał, czy będziesz wolał spróbować z kim innym? - Urwała, przełknęła ślinę. - Zadręczam się tym, Gray.

Nie odezwał się. Z jego zielonych oczu, nagle rozszerzonych i pociemniałych, wstrząśniętych, Amanda nie potrafiła wyczytać, czy poczuł się raptem przyparty do muru, czy tylko zwyczajnie zaskoczony jej pytaniami.

Kiedy nagle ktoś zastukał w ramę ich siatkowych drzwi, oboje podskoczyli. Była to Gretchen Tannenwald.

Graham się nie ruszył. Zrobiła to po chwili Amanda. Ciekawe, jak długo tam stała i ile słyszała. Amanda podeszła do drzwi.

Dobre wychowanie kazało jej otworzyć, a kobieca intuicja przepełniła troską jej głos:

- Czy coś się stało?

- Tak - powiedziała Gretchen drżącym głosem. - Muszę prosić Grahama o pomoc.

Rozdział szósty

MUSZĘ prosić Grahama o pomoc. Spełniły się najgorsze obawy Amandy. Uznała, że Graham jest nie tylko ojcem jej dziecka, lecz że tych dwoje jest szaleńczo zakochanych w sobie.

Graham podszedł.

- Co się stało?

- Chyba... nie, na pewno ktoś się do mnie włamał - wyjąkała Gretchen, mocno roztrzęsiona. - Są zniszczenia. Właśnie wróciłam do domu. Nie wiem, czy ten ktoś tam jeszcze jest.

Włamanie. Amanda roześmiałaby się z poczucia ulgi, gdyby nie była tak oszołomiona.

- Kradzież? - Graham zdumiał się nie mniej.

- Ktoś zniszczył obraz Bena. Mój obraz. Nie włączyłam alarmu. Nawet nie zamknęłam porządnie drzwi. Wskoczyłam tylko do sklepu po owoce.

Graham wyszedł, delikatnie odsuwając Gretchen z przejścia.

- Zaraz sprawdzę.

Kiedy Gretchen ruszyła za nim, Amanda chwyciła ją za rękę. Wyczuła drżenie.

- Zostań. Na wszelki wypadek niech sprawdzi sam. Wciągnęła Gretchen do kuchni, wezwała policję, podała żądane informacje, a potem wyprowadziła sąsiadkę tylnym wyjściem. Ze szły podjazdem, zaczekały na chodniku. Stamtąd widać było dom Gretchen, ale z bezpiecznej odległości. Graham długo się nie pokazywał, Amanda już zaczęła się niepokoić.

- Przepraszam, bardzo przepraszam - powiedziała Gretchen, która stała tak blisko Amandy, że nerwy sąsiadki mogły się jej udzielić. - Zakłóciłam wam wieczór. Ale naprawdę nie wiedziałam, co mam robić. Zupełnie straciłam głowę.

- Nie żartuj - pocieszyła ją serdecznie Amanda. - Od tego ma się sąsiadów. Coś zginęło?

- Nie mam pojęcia. Zobaczyłam tyłku ubraz we frontowym holu i wybiegłam. Mogłam od siebie wezwać policję, ale chciałam jak najprędzej uciec.

- Ja bym się zachowała tak samo - zapewniła ją Amanda, ale jej obawy pogłębiały się coraz bardziej. Już widziała Grahama leżące go w kałuży krwi, ugodzonego przez napastnika, który ukrył się w garderobie.

Gretchen zakryła rękami usta. Była wyższa od Amandy o pół głowy, ale wyglądała teraz jak bezańskie stworzenie, mimo zaokrąglonego brzuszka. Na jego widok Amanda mimo woli poczuła ukłucie zazdrości.

Odpędziła je i zapytała:

- A co to za zniszczenia? Coś zachlapali farbą?

- Pocięli obraz - wyjąkała Gretchen, nie odrywając dłoni od ust. - Ostatnio miewałam głucho telefony. Podejrzewałam, że to któryś z synów Bena. Ale nie sądzę, by mogli zniszczyć coś, co ich ojciec uwielbiał.

W tej samej chwili frontowymi drzwiami z domu Gretchen wyszedł Graham, a zza zakrętu nadjechał wóz policyjny. Amanda z ulgą podbiegła do nich. Gretchen nie odstępowała jej na krok.

- Nikogo tam nie ma - zapewnił Graham, kiedy spotkali się na podjeździe. Zamachał do policjantów. - Sprawdziłem cały dom. Chyba tylko zniszczono obrazy.

- Obrazy? - spytała Gretchen, jeszcze bardziej wystraszona. - Czyli nie tylko ten w holu wejściowym?

- Ten i jeszcze dwa w salonie.

Gretchen jak oparzona wbiegła do domu. Graham, klnąc pod nosem, pośpieszył za nią. Amanda za nimi - minęła pocięty obraz w holu frontowym, weszła do salonu.

Gretchen wpatrywała się w obraz wiszący na ścianie. Łzy spływały jej po bladych policzkach. Najbardziej uszkodzono *La Voisine*. Płótno pocięto tak dokładnie, że oszałamiająco piękna kobieta stała się prawie niewidoczna.

W tym momencie policjanci zgłosili się przy drzwiach frontowych.

- Proszę, tutaj - zawołał Graham. Kiedy weszli do salonu, przy witał obu po imieniu, uścisnął ręce, dokonał prezentacji. Starszy, Dan Meehan, był jowialnym mężczyzną po pięćdziesiątce. Jego kolega, Bobby Chiapisi, musiał być, lekko licząc, o dwadzieścia lat młodszy. Miał nieskazitelny mundur i stosowne maniery.

Graham podprowadził ich do *La Voisine* i udzielił informacji.

- No, no. - Dan aż gwizdnął. - Ktoś się nieźle wkurzył. Czyli ten obraz i tamte dwa - zwrócił się do Gretchen. - Coś jeszcze?

- Nie wiem - szepnęła. Usiadła na kanapie, nie odrywając wzroku od tego, co zostało z obrazu.

- Obszedłem dom, ale nic więcej nie zauważyłem - powiedział Graham. - Gretchen musi sama sprawdzić, czy nic nie zginęło.

- Wysłałam na krótko - powiedziała. - Na pół godziny. Dan spojrzął na Amandę i Grahama.

- I nikt niczego nie widział?

Oboje pokręcili głowami. W progu salonu stanęła Karen.

- Co się stało z tym obrazem? - spytała zaskoczona.

- Ktoś tu się wdarł - oznajmił Dan. - Pani Cotter, prawda? - Kiedy Karen skinęła głową, zapytał: - Pani mieszka niedaleko?

- Po sąsiedzku.

- Nie widziała pani w ciągu ostatniej godziny, żeby ktoś tu wchodził albo stąd wychodził?

- Tylko Gretchen.

Nie odrywała oczu od *La Voisine*.

Tuż za nią zjawili się Georgia i Russ.

- Po co przyjechała policja? - zapytał Russ i natychmiast jego wzrok padł na obraz. Graham wdał się w wyjaśnienia, a Dan przykląkł przed Gretchen.

- Czy ma pani jakiegokolwiek podejrzenia, kto mógł to zrobić? - spytał funkcjonariusz. Gretchen potrząsnęła głową.

- Ojciec pani dziecka?

- Nie. On by czegoś takiego nie zrobił.

- Może zechciałaby nam pani podać jego nazwisko...

- Nie ma takiej potrzeby - ucięła Gretchen stanowczo. Stropiona Amanda zapytała:

- Czy nie można zebrać odcisków palców?

- Owszem, zbierzemy.

Zerknął na swojego kolegę.

Bobby Chiapisi miał nieszczęśliwą minę.

- Jeżeli nawet na gałce drzwi wejściowych zostawiono ślady, to już je starto. Przewinęło się tu pół okolicy. No tak, bo zjawili się też Allie i Tommy, a tuż za nimi Lee.

- Co mnie ominęło? - zagadnął, ale zaraz zobaczył obraz. Jego zaskoczona mina wydała się Amandzie szczerą. Wołałaby jednak wiedzieć, gdzie się podziewał przez ostatnią godzinę. Dan Meehan wstał.

- Musimy poprosić panią Tannenwald, żeby przeszukała cały dom, czy niczego więcej nie ruszano.

- Tylko na tym jednym przedmiocie w całym domu mi zależało - szepnęła Gretchen.

Amanda objęła ją ze współczuciem.

- Proponuję, żeby pani zadzwoniła do towarzystwa ubezpieczeniowego - poradził starszy funkcjonariusz. - Przyślą rzeczoznawcę. Po wycenie kupi sobie pani nowy.

Amanda spojrzała na Gretchen i wyjaśniła:

- Nie przypuszczam, by jej chodziło o nowy obraz. Ten miał dla niej szczególną wartość.

- Postaramy się ustalić sprawcę - pocieszył policjant. - Wyślemy radiowozy za las, sprawdzimy, czy w tamtejszych domach nikt ni czego nie zauważył. Zrobimy, co w naszej mocy.

- Dziękujemy - powiedziała Amanda.

AMANDA była ostatnią kobietą, która opuściła dom Gretchen. W środku poza gospodynią zostali jeszcze policjanci oraz Graham i Lee. Reszta sąsiadów się rozeszła. Jedynym dzieckiem w zasięgu wzroku był Jordie, oglądający cały ten dramat ze swojego ganku.

Kiedy Amanda wyszła na chodnik, na którym stały jej sąsiadki, Karen zapytała:

- Coś ty tam tak długo robiła?

- Obeszłam dom z Gretchen, żeby sprawdzić, czy niczego nie brakuje. Gdyby ktoś mi się wdarł do domu, też nie chciałabym tego robić sama.

- No i co? - zainteresowała się Karen.

- Nic. Jej zdaniem intruz nie wstąpił nawet na górę. Przyszedł tu z ukartowanym celem. Chciał zniszczyć ten obraz.

- Czyli to nie kradzież - dopowiedziała Georgia. - A raczej zemsta. - Uśmiechnęła się przy tym krzywo do Karen. - Nawet ty mogłabyś być podejrzana.

Dawniej roześmiałyby się wszystkie z tego żartu, ale teraz Karen nawet się nie uśmiechnęła.

- Widziałaś, jak Bobby Chiapisi patrzył na Gretchen? - spytała.

- Wcale nie patrzył - powiedziała Georgia.

- No właśnie. Nawet nie spojrzał. Jak gdyby nie wiedział, gdzie podziąć oczy. Georgia aż się wzdrygnęła.

- Sądysz, że on i Gretchen...?

Potrząsnęła głową. Amanda ją poparła.

- Widziałam go na mieście. Wcale jej nie unikał. On zawsze taki jest - sztywny, nienaganny, dziwny.

- Wiek odpowiedni - wyjaśniła Karen. - Stan wolny.

Georgia wróciła do tematu intruza.

- Czy ona powinna zostać na noc sama?

- Ja jej do siebie nie zaproszę - oświadczyła Karen. - Stosunki dobrosąsiedzkie to jedno, ale pozwolić jej przekroczyć własny próg to jak samobójstwo.

Zapadła grobowa cisza.

W końcu Karen machnęła ręką, jak gdyby chciała cofnąć te słowa.

- O matko. Ale palnęłam. Lepiej już nie roztrząsajmy.

Tylko jak to zrobić, pomyślała Amanda. Cóż, wszystkie trzy były rano na pogrzebie szesnastolatka. To ustawiało akt wandalizmu w odpowiedniej perspektywie.

Jakby wyczuwając jej myśl, Georgia powiedziała:

- Allie jest roztrzęsiona. - Spojrzała na ganek Cotterów. - A jak to przyjął Jordie?

Karen podążyła za jej wzrokiem.

- Nic nie mówi. - Ściszyła głos. - Spróbuję z nim porozmawiać.

Ruszyła, ale zanim weszła na ganek, syn zniknął w głębi domu. Przystanęła, zawahała się, po czym pośpieszyła za nim.

- To dopiero kłopot - szepnęła Georgia, kiedy skierowały kroki w stronę domu Lange'ów. - Matka nie dogaduje się z synem. Wprawdzie chłopak przechodzi trudny okres, ale dlaczego aż tak między nimi źle?

Amanda nie od razu odpowiedziała. Nie lubiła wtrącać się w życie przyjaciół, ale czuła dobre chęci Georgii. Przyjaciółka chciała się tylko podzielić swoimi obawami.

- Podejrzewam, że żyją w ciągłym napięciu - rzekła z westchnieniem. - Chyba nie najlepiej układa się między Karen a Lee. Dzieci zawsze to wychwytyją.

- Czy Karen coś ci powiedziała? - spytała Georgia.

- Nie. Ale sama słyszałaś, co mówi.

- Sama gorycz przez nią przemawia. Krztyny uśmiechu, krztyny wyrozumiałości.

- Jedynie podejrzliwość.

- Dawniej taka nie była - przyznała Georgia. - Sądysz, że Lee może być ojcem dziecka Gretchen?

- Nie mam pojęcia. Gretchen nie zareagowała w ogóle na jego przyjście.

Usiadły teraz na krawężniku przed domem Georgii.

- A ty myślisz, że ja nie zastanawiałam się nad Russem? Często mnie nie ma... Ale nie, nie sędzę, żeby zabawiał się z Gretchen. Mam nadzieję, że nie czuje się aż tak samotny.

- Kocha cię na zabój - zapewniła ją Amanda.

- Ech, i taka miłość ma swoje granice. Znalazłam kiedyś fragment jego felietonu. O samotności współmałżonka, który zostaje w domu. Wydrukował, ale potem wyrzucił, tyle że nawet nie złożył ani nie zmiął, jakby chciał, żebym przeczytała.

- Ciekawe, dlaczego wyrzucił?

- Dobrze pytanie. Może dlatego, że to nazbyt osobisty tekst? Nie dość męski? Ech, jedyne co wiem, to że cudownie było wcześniej wrócić do domu.

- Chyba jednak skomplikowałaś sobie sprawy zawodowe, zostawiając tak tego człowieka w Tampie?

- Owszem, ale wcale nie żałuję. Allison mnie potrzebowała. Tommy też, bo dobrze znał Quinna. Przeżył smutek, wstrząs, a może strach, cokolwiek to było. Nie wyraża tego wprost, ale docenia moją obecność.

Amanda nie mogła wyjść z podziwu dla Georgii. Ta kobieta nie potrzebowała kursu z psychologii, by rozumieć swoją rodzinę i jej potrzeby.

- Czyli ta firma cię wykupi? - spytała.

- Negocjacje w toku. Mój radca prawny twierdzi, że przedstawią ofertę. Pytanie, czy przyjmę ich warunki. Chcieliby, żebym przez trzy lata została na etacie dyrektora, aż ktoś z ich przedsiębiorstwa przejmie moje obowiązki. Czyli nadal musiałabym żyć na walizkach. Nie wiem, czy tego chcę. Może wolę skończyć z firmą raz na zawsze.

- A jeśli im tak powiesz?

- To mogą zerwać negocjacje, co byłoby mi nie na rękę. Z kolei jeśli sprzedaję firmę, żeby przestać tyle wyjeżdżać, a znów będą czekały mnie wyjazdy, tyle że na cudzy rachunek, to już przesada!

Amanda uśmiechnęła się smutno.

- Życie czasem robi nam takie numery.

- Myślisz teraz o dziecku? - spytała Georgia.

- Również.

- A Graham? Wciąż się nie odzywa?

- Odzywa. Zaczęliśmy rozmawiać.

- A co z seksem?

Amanda się roześmiała.

- Ty to zawsze trafisz w samo sedno.

Georgia objęła ją i powiedziała cicho:

- Nie każdego bym tak wypytywała. Ale ty i Graham jesteście mi bliżsi od wielu znajomych. Przez cały dzień wysłuchasz ludzkich problemów. A kto wysłucha ciebie?

- Ty.

- Zamieniam się w słuch.

Podczas gdy zmierzch powlekał wszystko granatowym cieniem, Amanda usiłowała zebrać myśli.

- Chyba zamknęliśmy się w sobie. Na myśl o seksie natychmiast spinamy się oboje. -
Przecież nie zawsze tak było.

- Boże drogi, jasne, że nie - potwierdziła żarliwie Amanda.

- Uwielbiam jego ciało. Graham bardzo mnie podnieca. Jest wyrozumiały, łagodny. Wyczuwa moje potrzeby, zgaduje nastroje. Umie zadowolić kobietę. - Urwała, westchnęła. -
A ja reaguję i staję się kimś, kim naprawdę chcę być.

- To brzmi jak ideał.

- Tak było do zeszłego roku. Ale teraz, kiedy się kochamy, nie jesteśmy sobą. Ani kimś, kim chcielibyśmy być. Po prostu wykonujemy rytualne ruchy.

- Wciąż myślisz o dziecku.

- W tym miesiącu nie - zaprzeczyła gwałtownie Amanda. - Nie mierzę temperatury, nie łykam pastylek, nie biegam do kliniki. - Westchnęła bezradnie. - Ale to nie ma większego znaczenia. Jak byśmy tkwili w zakętym kręgu i zapomnieli, czym sprawialiśmy sobie przyjemność. Jakbyśmy nie umieli... w pełni...

- Zaangażować się?

Trafiła w sedno.

- Właśnie.

- Chodzi o przyszłość?

- Tak. - Amanda się uśmiechnęła. - Dzięki za zrozumienie.

- Staram się. Chociaż trudno mi sobie wyobrazić, co przeżywasz. Ja miałam dzieci, kiedy mi na nich zależało. - Po drugiej stronie ulicy mężczyźni wracali do wozu patrolowego. Georgia przyciszonym głosem spytała: - Chyba nie podejrzewasz, że Graham wdał się w romans z Gretchen, co?

- Bo akurat jego poprosiła o pomoc? Przemknęło mi to przez głowę. Ale na jej miejscu postąpiłabym tak samo. Graham jest świetny w takich sytuacjach. Opanowany, roztropny.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie - upomniała ją Georgia.

- Nie, nie sądzę, by był ojcem dziecka.

MIMO przygnębienia wtorek rozpoczął się ciepło i słonecznie. Gretchen nacięła o świcie całe naręczce tulipanów i rozstawiła je w wazonach w domu. Ominęła tylko salon. Nie wchodziła tam od wczoraj, od wyjścia sąsiadów i policji.

Włączyła alarm, poszła do sypialni, wysprzątała do czysta. Uprała część rzeczy w pralce, resztę ubrań przygotowała do pralni chemicznej. Wprawdzie nie sądziła, by ktoś znowu zaglądał do salonu, ale wołała nie ryzykować.

Siedziała w fotelu bujanym na ganku. Dochodziło wpół do ósmej, najbliższa okolica rozbrzmiewała dźwiękami. Z trawników i drzew dobiegały ptasie trele, z otwartych okien odgłosy kuchenne. Tylko w domu O'Learych, jak zwykle, panowała cisza. Graham powiedział jej, że starają się o dziecko. Gretchen bardzo im kibicowała. Gdyby urodziło się teraz, może by ją zbliżyło z sąsiadami.

Jak gdyby wyczarowana tą myślą, Amanda wyłoniła się z pasażu między domami. W jasnozielonej koszuli i spodniach wyglądała atrakcyjnie i delikatnie. Otworzyła drzwi samochodu, włożyła teczkę do środka. Ale zamiast wsiąść do auta, zeszła z jezdni i ruszyła w jej stronę.

Gretchen serce zaczęło walić. Wczoraj Amanda okazała jej wiele ciepła, ale teraz nie miała żadnego powodu do niej podchodzić.

- Cześć - zawołała do Gretchen, kierując kroki w stronę ganku. - Mniej dziś jesteś roztrzęsiona?

- Trochę mniej.

- A spałaś w nocy?

- Zdrzemnęłam się. Włączyłam alarm. - Gretchen zamilkła, czekając, że Amanda rzuci jakieś miłe słowo i odejdzie. Ale nie odchodziła, więc spytała ją: - Może napijesz się kawy albo czegoś?

Amanda uśmiechnęła się.

- Nie, dziękuję. Muszę pędzić do szkoły.

- To może... - Tumult w głowie. - Może ci naciąć tulipanów do szkoły?

- Och, nie trzeba.

- Bo nie macie u siebie tulipanów. - I z obawy, czy nie uraziła Amandy, szybko dodała: - Oczywiście nie krytykuję. Graham wspaniale urządził wasz ogród. Bardzo go lubię.

Amanda uśmiechnęła się.

- A ja lubię twój. - Spojrzała przy tym na brzuch Gretchen. - Jak się czujesz?

- Grubo - wyznała Gretchen.

- Grubo to pięknie, kiedy jest się w ciąży. - Amanda pokonała dwa schodki i oparła się o barierkę. - Masz bodaj cień podejrzenia, kto mógł być tym wandalą?

Gretchen potrząsnęła głową. Pragnąc zmienić temat, spojrzała na ogród Amandy.

- Masz za to wawrzyny górskie. Kiedyś je bardzo lubiłam. Mnóstwo ich rośnie tam, skąd pochodzę.

- Czyli w Maine?

- Aha. Można poznać po moim akcencie?

- Bardzo rzadko - powiedziała Amanda z serdecznym uśmiechem. - A skąd dokładnie?

Gretchen poczuła się nieswojo.

- Wiesz, to taka dziura. - Widząc zdziwienie na twarzy Amandy, wyjaśniła. - Mam złe wspomnienia.

- Och, to przepraszam.

Gretchen zmieszała się. Po co w ogóle zaczynała tę rozmowę? Urwała i odwróciła wzrok. Po chwili jednak usłyszała gdzieś wewnątrz głos Bena, który zawsze utrzymywał, że zyska sympatię sąsiadek, kiedy ją tylko poznają. Zatem dzisiaj wykonała pierwszy krok.

- Nie miałam najciekawszej rodziny - wybuchła. - Dużo złego mnie tam spotkało. Kiedy wyjechałam z rodzinnego miasteczka, nie powiedziałam nikomu dokąd. Czasami ogarnia mnie lęk, że może i tak się dowiedzieli.

Amanda zasepiła się.

- Czyli nie zaprosiłaś nikogo na ślub?

- Nie - potwierdziła Gretchen. - Trochę dlatego, że ślub wzięliśmy w Paryżu. Chyba wszyscy sądziliście, że Ben mnie poślubił pod wpływem impulsu. Ale nie, wszystko zaplanowaliśmy. Wiedzieliśmy, że jego synowie i tak nic przyjadą, a mojej rodziny nie chcieliśmy zapraszać.

Amanda weszła stopień wyżej.

- Sądzisz, że któryś z nich mógł pociąć obraz?

- Nie mam pojęcia. Ale wciąż odbieram głuche telefony.

Zmartwiona Amanda spytała:

- A masz funkcję rozpoznawania numeru?

- Nie. Ben nie lubił takich nowości.

- To łatwo zamontować. Jeszcze dzisiaj mogłabyś sobie kupić.

- Cześć, Amanda! - zawołała Julie Cotter, przebiegając przez trawnik. - Mam dostać nowy rower.

- Naprawdę? - ucieszyła się Amanda i objęła dziewczynkę.

- Tata mi przykręci dodatkowe kółka. - Dziewczynka patrzyła z uwielbieniem na Amandę. - Jakbyś do nas zajrzała, tobyśmy szybciej zmontowali, wiesz?

- Julie, gdyby twój tata miał kłopoty - poradziła Amanda - to Graham i ja na pewno wam pomożemy. Zgoda?

- Zgoda.

- No, to biegnij już, bo zaraz przyjedzie autobus.

Julie pobiegła na przystanek, a Amanda zwróciła się do Gretchen.

- Ja też już lepiej pójdę. Zadzwoń, gdybyś miała jakiś kłopot?

GRETCHEN nie spodziewała się, że jeszcze tego samego dnia będzie szukała pomocy. Po południu wynikła kolejna sprawa.

Zadzwoił dzwonek do drzwi, Gretchen zobaczyła dwa obce samochody zaparkowane przed domem. Na tyle nowe, że od razu wykluczyła przyjazd kogoś z rodziny.

Przed drzwiami stanęła para, mężczyzna i kobieta. Gretchen otworzyła tylko dlatego, że drzwi siatkowe miała zamknięte na mocną zasuwkę.

- Pani Tannenwald? - spytała kobieta. - Jesteśmy z towarzystwa ubezpieczeniowego, które ubezpieczało dzieła sztuki będące własnością pani męża.

- Będące moją własnością - powiedziała cicho Gretchen. - A ja państwa nie wzywałam.

- Nie. Dzwonił pan David Tannenwald. Prosił o wycenę powstałych zniszczeń.

David był młodszym z dwóch synów Bena, chociaż starszym od Gretchen o dziesięć lat.

- Skąd się dowiedział o tym, co zaszło?

- Nie wiemy. Dostaliśmy też telefon od jego adwokata, Olivera Deedsa. Potwierdził konieczność dokonania wyceny. Mężczyzna dodał:

- Chcielibyśmy obejrzeć uszkodzone dzieła, sfotografować, zadać pani kilka pytań.

- Czy mogą się państwo wylegitymować? Kobieta spojrzała spłoszona.

- Reprezentujemy agencję Connecticut Comprehensive.

Odchrząknęła, pogrzebała w torebce, mężczyzna w kieszeni. Dopiero po dokładnym sprawdzeniu legitymacji Gretchen wpuściła ich do środka.

Bez słowa pokazała obraz w holu i dwa w salonie. Rzeczoznawcy zapatrzili się na zniszczoną *La Voisine*.

- Dziwne - skomentowała kobieta. - Akurat najmniej cenny ze wszystkich trzech.

- Owszem, ale dla mnie miał największą wartość.

- Nie wypłacamy odszkodowania za wartość sentymentalną.

- Przecież nie zwracałam się do państwa o odszkodowanie.

Mężczyzna uniósł aparat fotograficzny, wycelował.

- Kto je jeszcze widział?

Błysnął flesz.

- Policja. Sąsiedzi. Wszyscy, którzy się tu przewijali przez ostatnie dwa lata.

- Czy mogłaby nam pani sporządzić wykaz?

- To niemożliwe. Choćby na pogrzebie męża zjawiły się tu dziesiątki nie znanych mi osób. - Gretchen poczuła się dziwnie. - Czegoś tu nie rozumiem. Obrazy były ubezpieczone. Teraz są zniszczone. Czy takie ważne, kto to zrobił?

- Oczywiście - powiedziała kobieta. - Gdyby zrobiła to pani sama, nie byłibyśmy pani nic winni.

- Jak to sama?

- Gdyby zniszczyła je pani sama...

Gretchen oniemiała.

- Proszę o opuszczenie mojego domu.

- To jest konieczna procedura. W przeciwnym razie nie można wystąpić o roszczenia.

- Proszę o opuszczenie mojego domu - powtórzyła. Od strony drzwi rozległo się chrząknięcie.

- Czy wolno mi się włączyć?

Gretchen obejrzała się i zobaczyła nadchodzącego Olivera Deedsa. Był adwokatem w firmie prawniczej, z której usług korzystał Ben, a po jego śmierci został wykonawcą testamentu. Miał na sobie ciemny garnitur i nijaki krawat, ale to nie strój go postarzał. Wyglądał na więcej niż swoje czterdzieści kilka lat z powodu bladej, zmęczonej cery oraz przekrwionych oczu, jeszcze smutniejszych na tle opadających kącików ust.

- Zaistniał jakiś problem? - spytał cicho.

- Owszem - potwierdziła Gretchen. - Ci państwo przyszli z agencji ubezpieczeniowej, chociaż nikogo nie wzywałam.

Kobieta najwyraźniej poznała prawnika.

- Panie Deeds - odezwała się do niego. - Próbowaliśmy właśnie zebrać wyjaśnienia. To rutynowe postępowanie.

- Nie zgadzam się na żadne zdjęcia. Proszę stąd wyjść. - Gretchen spojrzała piorunującym wzrokiem na Olivera Deedsa.

- Może odprowadzę państwa? - zaproponował prawnik.

- Nie, proszę o wyjście wszystkich.

Minęła ich, podeszła do drzwi. I wtedy zobaczyła Amandę podjeżdżającą pod dom. Gretchen, trzęsąc się z oburzenia, przebiegła przez ulicę.

Ledwie Amanda wysiadła z samochodu, Gretchen podbiegła do niej, napięta jak struna.

- Oni chyba nie mają prawa mnie tak nachodzić - pożałowała się.

- Kto taki? - spytała Amanda.

- Ci od ubezpieczeń. I prawnik Bena. Poprosiłam, żeby wyszli, ale mnie lekceważą.

- Chodź - zdecydowała Amanda i ruszyła w stronę domu Gretchen. Miała za sobą szalony dzień w szkole, z niemilknącymi telefonami od rodziców w związku z samobójstwem Quinna, z nauczycielami wciąż proszącymi ją o rady i Jordi, który w ogóle nie zjawiał się na spotkanie. Idąc teraz z Gretchen była zadowolona, że może być komuś pomocna.

Po wejściu do domu Amanda natychmiast poznała Olivera Deedsa. Widziała go, jak się tu kręcił po pogrzebie Bena. Rozmawiał z parą obcych, zapewne likwidatorów szkód.

Gretchen chrząknęła. Wszyscy troje zwrócili na nią wzrok.

Amanda, czując się uprawniona, rzekła z naciskiem:

- Zdaje się, że pani Tannenwald prosiła państwa o opuszczenie domu.

- Czy pani jest jej przyjaciółką? - spytała kobieta.

Adwokat odpowiedział za nią.

- Sąsiadką. Pani Amanda O'Leary, prawda?

- Zgadza się.

Zdziwiła się, że pamięta.

- Państwo właśnie wychodzą - oznajmił adwokat i likwidatorzy szkód skierowali się do drzwi. Po ich wyjściu Gretchen zwróciła się do prawnika.

- Podobno wezwał ich David. Skąd się dowiedział?

- Zadzwoił do niego twój sąsiad, Lee Cotter.

- Nie pojmuję, dlaczego zawiadomił o tym Davida - zdziwiła się Gretchen.

- Lee próbował się dowiedzieć, czy David albo jego brat nie maczali w tym palców.

David bardzo się zdenerwował.

Podobnie jak Gretchen, o czym świadczyła chociażby jej zaciśnięta szczęka.

- A maczali?

- Nie - odparł Oliver. - Żaden by cię nie skrzywdził.

Amanda stanęła przed *La Voisine*. Widok był opłakany. Gretchen za jej plecami poskarżyła się adwokatowi:

- David powiedział w towarzystwie ubezpieczeniowym, że mogłam tego dokonać sama. Próbuja zebrać dowody przeciwko mnie.

- Już ja dopilnuję, żeby przestali - zapewnił ją Oliver. - Lee powiedział też Davidowi, że jesteś w zaawansowanej ciąży. Powinnaś była mnie zawiadomić.

- Niby dlaczego? To nie ma nic wspólnego z majątkiem.

- Jestem wykonawcą testamentu. Mam obowiązek cię doglądać.

Amanda spojrzała na nich, kiedy Oliver, wyraźnie speszony, spuścił oczy i cicho spytał:

- A może powinniśmy porozmawiać na osobności?

- Mam zaufanie do Amandy - zapewniła go Gretchen.

Po chwili milczenia Oliver rzekł:

- No dobrze. David i Alan nie najlepiej przyjęli wiadomość o twojej ciąży. Uważają...

- Uważają - przerwała mu Gretchen - że miałam romans jeszcze za życia Bena. Wcale mnie to nie dziwi. Przekaż im, proszę, że nie miałam. I że jeśli nie przestaną mnie szykanować, to im wytoczę proces.

- Niby o co?

- Jeszcze nie wiem. To ty jesteś prawnikiem. O zniesławienie.

Amanda wytrzeszczyła oczy, bo nie знаła Gretchen z tej strony. Niby była wrażliwa i podatna na zranienie, lecz zarazem pełna determinacji.

- Spotykasz się z ojcem dziecka? - spytał Oliver.

- To nie twoja sprawa.

- Sytuacja wyjaśniłaby się, gdybym mógł im podać nazwisko.

Gretchen pokręciła głową. Oliver nie nalegał.

- Dajmy zatem spokój Davidowi i Alanowi - powiedział życzliwszym tonem. - Masz rację. To tylko twoja sprawa... i moja, skoro Ben powierzył mi swoje mienie. Nic ci nie potrzeba?

- Nie, Oliyerze - zapewniła go Gretchen. Powiedziała to stanowczym głosem, ale Amanda wyczuła drobne zawahanie. - Wszystko w porządku.

- W każdym razie daj mi znać, gdyby coś wynikło. Mogę wyjąć z funduszu powierniczego tyle, ile ci będzie potrzeba.

- Wszystko w porządku - powtórzyła.

Adwokat zacisnął usta, skinął głową, ruszył do drzwi. Ledwie wyszedł, Gretchen przyłożyła rękę do brzucha, osunęła się na kanapę i zaczęła masować podbrzusze.

- Co się dzieje? - spytała Amanda.

Gretchen oddychała głęboko, powoli.

- Skurcze Braxtona Hicksa. Mój lekarz twierdzi, że to normalny objaw. O, teraz lepiej.

- Na pewno? Może podać ci wody albo czegoś?

- Nie, dzięki. Już i tak dużo dla mnie zrobiłaś.

Powoli wstała, ruszyła do kuchni.

Amanda zastanowiła się, czy od tej chwili nie przebywa tu już na prawach natręta i poczuła powiew tej samej wrogości, jaką niejednokrotnie czuła ze strony Gretchen. Ale opamiętała się. Pragnąc się upewnić, czy dobrze się czuje, weszła za nią do kuchni. Gretchen nalewała sobie wody. Uwagę Amandy przykuł stół kuchenny zawalony papierami i książkami.

- Co to takiego? - spytała. - Francuski?

Gretchen wyraźnie się spieszyła.

- Miałam zamiar się nauczyć - wyjaśniła prędko. - Zakochałam się w tym języku, kiedy byłam z Benem we Francji. - Napiła się wody. - Masz ochotę na coś jeszcze? Może wody? Drinka? Albo soku ananasowego?

- Nie, nie, muszę wracać. Jeszcze czekają na mnie sprawozdania.

Gretchen odprowadziła ją do drzwi frontowych.

- Kupiłam sobie urządzenie do rozpoznawania numerów. To był świetny pomysł.

- Nie zaszkodzi.

- Dzięki, że wpadłaś.

- Cieszę się, jeśli się przydałam. Troje na jedną to nierówne siły. Dobrze się teraz czujesz?

Gretchen pokiwała głową, otworzyła siatkowe drzwi.

- Jeszcze raz dziękuję.

AMANDA dumna z siebie wróciła do domu. Uskrzydliło ją to, że wyciągnęła rękę do Gretchen. Chciała od razu opowiedzieć o tym Grahamowi.

Ale minęło jej, kiedy Graham zadzwonił, że się spóźni, i to z dość błahą wymówką.

Rozdział siódmy

CZEŚĆ, kochanie - przywitał się Graham. Dzwonił z komórki w swoim samochodzie. Amandzie aż podskoczyło serce.

- Cześć. Zastanawiałam się, kiedy zadzwonisz. Wracasz do domu?

Gotowała obiad, chciała porozmawiać o przyszłości. O ich przyszłości. Zabijała ją ta niepewność. Ale Graham ją rozczarował.

- Prawdę mówiąc, jadę w przeciwnym kierunku.

I całe jej uniesienie przysło.

- Znów do Providence?

- Nie. Do Stockbridge.

Na początku wiosny projektował tam teren wokół muzeum. Projekt wypadł tak okazale i wspaniale, że jego zdjęcie powiesił w swoim gabinecie.

- Sądziłam, że dawno uporałeś się ze Stockbridge - zdziwiła się Amanda.

- Ja leż. Ale wciąż się handryczą o moje honorarium.

- Przecież je zatwierdzili. Masz to w umowie.

- Wiem. Ale twierdzą, że wydatki przekroczyły budżet i w związku z tym zabrakło im pieniędzy. Muszę przedstawić swoje roszczenia na spotkaniu zarządu.

GRAHAM wcale nie jechał do Stockbridge, chociaż nie do końca mijał się z prawdą. Wcześniej tego dnia konferował w tej sprawie z zarządem. Ale teraz wybierał się na obiad ze swoim bratem Peterem. Ponieważ jednak Amanda ostatnio reagowała tak paranoicznie na jego rodzinę, wolał jej o tym nie mówić. Wybrał lokal oddalony godzinę jazdy od nich obu. Peter, ojciec jezuita, obiecał mu dyskrecję, nie wiedząc nawet, w jakiej sprawie.

Spotkali się na parkingu, uściskali, weszli do restauracji, usiedli w zacisznej łoży w głębi. Obaj zamówili placek mięsny i piwo. Wymienili wieści o sobie, pożywili się, podchmielili sobie piwem.

I wtedy Graham zagał:

- Chciałem zamienić z tobą słowo na temat naszej rodziny. Bo nie potrafię sobie sam poradzić.

- W sprawie dziecka? - spytał Peter, domyślny jak zawsze.

Graham dał upust całej frustracji, która gromadziła się w nim od tygodni.

- Wszyscy wечно się wtrącają, proszeni czy nie proszeni udzielaj ą rad.

- Bo się przejmują. Chcieliby wam pomóc.

- Ale przecież tak się nie da. Powodują tylko rozdziewki między mną a Amanda. Przechodzimy bardzo trudny okres. I ona uważa, że jestem stronniczy.

- A jesteś? - spytał Peter.

- Sam nie wiem. Nie chciałbym być. Ale stanowicie moją przeszłość. Z was się wywodzę, to dla mnie nieoceniona wartość. Amanda natomiast stanowi moją teraźniejszość. Moją przyszłość.

I znów usłyszał echo jej słów. „A Jeśli nigdy nie poczniemy dziecka? Jak się będziesz czuł?”.

- Nie mówisz tego z pełnym przekonaniem, Gray - powiedział cicho Peter.

Graham już miał zaprzeczyć, ale umilkł. W końcu przyznał:

- Sprawa dziecka bardzo nas poróżniła. Nie wiem, czy potrafimy z tego wybrnąć.

- Kochasz ją?

Spojrzał na Petera.

- Tak.

- Dlaczego?

- Dlaczego. Jak to: dlaczego?

- Co w niej kochasz?

Graham odchylił się na krześle, zastanawiając się, od czego zacząć. Bezwiednie sięgnął w myślach do chwili, w której pierwszy raz ujrzał Amandę, sześć lat temu w Greenwich. Wciąż miał w pamięci tam ten widok.

- Kocham jej delikatność. Jest taka kobieca. Ponieważ jest drobna i krucha, czuję się przy niej olbrzymem. Taki męski. - Z zakłopotaniem dodał: - Uwielbiam jej nogi. Także sposób, w jaki jej włosy zawijają się w pierścionki.

- Same aspekty fizyczne - zauważył Peter.

Graham sprzeciwił się.

- Niezupełnie. To zahacza o jej charakter. Bo Amanda wciąż usiłuje zaczesywać włosy do tyłu na gładko, a one nie chcą się tak trzymać. Uwielbiam ten szczegół. Element dzikiej natury, który wymyka się mimo jej usilnych prób.

Peter uśmiechnął się.

- A wymyka się też w innych dziedzinach?

Graham odwzajemnił uśmiech.

- O tak. Sporo chodziliśmy razem po górach. Nawet kiedy potyka się o kamień, to wstaje ze śmiechem. Tak samo na kajakach. Często miała wywrotki, ale jakoś nie tonęła. Lubi próbować nowości. Uwielbiam tę jej cechę.

- Powiadasz, że chodziliście razem po górach. Że pływaliście kajakiem. A teraz?

- Jakoś ostatnio tego nie robimy.

- Dlaczego?

- Nie mamy czasu. Oboje jesteśmy zapracowani. Poza tym unikamy wszystkiego, co mogłoby jej przeszkodzić zająć w ciążę. - Zasepił się. - Sprawa poczęcia przesłoniła nam wszystko inne. Już nie umiemy cieszyć się życiem.

Umilkł i czekał, że Peter go za to pochwali.

Ale brat powiedział:

- Płodzenie dzieci to tylko jeden aspekt związku.

- Wytlumacz to naszym braciom i siostram. - Graham aż prychnął ze złości.

- Wiesz dobrze, Gray, że zrobię, co w mojej mocy.

Graham wyrzucił z siebie to, co narastało w nim od tygodni.

- Poproś ich, żeby zajęli się swoimi sprawami. Jeżeli naprawdę chcą nam pomóc, niech się postarają, by Amanda poczuła się członkiem naszej rodziny. Zresztą, do diaska, Peter, powiedz im, co chcesz. Oni cię posłuchają.

- A mama?

- Mamą sam się zajmę - postanowił Graham. Jeszcze nie miał konkretnego pomysłu, ale na pewno będzie umiał jej powiedzieć, że jeśli nie zaakceptuje Amandy, to go straci. Po tej decyzji miał już tylko jedną prośbę do brata. Chyba zresztą to go najbardziej nurtowało i dlatego poprosił Petera o spotkanie. - Powiedz mi, że to nic złego, jeśli nie będziemy mieli dzieci.

- Będziecie mieli. Jeśli nie biologiczne, to zaadoptujecie.

Grahamowi nie o to chodziło.

- Ale upewnij mnie, że to nic złego, jeśli Amanda i ja nie będziemy mieli własnych.

- No pewnie, że nie. Przecież to wola Boża. - Peter urwał. Ściszył głos. - Przynajmniej ja w to wierzę. A ty?

AMANDA pisała w domu sprawozdania, kiedy zadzwonił telefon.

- Halo?

- Chciałbym mówić z panem Grahamem O'Learym.

- Przykro mi, ale nie ma go w domu. Czy mogę coś przekazać?

- Mówi Stuart Hitchcock ze Stockbridge. Chciałem mu podziękować za dzisiejsze spotkanie. Zawsze go popierałem. Znakomicie przedstawił swoje racje. Żałuję, że nie mogliśmy od razu udzielić mu odpowiedzi, ale siedmiu z dziesięciu członków zarządu miało już plany na wieczór, toteż obrady mogły trwać tylko do szóstej. Spotkamy się znów w przyszłym tygodniu. Proszę mu przekazać, że gdyby wynikły jakieś niejasności, na pewno się z nim skontaktujemy.

Amanda obiecała. Ciekawe, gdzie w takim razie podziewa się jej mąż, skoro nie ma go w Stockbridge.

Gdy jednak wreszcie zjawił się w domu, straciła już zainteresowanie. Słyszała, jak wchodzi, wiedziała, że powinna wstać z kanapy w pokoiku, ale za bardzo była oburzona, rozczarowana, wystraszona.

Mogła mu tylko zapisać informację od Stuarta Hitchcocka i podać przy śniadaniu nazajutrz rano. Przeczytał, po czym stał bez słowa dosłownie całą wieczność ze wzrokiem wbitym w ów przeklęty świstek papieru. W końcu podniósł oczy.

Trzeba przyznać, że wyczytała w nich skruchę.

- Spotkałem się z Peterem - powiedział cicho. - Musiałem z nim porozmawiać. Bałem się, że nie przyjmiesz tego dobrze.

Mylił się. Z całego rodzeństwa Grahama Amanda miała największe zaufanie do Petera. Ale nie o to chodziło.

- Okłamałeś mnie.

- Wydawało mi się, że nie mam wyboru.

- Zawsze ma się wybór. Można powiedzieć prawdę.

Nie odezwał się, tylko stał stropiony. Ona też czuła się stropiona. Najchętniej przytuliłaby go, zapewniła, że rozumie, że i tak go kocha. Ale nie chciała się sama odsłaniać, dopóki nie pozna jego uczuć.

- Muszę już iść - powiedziała w końcu.

Zanim wyszła za próg, miał jeszcze okazję powiedzieć: „Zaczekaj. Porozmawiajmy. Chcę przeżyć resztę życia z tobą, choćby nie wiem co. Bo cię kocham”.

Ale nie powiedział.

AMANDA pograżyła się w pracy, wciąż zasypywana telefonami od rodziców dzieci, a do tego komplet spotkań z uczniami. Uginąca się więc pod naporem obowiązków, kiedy Allie Lange pojawiła się w progu. Dochodziło południe. Podobnie jak większość dzieci szukających pomocy u Amandy, miała niepewną minę. Tyle że z Amandą łączyła ją osobista

więz. Amanda wiedziała, że Allie i Jordie przyjaźnią się i że Jordie cierpi. Znow wysłała do niego rano e-maila, ale nie dostała odpowiedzi.

Zaprosiła Allison do siebie, zamknęła drzwi.

- Witaj, skarbie - skrzeczącym głosem przywitała dziewczynkę Maddie.

Amanda od razu przeszła do rzeczy.

- Wyglądasz, jakbyś potrzebowała bratniej duszy.

Allie, nieco speszona, podeszła do klatki z papugą.

- Mama twierdzi, że powinnam z panią porozmawiać, ale okrop nie mi głupio.

- Głupio? - spytała Amanda, też podchodząc do klatki.

- No, w związku z Jordiem.

Amanda założyła dziewczynce włosy za ucho i położyła delikatnie rękę na jej ramieniu.

- Też się o niego martwię. Moim zdaniem... zмага się z mnóstwem problemów.

- Żeby pani wiedziała - potwierdziła Allie. - Zupełnie jakby był innym człowiekiem.

Porusza się, jak gdyby nie chciał, żeby ktoś się do niego zbliżał. - Urwała. - Ale nie ma go dzisiaj w szkole.

Amanda zrozumiała, dlaczego nie zareagował na jej e-maila.

- Jest chory?

Allie odpowiedziała jeszcze ciszej.

- Rano nie był. Przyjechał z nami autobusem. Widziałam, jak wchodził do szkoły. Ale już na matmie go nie było. I potem też nikt go nie widział.

- Domyślasz się, gdzie on może być?

Dziewczynka pokręciła głową.

W pierwszej chwili Amanda pomyślała, że Jordie źle się poczuł i odesłano go do domu. Byłoby to najlepsze wyjaśnienie, łatwe do potwierdzenia telefonem do pielęgniarki szkolnej.

Z drugiej strony, gdyby zadzwoniła przy Allie, a domysł się nie potwierdził, dziewczynka mogłaby się jeszcze bardziej zdenerwować. Wstrzymała się więc z telefonem i uspokoiła ją:

- Na pewno jest u pielęgniarki. Albo był. Może już wrócił do domu. A gdzie ty powinnaś być teraz?

- Na lekcji.

Amanda wypisała jej usprawiedliwienie.

- Pokaż wychowawcy, żebyś nie miała kłopotów.

- A gdyby ktoś pytał, po co tu przyszedłam? - spytała Allie.

Amanda miała gotową odpowiedź.

- Twoi koledzy wiedzą, że mieszkamy po sąsiedzku i że twoja mama wyjechała.

Powiedz, że wczoraj wieczorem prosiła cię o przekazanie mi wiadomości.

Allie wzięta usprawiedliwienie.

- Nie chciałabym, żeby miał przeze mnie kłopoty. Ale martwię się... no, wie pani o co.

Amanda skinęła głową. Ona też się o to martwiła. Gdyby miała wskazać kogoś, kto mógłby zechcieć pójść w ślady Quinna, z pewnością wskazałaby Jordiego.

NIE było go u pielęgniarki. W ogóle tam nie zaglądał. W domu też chyba nie. W każdym razie nie odbierał telefonu. Amanda poprosiła Maggie Dodd o dyskretne sprawdzenie, czy chłopak nie schował się gdzieś na terenie szkoły. Próbowała złapać Karen na telefon w samochodzie, ale zdołała tylko nagrać wiadomość. Drugą zostawiła u Lee w pracy.

Torturując się wizją krwawej jatki w domu Cotterów, wskoczyła do samochodu i zajechała na ich uliczkę. Ani Grahama, ani Russa nie zastała w domu. Postanowiła zajrzeć do Gretchen. Chciała tylko sprawdzić, czy nie wydarzyło się coś okropnego. Przeszła przez ulicę, zadzwoniła do drzwi sąsiadki. Gretchen ucieszyła się, ale i zdziwiła na jej widok. Amanda tłumaczyła właśnie sytuację, gdy zza pleców Gretchen wyłonił się Russ. Jak zwykle miał na sobie swobodny strój, koszulkę i szorty, toteż Amandy nawet nie zastanowiła jego obecność. Poza tym teraz nie zwracała sobie głowy jego ewentualnym romanssem z Gretchen. Najważniejsze było odnalezienie Jordiego.

Russ poszedł z nią do domu Cotterów. Zadzwonili, potem zapukali. Kiedy nikt nie otwierał, Amanda wyjęła klucz z kryjówki pokazanej jej niegdyś przez Julie, otworzyła.

- Jordie? - zawołała z przedpokoju. - Jordie? To ja, Amanda!

W głuchoj ciszy spojrzała z trwogą na Russa, szybko przeszukała dom. Jeżeli Jordie popełnił gwałt, teraz minuty mogły ważyć na jego losie.

Wyszli za dom, tam dołączyła do nich Gretchen. Kiedy się naradzali, podjechała Karen.

- Co się stało?

Amanda podeszła, zachowując spokój.

- Jordiego nie ma w szkole. Pokazał się na lekcji wychowawczej, ale zaraz potem wybył. Sądziłam, że może wrócił do domu.

Karen patrzyła nie widzącym wzrokiem przed siebie. Amanda nie wiedziała, jak to rozumieć.

- Próbowałam dodzwonić się do ciebie i do Lee. Zostawiłam wam wiadomości. Denerwowałam się.

- Dlaczego? - spytała Karen.

- Jordie bardzo przeżył śmierć Quinna.

Karen spojrzała na Russa i Gretchen, a dopiero potem na Amandę. Na jej twarzy odmalowało się rozdrażnienie.

- Nie masz powodów do obaw - zapewniła przyjaciółkę. - Jordie nieźle sobie radzi ze śmiercią Quinna. Rozmawiałam z nim. Nic mu nie będzie.

Amanda mogłaby się założyć, że Karen idzie w zaparte.

Z wyzywającego tonu Russa, wywnioskowała, że myśli podobnie.

- A wiesz, gdzie on teraz jest?

- Tak się składa, że wiem - zapewniła Karen. - Z ojcem.

Amanda zdumiała się.

- W środku dnia? Powiedział komuś w szkole?

Karen ruszyła w stronę domu.

- Z całą pewnością, tyle że ta cała szkoła jest diabła warta. Wystarczająco długo w niej pracowałam, żeby wiedzieć, jaki tam bałagan. - I dorzuciła przez ramię: - Jordie sobie radzi. Powiedz tam im wszystkim, że dobrze sobie radzi.

JORDIE jednak nie był z ojcem, chociaż Karen przekonała się o tym dopiero godzinę i cztery papierosy później. Wtedy bowiem udało jej się skontaktować z mężem.

- No, to gdzie on jest? - spytał rozeźlony Lee.

- Pewnie z kolegami - odrzekła Karen, bo przecież nie mogło być inaczej.

- Amanda sprawdzała, czy któregoś dziecka jeszcze nie ma? - spytał Lee.

- Tak sędzę.

- Sądysz? Czyli nie spytałaś? Ja bym od razu się upewnił.

- Nie miałaś okazji, bo cię nie było w biurze. Gdzie byłeś?

- Wyszedłem na lunch.

- Wreszcie słowo prawdy - mruknęła Karen.

- Co to, do diabła, znaczy?

To znaczyło, że w swoim zaślepieniu nie widział jej potrzeb ani dzieci, nieświadom kosztów, które wszyscy zaczynali ponosić za ich prywatną wojnę. Bo jeśli na karcie

kredytowej mężczyzny widnieje rachunek za wizytę u ginekologa, z którego usług nie korzystała żona, to należy jej się chyba jakieś wyjaśnienie. Ale nie była to najlepsza pora na przyznawanie się, że przeglądała jego rachunki w poszukiwaniu podejrzanych kwot.

- Martwię się o Jordiego - wyznała. - Obdzwonię jego kolegów, kiedy tylko wrócą ze szkoły.

- Daj mi znać, dobrze?

Obiecała mu to. Dodzwoniła się do kilkorga, ale nigdzie syna nie zastała. Wszyscy sądzili, że wrócił do domu, bo się źle poczuł.

Karen zaczęła snuć straszliwe domysły. Chociażby, że policja zgarnęła Jordiego i przetrzymywała teraz w areszcie. Ech, to jakaś bzdura. Nie mogli przecież wiedzieć nic o nożu.

Przerażona, zadzwoniła znów do męża.

- Mam złe przeczucia. Ostatnio dziwnie się zachowywał.

- Bo dorasta. Tak się zachowują chłopcy w tym wieku.

Zapadło dłuższe milczenie, potem przekleństwo, wreszcie zrezygnowane westchnienie.

- No dobrze. Przyjadę do domu. Podzwoń jeszcze tu i tam. co? Gdzieś przecież musi być.

AMANDA nie mogła tak zostawić sprawy. Wcale nie uwierzyła, że Jordie jest z ojcem. Uznała, że Karen po prostu nie wie, gdzie się podziewa syn. Zdarzało jej się pracować z rodzicami, którzy absolutnie nie dostrzegali, że ich dzieci borykają się z poważnymi problemami. Najlepszym przykładem byli rodzice Quinna Davisa.

Zgnębiona, rozpoczęła poszukiwania na własną rękę. Dowiedziała się, że Jordie do dziesiątej był w szkole, a potem nikt go już nie widział. Popytała wśród kolegów, zagadnęła trenera drużyny baseballowej, nauczycielkę hiszpańskiego. Kiedy wyczerpała wszystkie możliwości, dochodziła piąta. Zadzwoniła do Karen.

Ta odebrała wystraszonym głosem.

- To ja - przedstawiła się Amanda. - Wrócił Jordie?

Usłyszała pełne frustracji westchnienie.

- Nie. - Karen przyznała zdenerwowanym głosem: - Miałas rację, on wcale nie był z Lee. Pomyliło mi się z innym dniem.

Amanda poczuła przemożny strach.

- Dzwoniłaś na policję?

- Na policję? Niby po co?
 - Żeby zgłosić zaginięcie.
 - Za krótko go nie ma. Trudno mówić o zaginięciu.
 - W świetle prawa zapewne tak, ale przecież to mała dziura - sprzeciwiła się Amanda.
 - Policja zna sprawę Quinna. Mogą...
 - To nie to samo - przerwała jej Karen. - Jordie nigdy by czegoś takiego nie zrobił.
- Amanda przybrała bardziej serdeczny ton.
- Wiem. Ale na różne sposoby okazuje się żałobę. Jeżeli naprawdę to przeżył i zatracił jasność widzenia...

- Amando, dlaczego ty tak drażysz? Pewnie urwał się gdzieś z kolegami. Co da dzwonienie na policję? To, że w przyszłym tygodniu prasa opublikuje wiadomość o tych poszukiwaniach i dobije Jordiego. Właśnie nagłośnienie załatwiło Quinna. Chyba przyznasz, że to ten artykuł doprowadził go do samobójstwa. Gdyby go publicznie nie upokorzono, żyłby do dzisiaj.

Karen najwyraźniej zdenerwowała się na przyjaciółkę. Mimo to Amanda nie mogła siedzieć z założonymi rękami. Zakończywszy rozmowę, wyszła ze szkoły. W samochodzie od razu ją oświeciło, do kogo powinna zadzwonić. Mniejsza o to, że Graham wybiegł rano z domu w pośpiechu ani że nie rozmawiała z nim przez cały dzień. Miał wspólny język z tym chłopakiem. I z jego zdaniem Amanda liczyła się najbardziej.

Zadzwoiła do niego na komórkę. Przedstawiła mu pokrótce sytuację i spytała:

- Uważasz, że panikuję?

Ulżyło jej, że Graham bynajmniej nie podziela opanowania Karen.

- Nie uważam. Ale to chyba Karen i Lee powinni się niepokoić.

- Jak oni mogą tak spokojnie czekać?

- Może według nich lepiej nie wiedzieć, niż wiedzieć najgorsze.

Amanda mogła to zrozumieć. Czy nie dlatego unikała szczerej rozmowy z Grahamem? Nie zmusiła go do udzielenia odpowiedzi na swoje pytania? Wróciła jednak myślą do Jordiego.

- Gdybyś był na jego miejscu i miał kłopoty, dokąd byś poszedł?

- Na pewno nie do kolegów - odparł Graham. - To zupełnie nie w stylu Jordiego.

Amanda wiedziała, dokąd by poszła na miejscu Jordiego, Do lasu. Sam jej mówił, jak lubi tam chodzić. Lubił tę ciszę, spokój.

Graham nie próbował zgadywać.

- Jechałem właśnie na spotkanie do Danbury, ale czuję, że muszę zawrócić. Spotkamy się w domu.

Gdyby był obok, Amanda uściskałaby go za to. Wydusiła z siebie: „dziękuję”. I zaraz trzaski zakłóciły połączenie. Po słowach Grahama, że spotkają się w domu, na wyświetlaczu komórki pojawiło się menu.

Kiedy Amanda zajechała pod dom, sielski spokój zakłócały jedynie chmury na niebie ocieniające bujną majową zieleń. Bliźniaki Cotterów ganiały się na dziecinnych skuterkach wokół klombu, a Julie jeździła nieco spokojniej na nowym rowerku z przykręconymi kółkami. Tommy rzucał piłkę do baseballowej planszy treningowej zamontowanej na drzwiach garażu Lange’ów, Russ instruował go z boku. Amanda zaparkowała i ruszyła w ich stronę. Russ spotkał ją w pół drogi między ich domami.

- Coś się dzieje? - spytał tak cicho, żeby syn nie usłyszał.

- Jeszcze nic.

- Chodzi mi o to spotkanie u Gretchen - mruknął. - Wiem, że moja obecność mogła cię zdziwić. Wstąpiłem zapytać, jak ona się czuje. Byłem w środku najwyżej pięć minut.

- Amanda, popatrz na mnie! - zawołała Julie Cotter i oboje spojrzeli, jak triumfalnie pedałuje na rowerze.

- Brawo! - pochwaliła Amanda. - Zuch dziewczynka! - A ciszej spytała Russa: - Jesteś ojcem tego dziecka?

- Nie.

- No, to nie mam powodu zastanawiać się nad twoją obecnością u niej. - Spojrzała z lękiem na drzwi wejściowe Cotterów. - Ależ oni się boją wstydu.

- Ja bym na ich miejscu poprosił kogoś o pomoc w poszukiwaniach.

- Właśnie, choćby ciebie i Graya. Zajrzę, może uda mi się obudzić w nich zdrowy odruch.

Uścisnęła go po przyjacielsku, obeszła dom od tyłu, wślizgnęła się do środka. Karen rozmawiała przez telefon. Lee opierał się o ladę, ręce miał założone, nogi skrzyżowane. Amanda uniosła pytająco brwi.

Lee pokręcił głową. Usta miał zaciśnięte.

- Nie wiesz przypadkiem, gdzie on może być? - pytała Karen do słuchawki. Wysłuchiwała, westchnęła. - Gdyby się pokazał, poproś, że by zadzwonił do domu, dobrze? - Odłożyła słuchawkę i zwróciła się do Amandy. - Nie był na treningu, ale nic dziwnego. Regulamin zakazuje gry, jeśli się nie było w szkole.

Oparta się o ścianę, przycisnęła dłoń do ust.

- Nie masz żadnego pomysłu? - zwróciła się do Lee.

- Nie - odparł. Wyprostował się, zgarnął kluczyki. - Jadę.

- Dokąd? - spytała Karen zaniepokojona.

- Poszukać swojego cholernego synalka - powiedział i trzasnął drzwiami. W milczeniu, jakie zapadło, Karen zrobiła wściekłą minę.

- To jego wina. Dzieci wyczuwają, co się w domu dzieje. Jordie jest już na tyle duży, że widzi, co ojciec wyprawia. Nawet jeżeli nie robi tego z Gretchen, to na pewno z kim innym.

Amanda położyła Karen rękę na ramieniu.

- Wezwij policję. Już mogliby zacząć szukać.

- Żadna policja nam tu niepotrzebna. To nie dla policji. Jak raz ich wezwać, to się potem od nich nie odczepisz.

- Niby dlaczego? - spytała Amanda, nagle zastanawiając się, że może jest coś, o czym nie wie.

- E, bez powodu - rzuciła prędko Karen. - Po prostu uważam, że wzywanie policji to przesada.

- Jeżeli zniknął ze szkoły o dziesiątej, to nie ma go już przeszło osiem godzin.

- Niedługo zgłodnieje. Wtedy się pokaże.

- Mamo? - usłyszała Karen z dworu. Po chwili zobaczyła przyklepiony do siatki nos Jareda. - Jon na mnie najechał. I to specjalnie.

- Powiedz mu, żeby cię przeprosił.

Jared odwrócił się i krzyknął na całe gardło:

- Mama mówi, żebyś mnie przeprosił! - A przez siatkę, już normalnym tonem: - Mamo, jesteśmy głodni. Kiedy będzie kolacja?

- Jak zrobię - odparła Karen. - Niedługo.

- Skoro Lee pojechał samochodem, ja się wybiorę na piechotę - postanowiła Amanda.

- Dokąd?

- Do lasu.

- Nie znajdziesz tam Jordiego.

Amanda nie podzielała tej pewności, ale nie zamierzała się spierać.

- Nie zaszkodzi poszukać. Biorę komórkę. Zadzwonisz, gdyby się zjawił?

Karen raptem straciła cały rezon.

- Amando, chyba nie sądzisz, że on mógłby sobie coś zrobić? - spytała drżącym głosem.

- Nie. Ale chłopak najwyraźniej cierpi. Sama powiedziałaś, że przeżywa wasze nieporozumienia. Jest już na tyle duży, że miotają nim sprzeczne uczucia,

- Sprzeczne?

- Chciałby wziąć czyjąś stronę. A zarazem nie brać niczyjej. Czuje się sfrustrowany i bezradny.

- Uważasz, że mógłby coś sobie zrobić? - powtórzyła Karen.

- Nie sądzę. Ale wołałabym przeszukać las przed zapadnięciem zmroku. Czyli zostały jeszcze dwie godziny. Pójdiesz ze mną?

Karen potrząsnęła głową.

- Jeżeli zacznę go szukać, oszaleje z wściekłości. Zostanę tutaj i jeszcze podzwonię.

Amanda wróciła do siebie, przebrała się szybko w dzinsy, kurtkę i sportowe buty. Wsadziła komórkę do kieszeni i wyszła z domu, kiedy podjechał Graham. Ruszył za nią bez słowa. Wiedząc dokładnie, dokąd żona zmierza, zrównał z nią krok.

Rozdział ósmy

MASZEROWALI dłuższą chwilę w milczeniu. Droga była wąska, ale wyrazista. Las upiornie cichy, powietrze ciężkie. Szli pośród wiecznie zielonych paproci i gałęzi obsypanych świeżymi liśćmi.

- Jordie! - krzyknął Graham w las.

A ciszej dodał do Amandy:

- Zawsze tyle mówił o tej wieży.

Jej też to przyszło do głowy.

- Jeśli jest w lesie, to tam go znajdziemy. Nie powstrzyma go zakaz wchodzenia na wieżę.

Graham chrząknął.

- Może nawet zwiększy pokusę. - Przyłożył ręce do ust. - Jordie? - Żadnej odpowiedzi.

- Nawet jeżeli tu jest, i tak nie odpowie - mruknął.

- Co wcale nie oznacza, że nie chce być znaleziony - skomentowała Amanda.

Graham spojrział na nią ze zrozumieniem. Wziął ją za rękę, ruszyli dalej. Ścieżka zaczęła piąć się do góry, niezbyt stromo, ale Amanda musiała wyciągać nogi, żeby dotrzymać mężowi kroku.

- Przypomina mi się Góra Jeffersona - powiedziała. - Pamiętasz, jak się rozpadał śnieg i musieliśmy zbiec na dół do schroniska?

- Ślizgałaś się prawie przez całą drogę. Co chwila się potykałaś i przewracałaś.

- Ale udało się. - To wspomnienie ją ukołysało. - Och, Gray, stęskniłam się za tobą.

Zamaszystym ruchem przyciągnął ją do siebie i pocałował mocno w usta. Amandę przeszło raptowne podniecenie. Ale zaraz przypomniała sobie, po co pędzą przez las. Wokół już się zupełnie ściemniało.

- Jordie! - zawołał Graham. - Jordie!

Trzymał ją mocno za rękę, kiedy brnęli dalej, przynaglani narastającym zdenerwowaniem.

- Gray, od wieków nie chodzimy na wycieczki. Dlaczego?

- Bo jesteśmy za bardzo zajęci, zapracowani. - Zerknął na nią kątem oka. - Wszystko w porządku?

- W porządku.

To było ich hasło i odzew z niegdysiejszych wypraw.

Poczuła, że kropla deszczu kapnęła jej na nos.

- Ojej.

- No tak - szepnął Graham. - Zaczyna się. Jordie, Jordie! - zawołał głośno, po czym mruknął gniewnie: - Gdzie on się, do diabła, podziewa?

- Jest już wieża - odezwała się Amanda, bo dojrzała budowlę z kamieni polnych w wielu odcieniach szarości, przypominającą obelisk, która wyzierała spośród gałęzi. Z czasem coraz bardziej się nadkruszyła. Podczas trzęsienia ziemi przed rokiem wiele kamieni popękało i odpadło, chociaż wieża nadal miała przeszło dwanaście metrów wysokości. Tyle że teraz chyliła się na bok, upstrzona występami i szczyrbami. Amanda potknęła się o korzeń drzewa płożący się na ścieżce.

Gdyby Graham nie trzymał jej za rękę, upadłaby.

- Uważaj - poprosił Graham, zaciskając mocniej rękę, ale nie zwolnił kroku. Wyszli na polanę. Znajdowali się sześć metrów od wieży. Każdy jej bok miał u podstawy trzy i pół metra, zwężając się ku górze. Zabezpieczono ją prowizorycznym ogrodzeniem, które nie stanowiło żadnej ochrony. Jeżeli Jordie je pokonał, nie był pierwszy.

- Jordie? - zawołał Graham. I stanął jak wryty. Amanda, tuż za nim, odchyliła głowę do tyłu. Ona także zobaczyła Jordiego. Ulga na widok chłopca ustąpiła miejsca groźnej sytuacji. Chłopak, cały i zdrowy, siedział na przekrzywionym zwieńczeniu wieży, ledwie widoczny w zapadającej szarówce. Nogi dyndały mu nonszalancko na zewnątrz, z obu stron trzymał się kamieni. Gdyby ręce pośliznęły mu się na mokrych występach, mógłby spaść jak nic.

- Jordie! - zawołał Graham, ciężko dysząc. - Aże nas wystraszył! Rodzice wszędzie cię szukają. - A pod nosem mruknął do Amandy: - Zadzwoń do nich.

Amanda wyjęła komórkę z kieszeni, drżącymi palcami wybrała numer. Kiedy nie uzyskała połączenia, spojrzała na wyświetlacz.

- Nie do wiary. Mają wyłączony.

Graham chrząknął. Podniósł głos.

- Pogoda się pogarsza, Jordie! Może byś już zszedł?

Tyle że zejście wcale nie było proste. Nawet gdyby zechciał. Nie wiadomo, czyby mógł.

- Jak tyś tam wlaź? - krzyknął Graham. - Wdrapałeś się od tyłu? Spróbujemy cię pomału sprowadzić.

Amanda dostrzegła, że chłopak nieznacznie pokręcił głową.

- Dlaczego? - zawołał Graham. - Zszedłbyś jako pierwszy. Nic nie wskórasz siedzeniem na górze.

Jordie nieznacznie skinął głową.

Amanda i Graham wstrzymali równocześnie oddech, kiedy chłopak puścił się jedną ręką i sięgnął pod koszulkę. Nawet nie drgnęli, gdy wyjął mały pistolet.

- Skądś ty go, do diabła, wytrzasnął? - krzyknął Graham.

Jordie nie odpowiedział. Położył pistolet na podłożu, sygnalizując, że ma nad nimi przewagę.

- Jordie, chyba nie masz zamiaru go użyć - wtrąciła Amanda

- Sprawy nie zaszły tak daleko. Jordie nie spierał się. Patrzył na las. Amanda przysunęła się do Grahama. - Jak go sprowadzimy?

- Sami nie damy rady. Jest za ciemno i za ślisko. Musi go sprowadzić ekipa ratunkowa.

- Pobiegnę po pomoc.

- Ja pobiegnę. Zrobię to szybciej. A ty zostań i spróbuj go wciągnąć w rozmowę.

Spojrzał jej w oczy. Musnął palcami jej usta, rzucił ostatnie spojrzenie i ruszył przed siebie.

Amanda musiała nieźle wyteżać wzrok, żeby widzieć Jordiego na górze wśród kamieni. Padał wiosenny kapuśniaczek, drobny, lecz uporczywy. Odgarniając z czoła mokre kosmyki, podeszła bliżej.

- Chciałam dziś z tobą porozmawiać! - krzyknęła. - Wysłałam ci e-maila.

- Dokąd poszedł Graham? - zawołał nieufnie Jordie.

- Zawiadomić twoich rodziców. Zamartwiali się o ciebie.

- Akurat - mruknął.

- Oni cię kochają - zawołała, lecz deszcz raptem się nasilił, toteż jej głos rozmył się po drodze. Osłaniając oburącz oczy, natężyła głos. - Jordie, po co wlałeś na tę wieżę? Czy chcesz tam nocować?

Nie odpowiedział.

- Odezwij się! - zawołała, bo od tego wszystko zależało. Zbliżyła się, przeszła przez dziurę w płocie, stanęła u podnóża wieży przy kamiennych stopniach.

- Proszę tu nie wchodzić - warknął ostrzegawczo Jordie.

- Nie mogę tak krzyczeć! - zawołała, badając kamień jedną ręką i nogą. Granit był śliski, ale miała traperki na dobrej podeszwie. Oskrobała je z mokrych liści, weszła na pierwszy schodek. Chwyliła kamień oburącz, utrzymała równowagę, pokonała dwa schodki.

Noga jej się omsknęła. Wzmocniła chwyt, odczekała, aż przestanie jej walić serce, po czym podciągnęła się o kolejnych dwadzieścia centymetrów.

- Zeskoczę, jak pani zacznie wchodzić - uprzedził Jordie.

Nie postraszył jednak, że użyje broni. Przynajmniej tyle.

Straciła chłopaka z oczu. Deszcz i zapadające ciemności utrudniały widoczność.

Wspinała się po omacku.

Postawiła lewą nogę na następnym kamieniu, znalazła zaczepienie dla palców, podciągnęła się. Z każdym krokiem coraz bardziej dudniło jej serce, mimo to pięła się niestrudzenie do góry.

- Amanda! - krzyknął Jordie, jak gdyby chciał sprawdzić, gdzie ona jest. W jego głosie pobrzmiwał ni to strach, ni to gniew.

- Jeżeli skoczysz - odkrzyknęła - to ja spadnę! Czyli będziesz miał mnie na sumieniu.

- Jeżeli zginę - odparował bez namysłu - to nie będzie miało żadnego znaczenia.

- Nie chcesz umierać. - Musiała sama w to uwierzyć. - Za dużo rzeczy kochasz w życiu.

Nie odpowiedział.

Chwyając coraz płytsze oddechy, nie zważając na strach, posuwała się do góry. Znów się poślizgnęła, z każdym krokiem zagrożenie rosło. Krzyknęła, przygotowana na upadek, ale cudem znów znalazła oparcie dla nogi. Usłyszała jednak, jak obluzowany kamień runął na ziemię. Nie był to uspokajający dźwięk.

Mniej więcej w połowie drogi znalazła się już w sytuacji bez odwrotu. Zdjęta strachem, zaczęła strofować się w duchu. Co z niej za kretyńka, że nie poczekała na strażaków. Teraz nie miała już wyboru. Musiała brnąć naprzód, krok po kroku, wspinać się coraz wyżej.

- Jordie? - zawołała roztrzęsionym głosem, kiedy wyczuta, że zbliża się do szczytu. - Jesteś tam?

Odpowiedział drwiąco. Zrozumiała, że jest bardzo blisko.

- A dokąd miałbym pójść?

Posuwała się krok za krokiem. Raptem dźgnęła rękami pustą przestrzeń. Aż ją coś ścisnęło w dołku. Na ułamek sekundy zakreśliło jej się w głowie.

- Pani oszalała - skomentował Jordie.

Przesuwając się po centymetrze, znalazła się tuż obok uciekiniera. Wtedy odpowiedziała mu napiętym głosem:

- I ty oszalałeś, i ja.

Chłopak był przemoczony do nitki. Mimo zapadającego mroku widziała, że nie trzyma już pistoletu. Odetchnęła z ulgą. Na szczęście ciemności nie pozwalały jej spojrzeć w dół. Udając w duchu, że znajduje się nie więcej niż metr nad ziemią, ostrożnie wyczuła nogą kamień.

- Graham mnie zabije - powiedziała szczerze. - Te kamienie są diabelnie zdradzieckie.
- Nie trzeba było wchodzić.

Rozległ się trzask, a następnie hurkot kolejnego głazu, który stoczył się z wieży. Jeżeli więcej kamieni osunie się pod ich ciężarem, wieża po prostu się zawali i pogrzebie ich żywcem. Amanda wyjaśniła, tłumiąc histerię w głosie:

- Nie chciałam, żebyś czuł się tu samotnie.

Przełożyła ręce, jedną oparła się przed, drugą za sobą. Dosłownie wczepiła się nimi w mokry granit, chociaż nie bardzo to wzmocniło jej poczucie bezpieczeństwa.

- Chodzi o Quinna? - spytała.

Chłopak patrzył w milczeniu na zapadające szybko ciemności.

- Quinn szukał pomocy. - Aha, a ja mu pomogłem - mruknął Jordie z goryczą. - Załatwiłem wódkę. Twierdził, że potrzebna mu na imprezę. Sądziłem, że chodzi o weekend. Powiedziałem, że ojciec ma zapas w piwnicy i że nie zauważy braku jednej flaszki. Przyniosłem do szkoły.

- I masz z tego powodu wyrzuty sumienia.

- Gdybym mu jej nie dał - wybuchnął z wściekłością Jordie - nie przyłapano by go na pijaństwie, nie ukarano, nie obsmarowano w gazecie i by się nie zabił!

- Och, Jordie. Nie zaważył tylko artykuł w gazecie. Powodów było wiele.

- Aha, na przykład jego starzy. Ale oni przynajmniej są razem. Nie umknęło to jej uwagi.

- Twoi też są.

- Ledwo co. I wiecznie się kłóć. Jeżeli na tym ma polegać bycie razem, te piękne dzięki!

- Wszystkie małżeństwa przechodzą kryzysy.

Podniósł na nią wzrok. Mimo słabego światła dojrzała w jego oczach niedowierzanie.

- Oni się nienawidzą.

Amanda poznała w tym znajomą nutę. Lata udręk spowodowanych związkiem rodziców nie przyniosły żadnych odpowiedzi.

Wreszcie nauczyła się odpuszczać, chociaż łatwiej jej było zmusić rozum niż emocje.

- Tak czy owak, kochają was. Masz jakieś wątpliwości?

Jordie nic nie odpowiedział. Odwrócił się tylko do niej ze złością i gwałtownie wybuchnął:

- To dlaczego polazł do tej Gretchen?

Rozległ się łoskot kamyków spadających z wieży. Gdzie jest Graham, zawołała w duchu.

- Nie odpowiada pani - przygadał jej Jordie.

- Nic mi o tym nie wiadomo - wybąkała. - Masz pewność?

- Już raz wcześniej zdradził mamę. Słyszałem, jak się kłócili. Jak pani chce, mogę podać nazwiska.

- Przyznał się do związku z Gretchen?

- Nie, ale mama go o to podejrzewa. Przeraza mnie, kiedy wpada w szal.

Amandzie wydało się, że czuje pod sobą drżenie. Najpierw drobny wstrząs, a potem kamienie jakby się przesunęły. Aż jej się słabo zrobiło.

- Jordie, niepokoi mnie ten pistolet. Jeżeli zatkniesz go za pas, może wypalić przy najdrobniejszym ruchu kamieni. Nie chcę myśleć, co by się stało.

- To bez znaczenia.

- Dla mnie ma znaczenie - sprzeciwiła się. Ale musiała podtrzymać rozmowę z Jordiem aż do nadejścia pomocy. - Czym cię tak mama przeraza?

- Kiedy z nim rozmawia, coś w nią wstępuje. Choćby pani nie wiem co mówiła, wiem swoje, ona go nienawidzi, i to jest wina Gretchen. Po śmierci Bena powinna się była stąd wyprowadzić. Wtedy nic by się nie stało.

- Jak to nic?

- No, rodzice by się tak nie kłócili. Przedtem też się kłócili, ale nie tak jak teraz.

- Jordie, wszystko upraszczasz. Tak samo zwalasz winę za śmierć Quinna na artykuł w gazecie.

- To dlaczego się zabił?

- Bo przechodził spory kryzys. A nie miał z kim pogadać. Czuł ogromną presję, żeby odnosić sukcesy. I nie poradził sobie.

- Wszyscy czują taką presję. Na tym polega system ocen w szkole.

- Ale on czuł, że musi być najlepszy.

- Ze względu na braci?

- Niewykluczone.

- Przecież był najlepszy.

- Ale ciągle walczył, by utrzymać się na szczycie. Chciał zwyciężyć. Udawał twardziela, chociaż w środku wcale się nim nie czuł.

- Czyli się zabił, bo nie był ideałem? - Jordie zastanowił się przez chwilę. - To jak my się mamy czuć? Daleko nam do ideałów.

- Quinn też nim nie był. Ale wszyscy zbyt wiele od niego oczekiwali, że z bezradności w końcu się poddał. Ale ty nadal jesteś silny, Jordie. Nadal walczysz.

Amanda usłyszała odgłos zbliżających się kroków. Po chwili snopy wielkich latarek oświetliły podnóże wieży.

- Amanda! - zawołał Graham z dołu. - Amanda!

- Tu jestem! - krzyknęła. Ze szczytu widziała tylko jego żółtą kurtkę przeciwdeszczową i błyski latarek. Osłaniając oczy przed oślepiającą łuną, zawołała: - Nie świećcie tak!

Zniżyli światła, obstawili teren wokół wieży.

- Jordie, co ty wyprawiasz? - zawołał gniewnie Lee.

- Zejdz, synu - jęknęła zdesperowana Karen. - Porozmawiajmy. Na pewno się dogadamy. Z lasu dobiegło dudnienie dalszych kroków, potem inny głos.

- Ekipa już jest w drodze. - To mówił Russ. - Jordie, trzymaj się. Już tu jadą.

- Jest z nim Amanda! - zawołał Graham. - Idę do nich.

- Nie! - krzyknęła Amanda. - Nie wchodź, Gray. Siedzę bezpiecznie. A jeżeli posypią się kolejne kamienie, może być kiepsko.

- Ze mną już jest kiepsko - mruknął Jordie.

Amanda chwyciła go za rękę.

- Jeżeli ty polecisz, polecę i ja.

Nie przejęła się jego strachem, że wszyscy bliscy zebrali się pud wieżą. Nie miała zamiaru dopuścić, żeby ze wstydu zdobył się na desperacki krok.

- Pani nie rozumie - rzucił Jordie chrapliwie. - Ja nie mogę zejść. Zabiją mnie, jak się dowiedzą, co zrobiłem.

- Chodzi ci o wódkę? Nikt cię nie będzie winił. Nie kazałeś jej pić Quinnowi.

- Nie chodzi o wódkę - powiedział w panice. - Chodzi... chodzi o Gretchen. Dopiero teraz rozjaśniło się Amandzie w głowie.

- O obraz?

- Tak - szepnął Jordie. - Nie mogłem na niego patrzeć. Nienawidzę jej. Gdyby wyjechała, moi starzy by się pogodzili.

Nie było to takie proste. Amanda wiedziała, jak brak zaufania nadwerzęzył jej własne małżeństwo i to bez powodu. Podobnie u Cotterów małżeństwo chwiało się jeszcze przed wprowadzeniem się Gretchen. Mała szansa, że poprawiłoby się po jej wyjeździe.

- Dałem ciała - mruknął rozpaczliwie. - Poniosło mnie! A nie przestraszyła się telefonów.

- Telefonów?

- Chciałem napędzić jej strachu, ale nie wyjechała. Co za kretyn ze mnie. Kretyn!

Trzymając chłopca mocno za przegub, czuła jak cały drży z napięcia. Szarpnęła nim.

- Żaden kretyn. Czułeś gniew. Ale miałeś prawo, chociaż nie na Gretchen. Możesz czuć gniew na rodziców za to, że niszczą twój spokój. Znam to. Przeżyłam coś podobnego ze swoimi rodzicami. Wciąż sobie wmawiałam, że nie mogę nic powiedzieć, bo to by tylko pogorszyło sprawę. No więc, zamknęłam się w sobie, stałam się humorzysta i jeszcze bardziej zła. Dopiero po latach pojęłam, że miałam prawo do gniewu.

Słuchał.

- I co pani zrobiła?

- Wyraziłam go wreszcie. Wygarnęłam im, co myślę.

- Pomogło?

- Im nie, ale ja poczułam się lepiej.

Na dole zapanował harmider, rozbłyły reflektory, zjawilo się więcej osób.

- Chyba zeszło się pół miasta - skomentował zgryźliwie Jordie.

- Nie. Pewno tylko czterech mężczyzn. Tylu trzeba, żeby przynieść wysoką drabinę, która tu sięgnie.

- Opiszą to w gazetach, tak jak przedtem Quinna.

- Wiedzą tylko tyle, że wdrapaliśmy się na szczyt i że nie możemy zejść.

- Ja nie schodzę. Nie mogę. Wiem o tych agentach, którzy zjawili się u Gretchen. Jeżeli oni mnie nie dopadną, zrobią to gliny.

Pokrzepiona obecnością ratowników, Amanda odzyskała równowagę ducha.

- Nie dopadną, jeśli Gretchen nie złoży oskarżenia.

Prychnął.

- To będę się musiał tłumaczyć przed rodzicami.

- A myślisz, że oni nie czują się winni? Zastanów się. Co czułeś w związku z wódką daną Quinnowi? Rodzice mogą myśleć tak samo, kiedy minie pierwszy gniew. Musisz im powiedzieć, co czujesz, Jordie. Niewykluczone, że w ten sposób im pomożesz.

Z dołu dobiegły ją głosy, zgrzyt metalu o kamień, rozsuvanie drabiny. Wstrząsy, szczęknięcie, aż wreszcie czubek drabiny oparto o głaz po stronie Jordiego. Amanda wstrzymała oddech. Złękła się, czy wieża nie zawali się pod tym ciężarem. Drabina, skrzypiąc złowieszczo, wytrzymała ciężar pierwszego strażaka.

- Co ja mam zrobić? - Jordie zwrócił się do Amandy.

- Rodzice cię kochają - odparła, ściskając go za rękę. - Pogadaj z nimi.

- O Gretchen? Zabiliby mnie.

- Niekoniecznie, jeśli im to wytłumaczysz.

- Łatwo pani mówić.

Tak, to prawda. Właśnie do niej dotarło, że ostatnio sama nie bardzo dzieli się własnymi uczuciami czy myślami. Raczej wysłuchuje innych.

- Zdobądź się na odwagę - poradziła. - Okaż dojrzałość. - Puściła jego rękę, ujęła go za podbródek i uniosła, by spotkać jego spojrzenie. - Dorośnij. Umiesz walczyć. I przetrwasz. Wiem, że wyjdiesz z tego obronną ręką.

Nie odrywała od niego oczu. Wtedy z odległości około metra dobiegł ich męski głos.

- Jordie. Teraz złapię cię za nogę i postawię ją na drabinie.

Jordie zaczął kręcić głową, ale Amanda przytrzymała jego podbródek.

- Tak - szepnęła zdecydowanie. - Quinn był tchórzem A ty nie jesteś. Pokaż im, Jordie. Błagam cię, pokaż im.

Przez chwilę sądziła, że chłopak chce protestować. Ale zaraz dal za wygraną. Puściła podbródek, przytrzymała jego ramię, aż obiema nogami stanął na drabinie. Po raz ostatni spojrzał na nią.

- Idź - odpowiedziała. - Ja schodzę za tobą.

Zobaczyła strażaka tuż poniżej Jordiego, na tyle blisko, że chłopak nie mógł już spaść ani zeskoczyć. Schodzili szczebel za szczeblem w dół. Kiedy zniknęli jej z oczu, pomyślała, że zagrożenie minęło. Wtem usłyszała łoskot i poczuła przesuujące się kamienie pod sobą, zdawało się to trwać wieki.

Rozdział dziewiąty

Z DOŁU doleciał Amandę zgiełk. Spojrzała w gąszcz snopów światła i zawołała:

- Jak Jordie?

- W porządku - uspokoił ją Graham. Jego głos dobiegł z zadziwiająco bliskiej odległości.

- Gray! - krzyknęła.

- Jestem na drabinie, tuż za tobą, trochę niżej, kochanie. Nic ci nie jest?

- Nie, tylko umieram ze strachu.

- Zaświećcie, żebym ją zobaczył! - krzyknął na dół, po czym cieplejszym tonem zwrócił się do niej: - A teraz uważaj, tutaj, dziecinko. O tak.

Poczuła jego rękę na swojej nodze. Naprowadził ją ostrożnie.

- Uważaj, postawię ci nogę na górnym szczeblu. Teraz zsuń się, kochanie, dostaw drugą. Zuch dziewczyna.

Robiła, co jej kazał. Pochlipywała, trzęsąc się na całym ciele. Sprowadził ją szczebel po szczeblu, osłaniając sobą. Ona ledwo cokolwiek kojarzyła, słyszała tylko jego głos przy swoim uchu. Na jego komendy suwała nogami, przenosiła ciężar z jednej stopy na drugą, aż dotknęła ziemi, a on porwał ją w ramiona. Zaniósł na skraj polanki, bezpiecznie, z dala od wieży. Okrył kurtką przeciwdeszczową i przytulił, kołysząc w ramionach. Amanda się nie poruszyła. Za bardzo była wyczerpana, za bardzo szczęśliwa. Słowa były zbędne. W pewnej chwili podszedł do nich Russ i powiedział, że Jordie złamał sobie nogę, spadając z drabiny. Chciał też sprawdzić, czy Grahamowi i Amandzie nie trzeba pomóc. Nie, zapewnił go Graham. Wszystko było w porządku. W porządku, pomyślała Amanda, to mało powiedziane. Jordie jest bezpieczny, tragedia zażegnana. Wiedziała już, kto zniszczył obraz Gretchen, i chociaż nadal nie miała pojęcia, kto jest ojcem dziecka, to z całą pewnością nie był nim Graham.

Kiedy wracali przez las, poczuła mocną więź psychiczną, ową chemię, która od początku przyciągnęła ją do Grahama. I teraz przepełniła całe jej serce, wszystkie zmysły.

Gdy tylko znaleźli się w kuchni i zamknęli drzwi, wziął ją na ręce, posadził na ladzie, ujął w obie dłonie jej twarz. Pocałował żarliwie. Zrozumiała, że on czuje to samo, co ona - ale wiedziała o tym na długo, zanim ich usta się zetknęły. Mogła się nim delectować i odwzajemniać namiętność, wtulona w niego.

- Kocham cię - szepnął, muskając ustami jej szyję. Drugą ręką rozpiął jej dżinsy i pociągnął suwak. Był mokry i się zacinał, ale Grahama to nie powstrzymało.

Zanurzył palce w jej włosy, znów pocałował. Amandzie przypominało to powrót z daleka. Tak się stęskniła za muśnięciami jego ust na swoim ciele, za pieszczotami języka i delikatnym kąsaniem. Za jego pocałunkami na szyi, a kiedy ściągnął jej sweter i odrzucił stanik, również na piersiach.

Zsunął jej spodnie, a ona oswobodziła ze spodni Grahama. Wreszcie dotarł z pieszczotą do jej wnętrza, podczas gdy jego ramiona zamknęły się wokół niej. Amanda poczuła narastający żar. Doszli w odstępie kilku sekund jedno po drugim - iskra przeskoczyła w nieznanym im dotąd sposób.

WYKORZYSTUJĄC krótką przerwę w zamieszaniu, podszedł do okna i zadzwonił. Podniosła słuchawkę już po pierwszym dzwonku. Czekwała na ten telefon.

- Dzisiaj nie mogę przyjechać - przeprosił.

Odczekała chwilę, zapytała:

- W ogóle?

- W ogóle. Muszę tu zostać. Nijak się nie wymknę.

- Mówiłeś, że to się nie zdarzy.

- Mówiłem też, że sytuacja jest delikatna. A teraz jeszcze bardziej nabrzmiała.

- Dlaczego?

- Wynikły komplikacje. Sprawy przybrały taki obrót.

- Jaki obrót?

Przejechał ręką włosy. Na tyle sam był skołowany, że nie chciał się wdawać w szczegóły.

- Mieliśmy tu dziś spory dramat. Zbieram wszystko do kupy. Sprawa jest ważna.

- Myślałam, że ja jestem ważna.

- Bo jesteś, skarbie - pocieszył ją. - Już to przerabialiśmy. Jesteś ważna. Ale wszystko ma swoją kolej.

- Czas nagli. Jak będziesz za długo zwlekał, dziecko się urodzi.

- Dziś mnie nie poganiaj. Dosłownie padam z nóg.

- Mnie właśnie czas pogania. To może i ciebie powinien?

Chciał zaprzeczyć. Chociaż jej zagrozić, że wyprze się ojcostwa, jeżeli ona nie odpuści. Ale po wypadkach tego wieczoru nie w głowie mu były pogrożki.

- Zadzwonię jutro - obiecał.

- Skąd mam mieć pewność? - spytała tonem, który niechybnie by go zmroził, nawet gdyby nadal przejawiał nią zainteresowanie. Ale stracił. Nie miał zamiaru dać się wciągać w coś, co mu nie odpowiadało. A skoro już dziecko nie było jego, nie czuł wobec niej żadnych zobowiązań.

- Nie mam zamiaru cię przekonywać. Nie mogę teraz rozmawiać.

Muszę kończyć. Po czym odwrócił się tyłem do okna i skoncentrował na sprawach domowych.

- MUSIMY porozmawiać - szepnęła Amanda nieco później. Kochała się z Grahamem pod prysznicem, potem znowu w łóżku. Leżała teraz wtulona policzkiem w jego ramię. - Dlaczego przestaliśmy rozmawiać?

- Takie jest życie - mruknął.

- A konkretnie?

- Życie stanęło na przeszkodzie. Różne sprawy. - Odwrócił głowę na poduszce. Spojrzał na nią. - Wiesz, jak brzmi moja odpowiedź? Zależy mi na tobie. Jeżeli nie dorobimy się dziecka w naturalny sposób, to sprawimy je sobie inaczej.

Dostrzegła w jego oczach bezbrzeżną szczerść.

- A jeżeli znów nas coś rozdzieli? - spytała.

- Nie pozwolimy.

- Za pierwszym razem też się nie zorientowaliśmy. Jak się poznamy za drugim?

- Bo nabyliśmy doświadczenia. Mamy za sobą pierwszy poważny sprawdzian.

- Przepraszam, że podejrzewałam cię o romans z Gretchen. Ale jakoś tak nagle zaszła w ciążę, a ja nie. Tyś przecież, mniej więcej w tym samym czasie, projektował ten jej wspaniały ogród. - Ponieważ się nie odzywał, podniosła głowę. Oczy miał zamknięte. - Kto, według ciebie, jest ojcem dziecka?

- Nie wiem - wymruczał sennie.

- Myślisz, że Lee?

- Hmm.

Takie mruknięcie w jego ustach mogło oznaczać: może.

GRETCHEN poczekała z telefonem do czwartku rano. Znała już numer na pamięć. Chociaż dzwoniła do Olivera Deedsa nie tak wiele razy, jego numer wrył jej się w pamięć w tych strasznych miesiącach po śmierci Bena. Oliver był pomocny, kiedy nie umiała czegoś załatwić, stanowił oparcie tak, jak wymarzyłby sobie Ben. Tyle, że Ben nie mógł, oczywiście,

przewidzieć reakcji swoich synów na zapis w testamencie. Dlatego Oliver musiał wic się na różne strony, bo w końcu był też ich prawnikiem.

- Firma Fillham i Marcus, słucham - odebrała sennym głosem recepcjonistka.

- Proszę z mecenasem Oliverem Deedsem.

- Mogę wiedzieć, kto dzwoni?

- Gretchen Tannenwald.

Wzięła głęboki oddech. Podszedł od razu.

- Gretchen?

- Tak - odparła, przystępując do przewidzianej zawczasu mowy. - Nie zabiorę ci dużo czasu. Chciałam tylko powiedzieć, że wiem już, kto zniszczył moje obrazy. To ktoś znajomy, dlatego nie wniosę oskarżenia. Byłabym ci wdzięczna, gdybyś zawiadomił towarzystwo ubezpieczeniowe, a także Davida i Alana.

- Chcesz powiedzieć, że wycofujesz swoje roszczenia?

- Nigdy nie wysuwałam roszczeń. Ani nie wzywałam likwidatorów. Zrobiłeś to na własną rękę.

- Masz prawo do odszkodowania.

- Co mi po odszkodowaniu, skoro nie da się odtworzyć obrazu?

Oliver powinien zrozumieć, że nie chodzi jej o pieniądze.

- W takim razie, kto pociął obraz? - spytał.

- Nieważne.

- Ktoś, z kim się spotykasz?

- Z nikim się nie spotykam.

- Bo tak sądziłem. Gretchen...

- To wszystko. Chciałam cię tylko zawiadomić. Żegnam, Oliverze.

GRAHAM leżał bez ruchu na łóżku, chociaż dochodziło południe. Nie pamiętał, kiedy ostatnim razem leżał w łóżku tak długo. Ale też nie pamiętał, kiedy ostatnio kochali się tak intensywnie. Odwrócił głowę na poduszce, zobaczył burzę blond włosów Amandy kilka centymetrów od siebie. Jej nagie plecy i pośladki wtulone w jego nagi bok. Kiedy ją objął, poczuł znów przyływ podniecenia.

Oboje wymówili się telefonicznie w swoich miejscach pracy chwilową niedyspozycją.

Przewrócił się na bok, przyciągnął ją z pełnym satysfakcji westchnieniem. Szalona noc zaspokoila nieco jego namiętność. Teraz czuł wzbierające w nim powoli miłe pożądanie.

Amanda obejrzała się, odwróciła.

- Cześć - powiedziała rozespana z westchnieniem zwiędzonym uśmiechem.

- Cześć - przywitał ją i pocałował w nos.

- Mmm. Od miesiący nie całowałeś mnie w nos.

- Bo od miesiący tak ślicznie nie wyglądałaś.

Rozmarzona, przymknęła oczy. Ale zaraz znów je otworzyła.

- Dzwoniłeś do Cotterów?

- Aha. Dzwoniłem wcześniej. Jordie wrócił do siebie. Noc spędził w szpitalu. Chyba chcą, żeby się z kimś spotkał dziś rano.

- Spotkał? Z psychiatrą?

- Takie odniosłem wrażenie.

- Karen ci powiedziała czy Lee?

- Karen. Jego jak zwykle nie było. Może załatwiał chłopakowi tę wizytę - powiedział.

- Albo kombinował na boku.

- Był naprawdę niezłe zdenerwowany. Nie udawał, kiedy oboje byliście tam na wieży.

Gdy zamilkła, wiedział, że wspomina tamte chwile. Niemożliwe, żeby nie przeżyła co najmniej takiego strachu jak on.

- Dobrze się spisałaś - pochwalił ją cicho.

Odetchnęła z ulgą.

- To było jak... odkupienie. - Przejechała kciukiem po jego ustach. - Karen i Lee muszą podjąć pewne decyzje.

- My też - uciał, bo nie miał teraz ochoty omawiać problemów Karen i Lee. Chciał znów oddać się namiętności i beztrójce. Przytulił ją całym sobą, wyczuł, że jest gotowa. Zdążył w nią wejść, kiedy zadzwonił telefon. Zlekceważyli go.

GEORGIA z zatroskaną miną odłożyła słuchawkę.

- Czy u nich tam wszystko w porządku?

- O, na pewno - uspokoił ją Russ. - Potrzebują czasu dla siebie. Trzeba ich było widzieć wczoraj wieczorem. Rany boskie, ależ to był porażający widok.

Kiedy Georgia wróciła o dziesiątej z terenu, dramat już się rozegrał. Przynajmniej ten w lesie. Bo czekał ją jeszcze dramat dotyczący Buraczanego Kordiału.

Zadzwonił telefon. Wyświetlił się numer jej adwokata, odebrała

- Tak, Sam?

- Nie ustąpią - oznajmił. - Jesteś częścią pakietu. Chcą, żebyś została jeszcze przez dwa lata. Na takie ustępstwo ich stać.

- Dwa, a nie trzy.

- To już coś. Widać, jak im zależy.

- Ale mnie to nie urzęda. Wiecznie jestem o trzy godziny lotu od domu, a dzieci potrzebują mnie tutaj - pożałowała się, masując sobie krzyż. Była zmęczona tym wiecznym pakowaniem się i rozpakowywaniem, bieganiną po lotniskach, żeby złapać kolejny samolot. Ponadto wykańczała ją troska o Allie, która dorastała zbyt szybko, i o Tommy'ego, który wkrótce też wejdzie w trudny wiek. A jeszcze bardziej martwił ją los własnego małżeństwa, jeżeli taka separacja potrwa dłużej. Nawet w najgorszych przypuszczeniach nie sądziła, że jej przyjdzie podejmować ważne decyzje związane z pracą, podczas gdy mąż będzie grzebał w koszu czystej bielizny wyjętej z suszarki, szukając skarpetki Tommy'ego do kompletu. A skarpetki syna do gry w piłkę nożną zawsze były szare, chyba że ona sama je wybieli. Pytanie tylko, czy w domu jest wybielacz, Roześmiała się. Russ spojrzął na nią spode łba.

- Chyba ominął mnie dowcip - powiedział Sam.

- Bo go nie było - rzuciła do słuchawki, uśmiechając się do męża wytrzeszczającego oczy. - Muszę zwyczajnie móc pojechać do sklepu, kupić wybielacz i doprowadzić do porządku skarpetki swoich dzieci. Czy to takie wygórowane żądania?

- Nie, tyle że nie wiem, jak je przełożyć na język prawny.

- Nic prostszego - powiedziała Georgia z dziwnym spokojem. - Moja odpowiedź brzmi: nie. Będę pracowała tutaj. Będę uchwytna przez telefon. Koniec z wyjazdami.

- Twoja decyzja może przekreślić cały układ.

- Wówczas poszukasz następnego - powiedziała. - Ja rezygnuję.

W PIĄTEK rano Amanda, idąc do pracy, czuła się równie silna jak Georgia. Dzień z Grahamem podziałał na nią jak balsam. Nawet się nie ubierali, prawie nie wychodzili z sypialni. Dwa razy sprawdzali wiadomości telefoniczne, ale nie odbierali telefonów. Całowali się. Dotykali. Kochali się więcej razy, niż potrafili zliczyć. I wiele godzin przeleżeli w milczeniu. Razem wzięli prysznic. Podgrzali pizzę z zamrażalnika i zjedli w łóżku. Nagusieńko tańczyli w sypialni boogie-woogie. Namiętność usunęła na bok wszystko, co ich ostatnio dzieliło. Nareszcie znów sami, zaczęli od nowa.

Amanda najchętniej powtórzyłaby znów tę niesłychaną ucieczkę od świata, gdyby nie odezwał się w niej głos rozsądku. Miała już umówione spotkania i wizyty, Grahama też zresztą wzywały obowiązki. Ponieważ zbliżał się weekend, jakoś musieli znieść ten jeden dzień pracy.

Ale i tak Graham wciąż jej przeszkadzał. Co godzina przysyłał listy e-mailem, dzwonił dwa razy przed obiadem i dwa razy po, a kiedy o czwartej wróciła ze szkoły, czekał przy drzwiach z torbami spakowanymi na weekend w górskim zajeździe w stanie Vermont.

W PONIEDZIAŁEK rano Karen wcale nie była gotowa do konfrontacji. W żadnych okolicznościach nie była, ale tego dnia okoliczności były wyjątkowo niesprzyjające. Jordie miał przez półtora miesiąca mieć nogę w gipsie, nie wiadomo, jak długo będą się ciągnąć wizyty u psychologa. Bliźniaki czuły, że coś wisi w powietrzu, Julie nie odstępowała jej na krok. Karen wyrzuciła niefortunny nóż ze szczątkami farby. Zawinęła go, wepchnęła do worka ze śmieciami, wywozła na wysypisko. A teraz znów wynikła kwestia pistoletu. Russ podrzucił go dziś rano. Nie był wcale przeznaczony dla niej. Spoczywał w zapieczętowanej bąbelkowej kopercie zaadresowanej do Lee, ale nie mogła się oprzeć

Kiedy wymacała zawartość, zważyło ją z nóg. Otworzyły się drzwi kuchenne, wszedł Lee. Potem zatrzasnęły się za nim z łoskotem.

- Dostałem wiadomość od ciebie. Podobno to coś pilnego - powiedział.

Karen powoli, z namysłem wyciągnęła pistolet z kieszeni. Trzymając go na wysokości pasa, wymierzyła w Lee, który zmarszczył brwi i instynktownie odsunął się z linii strzału. Karen, w przyпіływie dziwnej siły, powiodła za nim lufą pistoletu.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz? - rzucił, nie odrywając wzroku od lufy.

- Russ przyniósł go dziś rano. Chyba należy do ciebie.

- Nie mam broni.

- Widziałam go w twojej szufladzie.

- Grzebiesz już w moich szufladach? - uniósł się zgodnie z jej przewidywaniami. Był mistrzem w przerzucaniu winy, byle tylko uniknąć trudnego tematu. Ale wiedziała, co odpowiedzieć.

- Zawsze chowam twoje bokserki do bielizniarki. Czasem przekładam te z wierzchu, żebyś wciąż nie używał tych samych. Ten pistolet leżał tam od dłuższego czasu. Lee, to nie była najlepsza kryjówka. Jordie nie musiał go długo szukać.

Lee poczuł, że ogarnia go znużenie. Tym razem nie było sensu iść w zaparte.

- To najporeczniejsza kryjówka, gdybym w nocy usłyszał napastnika. Skąd wiesz, że właśnie ten pistolet Jordie miał przy sobie?

- Bo twój zniknął. A kiedy Jordiego rozbierano w szpitalu, nie znaleziono przy nim broni. Sądziłam, że mu go odebrałeś, ale najwyraźniej zrobił to Russ.

- Odłóż go. To śmiercionośne narzędzie.

Karen, tłumiąc wzbierającą w niej histerię, dodała:

- Ta mogła zabić naszego syna.

Wyciągnął rękę.

- Daj mi ten pistolet.

- Jeszcze nie.

- Co chcesz z nim zrobić?

- Załatwić swoją sprawę - odparta. - A właściwie trzy sprawy: kłamstwa, oszustwa i przemocy. Lee westchnął.

- W naszym małżeństwie nie ma przemocy. Nie masz żadnych podstaw, żeby tak mówić.

- Ma subtelny, cichy przebieg. Ale zebrała swoje żniwo. Zabrnęłam tak daleko, że przestałam już myśleć trzeźwo.

- Zwróć się do psychoterapeuty. Ja zapłacę. Już ci to dawno proponowałem.

- Terapeuta tu nie pomoże. Lee, ja tak dłużej nie pociągnę. Nie będę tolerowała innych kobiet, twoich późnych powrotów, rosnącego we mnie gniewu.

Zmiękł w jakże znajomy sposób.

- Gubi cię wyobraźnia.

- Nie. - Zdobyła się na stanowczy ton. - Widziałam rachunki. Żadna wyobraźnia, tylko rachunek od ginekologa. Jakaś pani odwiedza go co miesiąc, a z całą pewnością nie jestem to ja.

Wytrąciło go to z równowagi.

- Przetrzęsałaś moje biurko?

Wyszło sztywno z worka, pomyślała ze strachem. Nigdy jej nie przebaczy grzebania w jego rzeczach, ale nie miała już odwrotu.

- Tak - przyznała prędko. - I nie próbuj odwracać kota ogonem, bo tym razem ci się nie uda. Przeraza mnie perspektywa rozwodu, jednak sprawy zaszły za daleko, trucizna się rozlewa. Mogłabym z tym żyć, gdyby rzecz dotyczyła tylko mnie, ale wywiera też wpływ na nasze dzieci.

- Dzieciom nic się nie dzieje - obruszył się.

- Lee! - zawołała z niedowierzaniem. - A Jordie? Omal go nie straciliśmy! Czy to cię nie przeraża? - Powstrzymała się od krzyku. Amanda nie podniosłaby głosu w takiej sytuacji. Ani Georgia. Zachowałyby spokój. Mówiłyby przekonująco, nawet gdyby się trzęsły ze strachu. - W ogóle mi nie odpowiadaj - ucięła dalszą dyskusję. - Nie chcę słuchać krętactw. Pakuj manatki. Za godzinę dzieci wracają do domu. Chcę, żeby ciebie już tu nie było.

Zbladł.

- O czym ty mówisz?

- Masz się w tej chwili wyprowadzić.

- Mówisz poważnie?

Skinęła głową.

- Opanuj się, kochana - powiedział i ruszył w jej kierunku.

Podniosła pistolet.

Stanął, spojrzął na broń, potem na żonę.

- To jest mój dom.

- Już nie jest - odparowała, zmagając się z siłą nawyku. - Jeżeli będzie trzeba, pójdę do sądu. Mam kopie rachunków. Mam nazwisko dobrego prawnika. Lee, wynoś się.

- Jesteś zdenerwowana - podjął pojednawczo. - Nabiłaś sobie głowę Jordiem i tą wieżą.

- Tu nie chodzi o Jordiego. - Nie drgnęła jej nawet powieka. - W twoim życiu zagościła o jedna kobieta za dużo. Masz kogoś, Lee. Nie obchodzi mnie, czy to jest Gretchen, czy kto inny. Nie mogę tak dłużej żyć.

Najchętniej by jej zaprzeczył. Ale tym razem miała niezaprzeczalne dowody w garści.

- Karen, jestem słabym człowiekiem. Popęlam błędy. Ale one nic nie znaczą.

- Czy ona jest w ciąży?

- To bez znaczenia. Liczą się tylko nasze dzieci. I ty.

- My się dla ciebie nie liczymy - odparła z goryczą. - Gdybyśmy się liczyli, tobyś nas tak nie ranił.

- Ale ona nic dla mnie nie znaczy - jęknął. - Wszystko skończone. Pojąłem to, kiedy Jordie siedział tam, na wieży.

Karen nie wierzyła w te zapewnienia.

- Pakuj się. I to już.

Milczał przez chwilę.

- Bo co? Bo użyjesz broni?

- Mam zamiar oddać ją Russowi. On już będzie wiedział, co z nią zrobić. - Opuściła lufę, ale nie spuściła z tonu. - Mam inną broń i jej użyję. Jeżeli nie wyjdiesz zaraz, jeżeli nie zgodzisz się na rozwód na dobrych warunkach, powiem dzieciom, co zrobiłeś. Nie przeczę, że je kochasz. I one kochają ciebie, nawet Jordie, który chyba na równi kocha nas teraz i nienawidzi. To moje ostatnie słowo. Wyjdź i zachowaj miłość dzieci. Bo jeśli nadepniesz mi na odcisk, nie pozostanę ci dłużna.

Rozdział dziesiąty

W PONIEDZIAŁEK po powrocie z pracy Amanda przygotowała kolację z winem i kruchym ciastem z truskawkami, ulubionym przysmakiem Grahama. Opowiedziała mu, co słyszeć u sąsiadów. Że Georgia zaszantażowała kupca swojej firmy i teraz czeka na werdykt, a Karen wyrzuciła Lee z domu. Wyznała, że po wspólnie spędzonym weekendzie czuje się, jak gdyby miała tajemnicę, która pozwala jej się uśmiechać przez cały dzień, mimo żałoby w szkole.

Ledwie usiedli do jedzenia, zadzwonił telefon. Graham odebrał.

- Tak, słucham?

Amanda nie odrywała od niego wzroku, próbując zgadnąć, kto dzwoni. Spojrzała na nią z ukosa.

- Jesteś pewna? - spytał krótko. - Zaraz będę.

- Gretchen krwawi - powiedział Amandzie. - Boi się, że to może być poronienie.

Na minutę Amanda zamarła. Tyle zabrało jej zebranie myśli. Gretchen. Zadzwoniła do Grahama. Zaraz jednak się opanowała. Nie do Grahama. Zadzwoniła do nich, a powiedziała Grahamowi, bo on pierwszy odebrał telefon. Zresztą on właśnie okazywał jej serce, kiedy Amanda i inne sąsiadki zawiodły.

- Musimy jej pomóc - powiedział.

- Weźmy mój samochód - zaproponowała, podając mu kluczyki.

Wybiegła na ulicę. Gretchen już stała przy schodach. Mówiła słabym, drżącym głosem.

- Dobrze się czułam. Ale kiedy wstałam, poczułam rozdzierający ból i zobaczyłam krew.

Amanda objęła ją w pól, powoli doprowadziła do podjeżdżającego samochodu.

- Dzwoniłaś do lekarza?

- Kazał mi jechać do szpitala. Tak mi głupio, że zawracam wam głowę. Ale nie miałam się do kogo zwrócić.

- Czujesz teraz ból?

- Skurcze - powiedziała nieco głośniejszym głosem. - Ale to za wcześnie. Dziecko jest za małe. - Kiedy Graham cofał samochód, chwyciła Amandę za rękę i wyszeptała żarliwie: - Graham nie jest ojcem. Nigdy nas nic nie łączyło. Ale byłam rozżalona, dlatego nie chciałam powiedzieć, kto jest.

- Wiem. - Amanda otworzyła tylne drzwi.

- Ani Russ ani Lee też nie. Nie zrobiłabym tego żadnej z was.

Chwyciła się za brzuch, przymknęła oczy. Amanda usadowiła ją w samochodzie, wsiadła tuż za nią, podała rękę, żeby ścisła ją przy każdym skurczu.

Graham jechał szybko. W okolicy znajdował się tylko jeden szpital. On i Amanda znali go doskonale, bo mieściła się w nim klinika leczenia bezpłodności.

- Powiedz, że nie stracę dziecka - poprosiła w pewnej chwili szeptem Gretchen.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

- Po siedmiu i pół miesiąca może chyba przeżyć, co?

- Z całą pewnością - uspokoiła ją Amanda. Gretchen oparła się o siedzenie i dodała: - Już tyle straciłam. Dziecka nie mogę stracić.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Graham. Podjechał wprost pod izbę przyjęć. Sanitariusze otworzyli drzwi, podbiegli do Gretchen, posadzili ją na wózku. Jej ginekolog już czekał, przytrzymał ją z wielką troskliwością, pocieszył. Odsunięta na bok w tym rozgardiaszu, Amanda poczuła dziwną tęsknotę. Kiedy Graham zjawił się u jej boku, podniosła na niego wzrok. Nie powiedzieli sobie ani słowa, ale wiadomo było, co oboje myślą. Do licha, dlaczego nie my?

Gretchen przyjęto do szpitala, zrobiono wywiad, zawieziono na salę porodową, podano znieczulenie zewnątrzoponowe. Wykonano cesarskie cięcie, żeby jej pomóc, bo z powodu braku partnera nie chciała uczęszczać do szkoły rodzenia, a teraz było za późno na naukę właściwych oddechów.

Ekran z płótna zasłaniał jej widok, ale lekarz prowadzący ciążę stał tuż obok, toteż mogła obserwować jego oczy. Widziała w nich jedynie spokój i profesjonalizm, może co najwyżej przez chwilę troskę. Ale może poniosła Gretchen wyobraźnia. Po długiej chwili usłyszała głośny płacz dziecka.

- Gretchen, masz syna - oznajmił jej z uśmiechem lekarz. - Zdrowy jak rydz. Posłuchaj tylko, ile ma pary w płucach.

Gretchen pomyślała, że nigdy nie słyszała cudowniejszego dźwięku niż to uuu-aaa. Nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać, uderzyła zarazem w śmiech i w płacz. Gdy więc podano jej dziecko, ledwo widziała je przez łzy. Ale zobaczyła wszystko. Pomarszczoną buźkę, drobne ciało, pająkowate ręce i nogi z odpowiednią liczbą paluszków. Za chwilę je zabrano, żeby zbadać, umyć i umieścić bezpiecznie w inkubatorze.

Amanda i Graham stali za szybą oddziału dziecięcego, kiedy wniesiono dziecko Gretchen. Było już w powijakach. Pielęgniarka podniosła je wysoko. Powiedziała bezgłośnie, jakiej jest płci. Amanda poczuła gęsią skórkę.

- Chłopiec. Coś niesamowitego.

Graham ścisnął jej rękę.

- To samo powiedziała byś na dziewczynkę.

Lecz Amanda wpatrywała się jak urzeczona.

- Patrz, jaki on malutki.

- Wszystko w porządku? - spytał Graham pielęgniarkę, która z pewnością miała wprawę w czytaniu z ust.

Siostra uniosła kciuk do góry, po czym zabrała dziecko do pediatry czekającego już w głębi sali.

Amanda patrzyła, dopóki lekarz nie zasłonił jej dziecka.

- No i do kogo jest podobny? - spytał Graham.

Albo ją sprawdzał, albo się z nią droczył.

- Na pewno nie do ciebie - odparła przekornie Amanda. - A tobie kogo przypomina?

- Bena.

Roześmiała się.

- No tak. Bo obaj łysi.

Milczeli przez jakiś czas. Stopniowo opadały niedawne emocje.

- Co czujesz? - spytała cicho.

Przez chwilę milczał. Włożył ręce do tylnych kieszeni.

- Zazdrość.

Przynajmniej szczerze. Ona czuła to samo.

- A co jeszcze?

- Determinację. - Aż zacisnął zęby. - Spróbujmy jeszcze raz, jeszcze tylko raz, musi się udać. - Kiedy odwrócił do niej oczy, zobaczyła coś jeszcze. - strach - dodał. - Wiem, to okropne. Boję się znów wkraczać na tę drogę. Nie chcę stracić tego, co przeżywaliśmy przez ostatnich kilka dni.

- Hej, gołąbeczki - usłyszeli za plecami.

Korytarzem szła ku nim Emily, ich specjalistka od płodności. Amanda uśmiechnęła się na powitanie, ale się nie odezwała.

Emily przekrzywiła głowę w kierunku sali noworodków.

- Przyszliście tu po natchnienie?

- Nie - przyznała Amanda. - sąsiadka właśnie urodziła. Są tu jakieś twoje dzieci?

Emily wskazała na środek sali.

- Tych troje z żółtymi wstążeczkami. Trojaczki z zapłodnienia In vitro, dwie dziewczynki i chłopiec. Bardzo malutkie, ale w dobrej formie. - Emily oparta się o szybę. - Kłopot z wami polega na tym, że nie znamy powodów. Ale to jednocześnie dobrze, bo zwiększa nam zakres możliwości. Począwszy od najprostszej. Zwiększyć dawkę clomidu.

Propozycja bynajmniej nie ucieszyła Amandy. Już po niskiej dawce clomidu odczuwała fale gorąca, puchła, miewała humory, chociaż zgodnie z testami, lek działał. Organizm produkował mnóstwo jajeczek. Tyle, że do zapłodnienia nie dochodziło.

- Możemy spróbować inseminacji domacicznej - podsunęła Emily. - Albo od razu in vitro. W każdym razie możliwości jest wiele.

Amandzie nie zależało na możliwościach. Zależało jej na dziecku. To samo wyczytała z oczu Grahama.

- Wróćcie do mnie? - spytała Emily.

Graham nie odezwał się słowem. Widać było, że przyjmie każdą decyzję żony.

Amanda odetchnęła i uśmiechnęła się do Emily.

- Ja już odpoczęłam. Jestem gotowa.

GRETCHEN prawie nie zmrużyła oka. Zanadto była podniecona, a przy tym obolała, gdyż znieczulenie przestało działać.

Pielęgniarka wwozła dziecko do jej pokoju. Gretchen mogła je potrzymać, ale tylko przez chwilę. Mleko jeszcze się nie pojawiło, więc z przystawieniem synka do piersi trzeba było jeszcze poczekać. Ponieważ nakrzyczał się przy porodzie, teraz smacznie spał. Od samego trzymania go poczuła zdumiewający przyływ emocji.

- Podobno tak się wyzwalają uczucia macierzyńskie - powiedziała Amanda, kiedy zajrzała do niej w południe z bukietem balonów. - Wybrałaś już imię?

- Jeszcze nie. Ale wciąż mi chodzi po głowie Benjamin. Tylko mam obawy, czy synowie Bena nie dostaną szału.

- To przecież zależy wyłącznie od ciebie - wsparta ją Amanda.

Gretchen z radością przyjęła te słowa. Podobnie jak odwiedziny. Przecież ani Amandzie, ani Grahamowi nie było wcale łatwo.

- Przychodzisz tu z ciężkim sercem?

- Przeciwnie, moja droga. Uwielbiam dzieci. Wizyty tutaj mi o tym przypominają.

- Na pewno doczekasz się własnego. Jesteś taka dobra.

- To nie zawsze idzie w parze - westchnęła Amanda, jednak podniosła wyżej głowę. - Ale ja też to czuję. Graham zawsze powtarza za Ralphem Waldo Emersonem: „Żyj w tempie natury. Jej sekretem jest cierpliwość”.

Gretchen wchłonęła te słowa. Jej też przyniosły ukojenie.

- Na pewno doczekasz się własnego dziecka - powtórzyła.

- Teraz ważne, że ty urodziłaś. Zawiadomiłam już Georgię i Russa. Przyjęli to z wielką radością. Zawiadomić kogoś jeszcze?

- Nie, nikogo.

Spojrzała na drzwi i serce jej drgnęło. Stał w nich Oliver Deeds z pękiem róż. Amanda dotknęła ramienia Gretchen i szepnęła cicho:

- Muszę już biec.

- Może byś została?

- Żałuję, ale muszę pędzić do szkoły. Czegoś ci jeszcze potrzeba?

Gretchen potrząsnęła głową.

- Dzięki za balony.

- Nie ma za co - powiedziała Amanda, dodając przyjacielskim tonem: - Odezwę się później.

Gretchen pokiwała z wdzięcznością głową. Tyle czasu marzyła o przyjaciółce. Lepszej nie mogłaby sobie wymarzyć.

Kiedy Amanda wybiegła, adwokat wszedł na salę.

- Dobrze się czujesz, Gretchen? - spytał.

- Już dobrze. Amanda z Grahamem przywieźli mnie tu wczoraj wieczorem.

- Wiem. Zajrzałem do ciebie dziś rano. Russ Lange zobaczył mnie pod twoimi drzwiami i mi powiedział. Trzeba było zadzwonić.

- Poradziłam sobie.

- Podobno miałaś cesarskie cięcie.

- Jak wiele kobiet. Potrafię zadbać o siebie. I o swoje dziecko.

Oliver spuścił wzrok.

- Widziałem, jak go podnieśli do góry. Ładny chłopak.

Gretchen nie skomentowała.

- Wiesz, chciałbym ci coś wyjaśnić - zaczął.

- Nie trzeba.

- Ja cię nie rzuciłem. Ale ponieważ jesteś moją klientką, uznałem, że to niemoralne.

Niemoralne? Co było dla niego niemoralne, ich dziecko? Okazane jej ciepło? Życzliwość, troska, namiętność? Skoro tak, nie chciała go znać.

Musiał to wyczytać z jej twarzy albo najzwyczajniej mu nie zależało. Bo spojrzął na trzymanego w rękach wazon, podszedł, postawił na stoliku. I zawrócił do drzwi.

- Wybrałaś już imię? - spytał.

- Tak. - Właśnie w tej chwili podjęła decyzję. - Benjamin.

- Poważne imię jak na takiego berbecia.

Ale nie Benji. Będzie na niego mówiła Benji. Syn nigdy nie pozna jej Bena, ale wyrośnie w bezpiecznym domu wzniesionym przez tego człowieka. Amanda miała rację. Gretchen poczuła się panią siebie. I Oliver nie był jej potrzebny. Po raz pierwszy w życiu miała własnych przyjaciół.

AMANDA i Graham przywieźli Gretchen w sobotę ze szpitala do domu. Mały jechał przypasany w specjalnym foteliku. Amanda poczuła, jak ciągnie ją do niemowlaka. Choćby same zapachy: drewnianego łóżeczka, zasypki, oliwki, napawały ją przemożną tęsknotą.

Wciągnęła się też trochę dlatego, że Gretchen nie miała żadnego doświadczenia, wobec czego razem odkrywały nowy świat. Amanda nauczyła się zmieniać pieluszki. Pomagała przy pierwszej kąpieli malucha, kołysała go do snu, kiedy Gretchen padała ze zmęczenia. Nie tylko ona się zaangażowała. Czasem wpadał Russ, Georgia przesiadywała godzinami. Dzieci z sąsiedztwa również zaglądały, bo i one chciały obejrzeć niemowlaka.

Nawet Karen się zaciękała. Po wyprowadzce Lee jej gniew nieco zelżał. Znow stała się dawną Karen, jaką pamiętała Amanda. Zdecydowana rozpocząć niezależne życie razem z dziećmi, wynajęła domek w Martha's Vineyard tydzień po zakończeniu szkoły. Amanda uznała to za niezwykle śmiały krok.

TYDZIEŃ później Amanda i Graham siedzieli właśnie u Gretchen, kiedy wpadł Oliver Deeds. Gdyby nawet odmowa spotkania z nim nie zdradziła Gretchen, to z jego spojrzeń rzuconych na niemowlaka można było wyczytać, że łączy ich coś więcej niż tylko stosunki służbowe.

Graham również zauważył. Trzymał na ręku Benjego, kiedy Oliver stanął w drzwiach.

- Potrzywasz go? - spytał przytomnie mężczyznę, a Amanda szybko wzięła z rąk Olivera przyniesione prezenty. Zanim zdążył odmówić, owinięty kocykiem malec znalazł się w jego objęciach.

Oliver zarumienił się.

- Nigdy przedtem nie trzymałem dziecka na ręku - przyznał, ale trzymał nader fachowo. Malec, jak gdyby wyczuł nowicjusza, zachowywał się grzecznie. - Sądziłem, że zostawią go dłużej w szpitalu jako wcześniaka.

- Wszystko sprawdzili - zapewniła Amanda. - Jest zdrowy. Uznali, że lepiej mu będzie w domu.

- Ale jest taki drobniutki - powiedział miękko Oliver. - Tak mało waży.

- Dwa i pół kilo - uściśliła Gretchen ze schodów.

Wszyscy odwrócili głowy w jej stronę.

Na chwilę zapadło milczenie, po czym Oliver powiedział z dumą:

- Piękny dzieciak.

Gretchen potwierdziła skinieniem, ale nie ruszyła się. Stała oparta o poręcz.

- Dobrze je?

Znów pokiwała głową.

- Muszę go teraz nakarmić.

I spojrzała błagalnie na Amandę.

Amanda wyjęła ostrożnie dziecko z rąk Olivera i zaniósła Gretchen, która bez słowa poszła na górę.

Oliver odprowadził ją wzrokiem. Amanda odczytała w nim tylko tęsknotę. Zastanawiała się, jak by tu taktownie poruszyć tę kwestię, kiedy Graham zwrócił się do adwokata bez ogródek:

- Gdzieś ty się, człowieku, podziewał przez tyle miesięcy?

Oliver nawet się nie bronił.

- Błądziłem po omacku - przyznał ze skruchą. - Nie wiedziałem, że Gretchen jest w ciąży aż do tej historii z obrazem.

- Czyli zrobiłeś swoje... i zniknąłeś?

Oliver się nachmurzył. Jabłko Adama przesunęło mu się powyżej węzła krawata.

- To nie takie proste.

- Niby dlaczego?

- Bo ledwo co owdowiała. Samotna, opuszczona. Nie powinienem był się z nią zadawać.

- Ale się zadałeś - powiedziała Amanda, zirytowana podobnie jak Graham. Gdyby się ujawnił wcześniej, zaoszczędziłby sąsiadom wielu napięć.

- Postawiłem na obustronną więź - powiedział na swoją obronę. - Sądziłem, że jeśli się wstrzymam, Gretchen przejmie inicjatywę. Ale nie zadzwoniła.

- Wcale się nie dziwię - wtrącił Graham. - Nie ma aż tyle pewności siebie wobec przedstawicieli płci przeciwnej.

Oliver spojrział mu w oczy.

- Ja też nie.

GRETCHEN zeszła na dół zaraz po wyjściu prawnika. Dziecko wcale nie wymagało karmienia. Chciała tylko zniknąć z oczu Oliverowi. Usiadła ciężko na schodku wyraźnie wyczerpana, ułożyła synka na kolanach.

Amanda usiadła obok.

- Trzeba nam było powiedzieć.

- Nie potrafiłam. To należało do niego.

- Co się stało?

Od czego zacząć? Nie chciała tego ani nie planowała.

- Zglądał tu często po śmierci Bena. Znal wszystkie kruczki prawne, wiedział, jak postępować z Alanem i Davidem. Pomagał mi w różnych sprawach. Ja nie umiałam nawet dobrze rozliczyć rachunku bankowego. Tępota, co? - spytała, patrząc na Grahama.

- Znam to - przyznał ze zrozumieniem Graham.

- Potwierdzam - dodała Amanda z uśmiechem. - Bo to ja sprawdzam jego rozliczenia.

Gretchen poczuła się lepiej.

- To była jedna noc. Czekałam, że potem zadzwoni, ale nie zadzwonił. Może ja powinnam była odezwać się pierwsza. Sądziłam jednak, że przestał się mną interesować. Nie chciałam dać się skrzywdzić.

- Znam to - przyznała Amanda, ale nie wdawała się w szczegóły. - I nie zadzwoniłaś przez całą zimę?

- Setki razy się zbierałam - wyznała Gretchen. - Nawet tysiące. Ale zawsze tchórzyłam. Dotknęła palcem policzka synka.

- Kochasz go? - spytała Amanda.

- Tak mi się zdawało. Upatrywałam w tym jakiegoś magicznego zrzędzenia. Jak gdyby sam Ben wybrał mężczyznę, który się mną zajmie. - To określenie wydało jej się teraz żałosne. Szybko więc dodała: - Ale nie trzeba mi faceta, który by się o mnie troszczył. Tylko wtedy tego nie wiedziałam.

- Ta świadomość daje ci siłę - zauważyła Amanda. - Mogłabyś z nim porozmawiać. Dowiedzieć się, na czym mu zależy. Czy warto się tym zająć.

Gretchen poczuła się rozdarta.

- A jeśli się okaże, że jemu nie warto?

- Nie okaże się - zaproponował Graham. - Jemu zależy. Widzieliśmy, jak patrzy na małego.

- Jeżeli tylko na małego, to na nic - powiedziała z westchnieniem Gretchen. Potrzebowała kogoś, kto by ją kochał.

Nie, przyłapała się. Wcale nie potrzebowała. Pragnęła tego. A to pewna różnica.

- Nie dowiesz się, jeśli nie spróbujesz - rzekł Graham.

WŁAŚNIE na tym chyba polega życie, uznała Amanda, kiedy tylko dopuściła myśl o kolejnym podjęciu terapii. Żeby zaryzykować. Spróbować.

Jednak najważniejsze, by w pogoni za czymś upragnionym nie zniszczyć tego, co już mamy, pomyślała. A ona ma Grahama. Jeden rzut oka na Karen z czwórką dzieci i trudną drogą przed nimi wystarczył, żeby uzmysłwić sobie własne szczęście. Rzut oka na Gretchen, którą Oliver kocha, a może nie kocha, i Amanda jeszcze bardziej doceniła własne małżeństwo. Zawsze czuła, że Graham jest dla niej kimś wyjątkowym. Z każdym dniem przekonywała się o tym coraz bardziej.

Graham zaś oszalał na punkcie Amandy. Najpierw sądził, że gdy przeminie namiętność zrodzona po dramacie na wieży, jego apetyt się zmniejszy. Tymczasem narastał.

- Coś niesłychanego - mruknął jej w szyję po takiej chwili namiętności pod suszarką. Ledwo weszła do domu, ściągnęła sweter, bo się oblała niechcący kawą, i ruszyła do pralni, musiał pobic tuż za nią.

- Nawet się nie przywitasz - droczyła się, ale już mu nogi oplótła w pasie, zacisnęła łydki. Nie miała go zamiaru puścić.

- Ależ ty mi działasz na zmysły - szepnął, ujmując w obie ręce jej twarz. Kiedy spojrzała na niego, jak gdyby był najważniejszy na całym świecie, coś w nim zawrzało. - Mówiłem ci ostatnie, że cię Kocham nad życie?

Uśmiechnęła się leniwie.

- Mhm, ale nie zaszkodzi, jak powtórzysz.

- Kocham cię. Kocham się z tobą kochać. Uwielbiam nasze chwile intymności. Jakby to był pierwszy raz.

- Żebyś wiedział. Jakbyśmy wrócili z biura rzeczy znalezionych.

- Tyle że lepsi. - Wierzył w to. Przetrwali bardzo trudne chwile. Podłożył ręce pod jej pośladki. - Może powinniśmy się jeszcze trochę tak pobawić.

- Jak to? - spytała.

- Odczekać jeszcze miesiąc z... no wiesz - urwał, bo bał się do końca. Pokręciła powoli głową.

- Mówiłam, że muszę odetchnąć przez miesiąc. Niepotrzebne mi są dwa.

- Ale mnie są potrzebne. Dajmy sobie dwa miesiące.

- Bo wolisz robić to wtedy, kiedy ci przyjdzie ochota.

- Bo się boję - wyrzucił z siebie, dopiero teraz uświadomiwszy sobie swój strach. - A ty nie? Uśmiech zniknął jej z twarzy. Westchnęła.

- Pewnie, że się boję. Boję się, że skończy się tak samo, tyle że gorzej, bo to będzie nasze ostatnie podejście do sztucznego zapłodnienia. Jak nie wypali, będziemy musieli spróbować czego innego.

- Nie mówię o porażce z poczęciem dziecka. Tylko o nas.

- Wiem - powiedziała Amanda bardzo trzeźwo. - Ale nie możemy tego uniknąć. Moglibyśmy się tak bawić przez trzy miesiące, ale to by nas tylko oddaliło od naszego celu.

- Możemy adoptować dziecko.

- Jeszcze nie. Nie jestem gotowa do adopcji. Odchylił głowę do tyłu.

- Wobec tego odsuwam od siebie tę myśl.

ZDECYDOWALI się na zwiększoną dawkę clomidu i wielokrotne zapłodnienie. Mieli zadzwonić do Emily, kiedy się zacznie miesiączka, wpaść w ciągu kilku dni po lekarstwa i zalecenia, kiedy i jak je brać. Amanda nie sprawdzała nawet w kalendarzu. Nie musiała. Miała bardzo regularny cykl. Dziś dostanie okres, jutro zadzwoni do Emily, w piątek do niej zajrzy. Potem wyjadą z Grahamem. Zarezerwował już na weekend pensjonat na wybrzeżu w Maine. Za wszelką cenę chcieli ratować swój związek.

Od rana przez cały dzień nie miała chwili wytchnienia. Kiedy się zbierała do wyjścia, pod drzwiami jej gabinetu zjawił się Jordie Cotter. Nogę miał nadal w gipsie, ale już chodził o kuli. W drugiej ręce trzymał plecak.

- Witaj, skarbie - zaskrzeczała Maddie ze swojej dziupli.

- Cześć - przywitała go serdecznie Amanda. - Wejdz.

- Ale pani już wychodzi.

- Dla ciebie zawsze mam czas. - Zaprosiła go gestem do środka. Nie rozmawiali od tamtej nocy na wieży. - Jak leci?

- Nieźle. - Podszedł, brodą wskazał na gips. - Nie mogę grać, więc nie przeszkadza mi, że grzeję ławkę. Z tym jest lepiej. Z innymi sprawami gorzej.

- Gorzej z tatą? - spytała.

- Aha. Wciąż do nas wpada. Nawet bywa miły dla mamy. Julie sądzi, że się zejda.

- A ty?

- Nie - powiedział, ale z zadumą. - Za dużo się zdarzyło. Czasem winie o to siebie.

- Daj spokój. Nie ma tu twojej winy.

- Czy Gretchen mnie nienawidzi?

- Nie, ona nie ma w sobie nienawiści. Zresztą za bardzo cieszy się dzieckiem, żeby myśleć o tamtym.

- Ale obraz jest zniszczony.

- Coś znajdzie na jego miejsce.

Jordie pokiwał głową.

- Mam nadzieję - powiedział cicho. Pokuśtykał do drzwi. Amanda usiadła na skraju biurka.

- Dobrze ci idzie z nowym terapeutą?

Przystanął na progu.

- Facet jest w porządku. Ale daleko mu do pani.

- Czarus z ciebie.

Odwrócił się. Spojrzał jej prosto w oczy, po czym, trochę speszony, umknął wzrokiem.

- Muszę to pani powiedzieć. Naprawdę zrobiła pani wtedy coś niesłychanego.

Miał na myśli ich tamte chwile na wieży.

- Zrobiłam, co musiałam. Zresztą to było potrzebne mnie samej.

- Z powodu Quinna? - Kiedy pokiwała głową, dodał: - Bardzo mi go brakuje.

- Tak jak nam wszystkim.

- Nie zapomnę tych dni. No wie pani, kiedy odebrał sobie życie. Wczoraj minął miesiąc, odkąd wypił wódkę mojego taty. A mnie się wydaje, że rok.

- Dzisiaj mija miesiąc - poprawiła go Amanda.

- Nie. To było we wtorek. Pamiętam, jak wtedy zadzwonił, że go przyłapali. Ten telefon pociągnął za sobą lawinę.

Amanda nie odpowiedziała. Miał rację. Afera z wódką wynikała we wtorek. Zachodziła w głowę, dlaczego pomyliła daty i co to może oznaczać.

Widocznie zdradziła ją mina, bo Jordie zapytał:

- Dobrze się pani czuje? Amanda poczuła bicie serca.

- Dobrze - odparła, po czym spytała odruchowo: - Podrzucić cię do domu?

- Nie, tata zaraz po mnie przyjedzie.

Amanda przyjęła tę wiadomość z wdzięcznością, ponieważ nie zamierzała wracać prosto do domu. Wprawdzie miała w łazience testy etażowe, ale chciała kupić sobie nowe.

KUPIŁA aż trzy. Trzęsła się przez całą drogę. Zmarnowała jeden pasek, bo zwilżyła go z niewłaściwego końca. Zostały dwa. Wykonała pierwszy test, odczekała przepisowe pięć minut, zobaczyła plus. Bojąc się uwierzyć, powtórzyła z drugim paskiem, zobaczyła dwie karmazynowe linie. Dwie oznaczały ciążę.

Położyła je obok siebie na umywalce, sięgnęła po komórkę, wybrała numer Grahama do pracy.

- To ja - powiedziała, kiedy odebrał. - Wracaj do domu.

Wystraszył się.

- Co się stało?

Przełknęła emocję, nie chciała się zdradzić. Pragnęła, żeby sam zobaczył te paski.

- Nic takiego - uspokoiła go. - Chcę ci coś pokazać.

Dziesięć minut później już jechał ulicą. Z bijącym sercem spotkała go przy drzwiach, wzięła za rękę, poprowadziła do łazienki. Spojrzał na paski testu, potem na nią.

- Udało się? - wybąkał.

Pokiwała głową.

- Jesteś w ciąży!

- Jestem w ciąży!

Największym darem była teraz radość w jego oczach. Porwał ją z ziemi, zakręcił nią, po czym uściśnął tak mocno, że omal jej nie udusił. Kiedy ją postawił, zajrzał jej w oczy.

- Kiedy to się stało?

- Podczas jednego ze stu razy, kiedy kochaliśmy się w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

- Ale niczego nie czułaś? Nic a nic? Żadnej iskry, kobiecej intuicji? - spytał.

Roześmiała się.

- Jak mogłam czuć coś innego niż ciebie? Tylko ciebie wtedy czuję. Tylko ciebie.

Czyż mogła mu powiedzieć coś więcej?